MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

KRAKÓW

Cena 7 zł (w tym 5% VAT)

www.miesiecznik.krakow.pl

Nr 10 (202) Październik 2021

Medal „Za mądrość obywatelską” 2021

Adam Bodnar o sile prawa i mądrości obywateli

Adam Daniel Rotfeld *Awaria świata*

Teatr KTO Jerzego Zonia

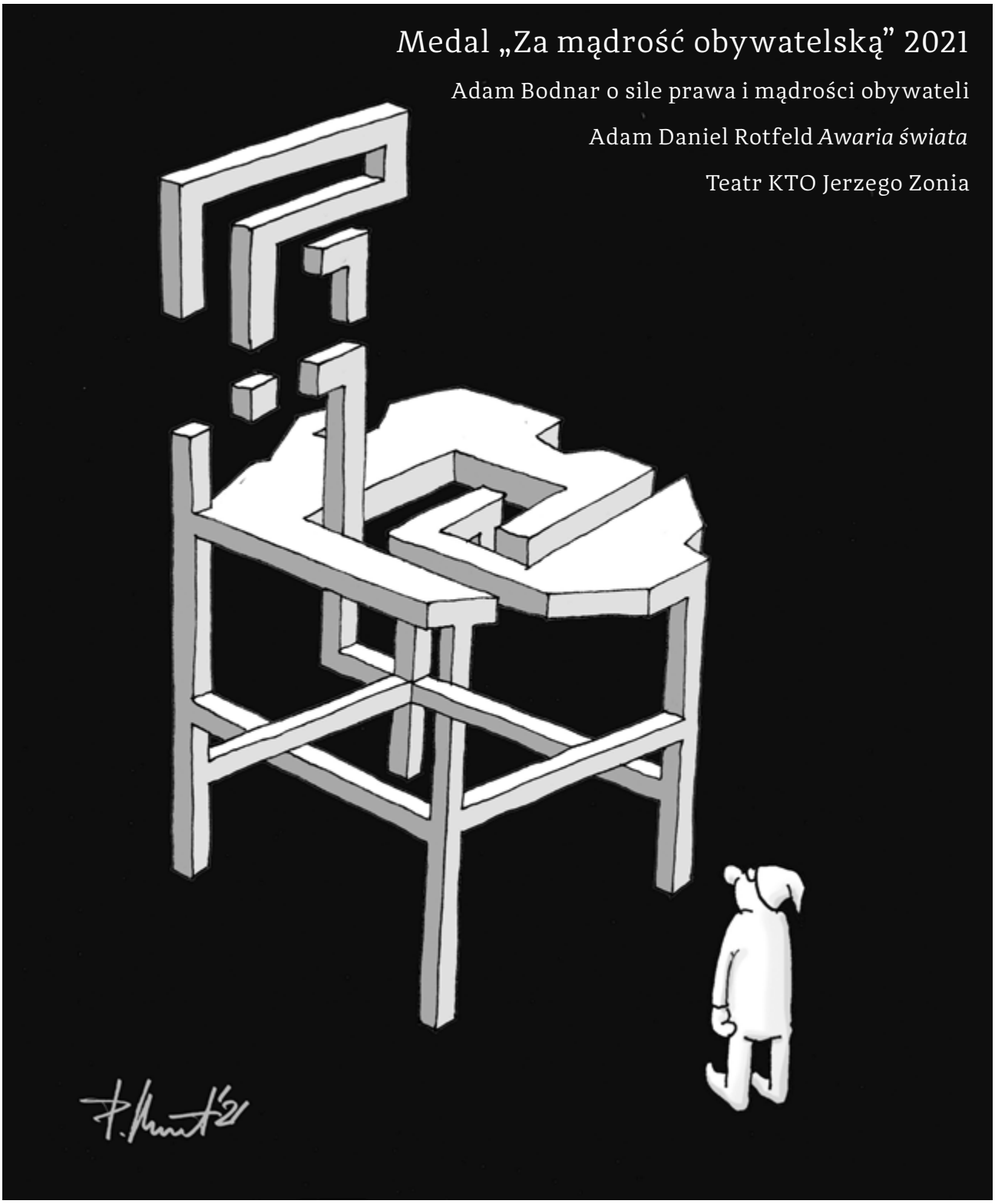

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

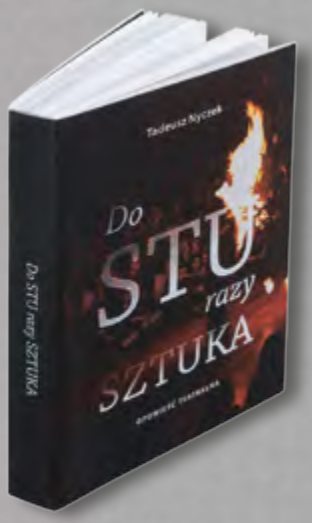

Kto pragnie pewności – niech studiuje księgę Tadeusza Nyczka „Do STU razy sztuka. Opowieść teatralna”. Prawie 300 stronic sporych rozmiarów, mrowie zdjęć, plakaty i afisze, projekty. Jest w tej księdze WSZYSTKO.

(Paweł Głowacki, miesięcznik „Kraków”)

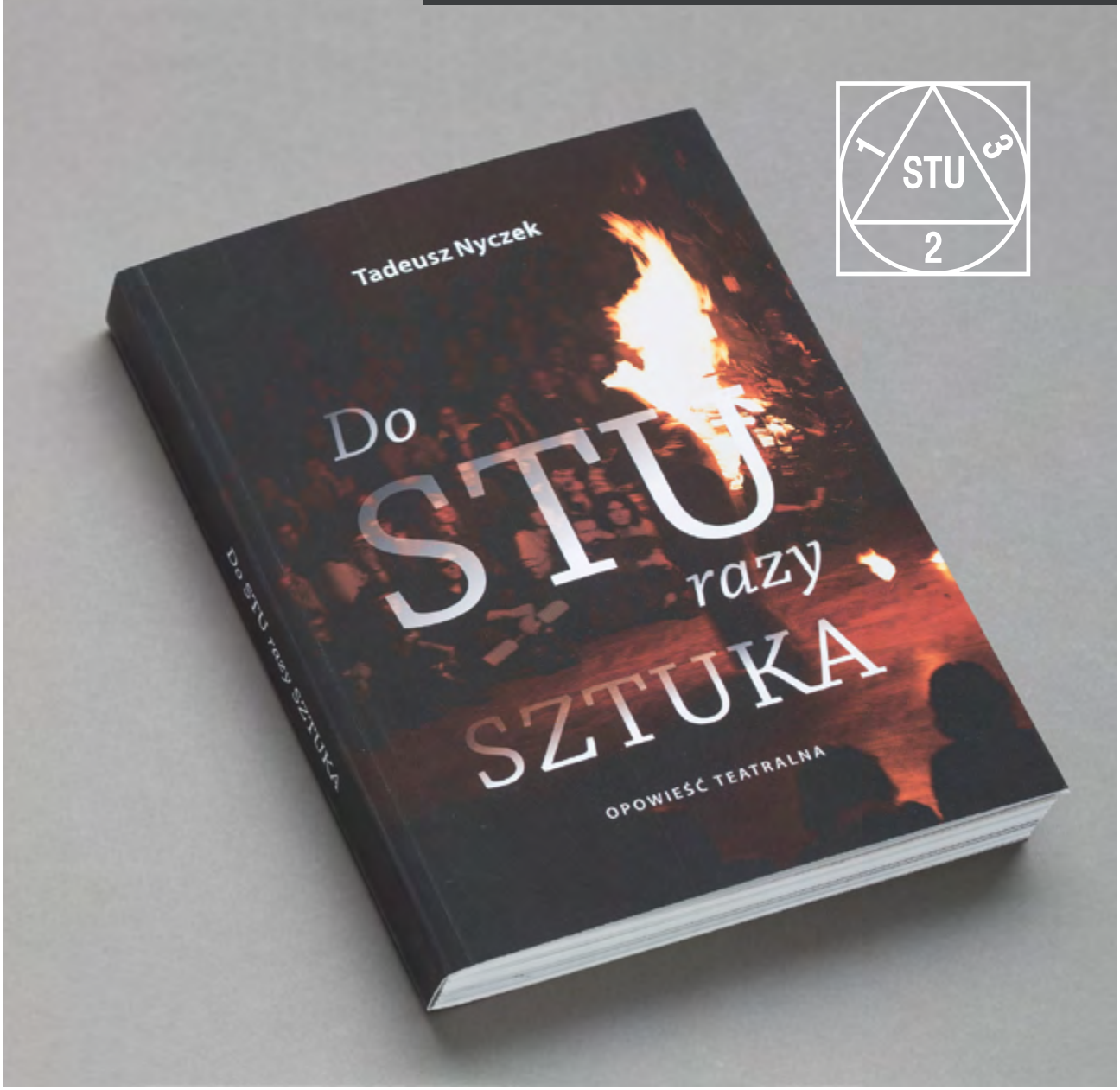

Awaria świata

Tekst: Adam Daniel Rotfeld **Ilustracja:** mapa świata Pietra Coppa (1520), Wikimedia Commons

Nadchodzi awaria świata.
Ale jeszcze drzemie rozleniwiona w zaroślach (...)
Już rozbrojone niebo.
(Ewa Lipska, z tomu Pamięć operacyjna)

Po pierwszej fali COVID-19 Henry Kissinger pisał, że koronawirus „na zawsze zastąpi światowy porządek". Podobny pogląd wyrażali inni obserwatorzy sceny politycznej. Znacznie wcześniej wspólną oceną wybitnych ekspertów było stanowisko, że świat wkroczył w okres, który cechuje niestabilność i nieprzewidywalność. Przejawem anarchizacji stosunków międzynarodowych stała się w latach 2016–2020 woluntarystyczna, naruszająca zasady i normy oraz reguły odpowiedzialnego zachowania polityka prezydenta Stanów Zjednoczonych Donalda Trumpa, której wtórowali

przywódcy innych mocarstw. Świadczyły o tym takie wydarzenia, jak wyprowadzenie Wielkiej Brytanii z Unii przez premiera Borisa Johnsona, a także polityka prezydenta Turcji Recepa T. Erdoğana i Rosji Władimira Putina oraz wielu innych przywódców w Europie Środkowo-Wschodniej, Azji, Ameryce Łacińskiej, Afryce. Motywem wspólnym była nostalgia za powrotem do utraconej w bliższej lub dalszej przeszłości pozycji tych państw w regionie lub świecie. Sztandarowym przykładem było hasło Trumpa *Make America Great Again!* Na podobnych resentymentach opierała się polityka „rozwodu" Wielkiej Brytanii z Unią Europejską (*Brexit*), czy też imperialna strategia prezydenta Putina przywracania utraconego dziedzictwa nie tylko sowieckiego imperium, ale też Cesarstwa Rosyjskiego.

Takie podejście podyktowane strachem przed nieuchronnymi zmianami leży u podłoża poszukiwanych odpowiedzi na nowe wyzwania i problemy, których rozwiązaniem ma być tak zwana polityka historyczna; to na jej fundamencie budowana jest nowa tożsamość. Jest to polityka poszukiwania wyraźnie zdefiniowanego wroga wewnętrznego i zewnętrznego oraz pozyskiwania elektoratu poprzez zmitologizowaną mieszaninę haseł populistycznych, nacjonalistycznych i konserwatywnych. Na zagrożenia związane z takim sposobem myślenia zwracały od dawna uwagę środowiska akademickie i poważni obserwatorzy sceny politycznej w wielu krajach. Jednak głosy te były z różnych powodów lekceważone i nie wpływały w istotnej mierze na kształtowanie nowej koncepcji strategicznej zarówno przez sprawujących władzę polityków o orientacji populistyczno-konserwatywnej, jak też przez pozostające w opozycji elity liberalno-demokratyczne, które motywowane doraźnymi celami odzyskania władzy traciły z pola widzenia jakościowe zmiany natury społecznej, gospodarczej, demograficznej i – co równie ważne – nie dostrzegały jakościowo nowej roli internetowych platform komunikacji społecznej. Innymi słowy, utraciły zdolność postrzegania i rozumienia wykluczonych grup społecznych oraz ich niezaspokojonych potrzeb i oczekiwań. W efekcie profesjonalizm był wypierany coraz częściej przez lojalizm i oportunizm; w procesie podejmowania decyzji dominowały emocje, demagogia, kłamstwa i pustosłowie. **Na kształtowanie się postaw milionów ludzi – zagubionych i nieodnajdujących dla siebie miejsca w nowej rzeczywistości – wpływały w coraz większej mierze hasła prawicowo-nacjonalistyczne. Racjonalne myślenie ustępowało miejsca irracjonalnym opowieściom i teoriom spiskowym.** Coraz częściej słowa zatracały swój pierwotny właściwy zakres znaczeniowy. Jednoznaczne kłamstwo używane przez populistycznych polityków zyskiwało rangę „prawdy alternatywnej" albo postprawdy. Taka relatywizacja podważała sens publicznej debaty i dialogu. Myślenie oparte na faktach było wypierane przez teorie spiskowe, a język stał się narzędziem pobudzania emocji.

Pandemia *vs* postprawda

Powiedzmy jasno: to nie pandemia COVID-19 wstrząsnęła podstawami porządku międzynarodowego – jak przewidywał Kissinger – jakkolwiek ujawniła ona i pogłębiła kryzys, którego źródła i korzenie były głębsze i rozpoznane znacznie wcześniej. Stało się to nie w wyniku konfliktów międzynarodowych, ale w rezultacie głębokiego kryzysu natury wewnętrznej w głównych ośrodkach globalnej siły (Stany Zjednoczone, Chiny, Rosja, Turcja, Wielka Brytania i wiele innych państw w różnych regionach). Wspólnym mianownikiem tych procesów było podważanie demokratycznych wartości i instytucji oraz stopniowe odchodzenie w relacjach międzynarodowych od multilateralizmu i próby powrotu do koncepcji swoiście pojmowanego policentryzmu. Miałby on sprowadzać się do legitymizacji tworzenia stref „uprzywilejowanych interesów" globalnych mocarstw, czyli powrotu do XIX-wiecznych koncepcji „stref wpływów". Tego typu anachroniczne myślenie było publicznie i oficjalnie deklarowane *urbi et orbi* przez przywódców państw autorytarnych – Putina w Rosji, Xi Jinpinga w Chinach, Recepa Erdoğana w Turcji. Zyskało na popularności określenie „demokracja nieliberalna" (Victor Orban). Celem tego zabiegu było oderwanie samego pojęcia demokracji od poszanowania prawa, a w szczególności od respektowania systemu wartości oraz praw i swobód obywatelskich. Miało to ułatwić przemianowanie i utożsamienie „demokracji nieliberalnej" z rządami autorytarnymi.

W tym kontekście szczególne znaczenie przywódcy tych autorytarnych reżimów przywiązują do absolutyzowania pojęcia „suwerenności" i „tożsamości". Relatywizowane i podważane są uniwersalne zasady praworządności, które coraz częściej mają charakter fasadowy i instrumentalny w utrwalaniu zdobytej władzy. Nowa werbalizacja zmieniła istotę używanych słów, co sprawiło, że normy, zasady i instytucje prawa tracą charakter sprawczy, stają się swoistą ornamentacją.

Te procesy natury wewnętrznej wpłynęły w sposób zasadniczy na pojmowanie porządku światowego. Innymi słowy kłamstwa, które prezentowane są jako „prawda alternatywna", podważyły niezwykle cenny czynnik, jakim jest zaufanie obywateli do państwa i jego instytucji, do społecznej solidarności oraz wiarygodności głównych

aktorów na scenie międzynarodowej. 3 kwietnia 2020 roku Kissinger pisał na łamach „Wall Street Journal", że „gdy pandemia COVID-19 przeminie, percepcja wielu narodowych instytucji sprawi, że będą one postrzegane jako upadłe. I nie ma znaczenia, czy taka ocena będzie obiektywnie sprawiedliwa". Postawił tezę: świat po koronawirusie nigdy już nie będzie taki sam, jakim był przed pandemią. „Ten stan rzeczy zmienia porządek międzynarodowy".

Czy rzeczywiście? (...) Nieporozumienie polega na tym, że procesy międzynarodowe, czyli zmiany, przebiegają na ogół ewolucyjnie, a nie rewolucyjnie, zaś uroczyste akty (deklaracje, karty, konwencje) są jedynie odbiciem tych zmian, ich uporządkowaniem i zdefiniowaniem reguł postępowania w nowej, już powstałej rzeczywistości.

Kissinger miał rację, gdy w monografii *Porządek światowy* pisał: „Porządek należy kształtować, nie można go narzucać. Jest to szczególnie aktualne w epoce błyskawicznej komunikacji i rewolucyjnych zmian politycznych. Każdy system porządku światowego, jeśli ma się utrzymać, musi być uznawany za słuszny nie tylko przez przywódców, lecz także przez obywateli. Musi odzwierciedlać dwie prawdy: porządek bez wolności, nawet jeśli podtrzymywany jest chwilowym uniesieniem, ostatecznie prowadzi do wytworzenia przeciwwagi dla samego siebie; z kolei wolności nie da się osiągnąć ani zabezpieczyć bez zrębów porządku, który utrzymuje pokój. Porządek i wolność, określane czasem jako przeciwne bieguny, trzeba traktować jako zjawiska współzależne. (...) Każdy z tych systemów porządku opiera się na dwóch składowych: zbiorze powszechnie akceptowanych reguł, które definiują granice dopuszczalnego działania, i równowadze sił, która narzuca ograniczenia tam, gdzie reguły przestają obowiązywać, uniemożliwiając jednemu podmiotowi politycznemu podporządkowanie sobie wszystkich pozostałych" (*Porządek światowy*, Wołowiec 2016). W ten sposób autor, który współkształtował strategię polityczną światowego mocarstwa jądrowego, jakim są Stany Zjednoczone, wypunktował specyfikę oczekiwań związanych z wyłaniającym się porządkiem światowym, a mianowicie współzależność ładu międzynarodowego i sytuacji wewnętrznej w poszczególnych państwach, zwłaszcza w tych, które są głównymi aktorami na globalnej scenie. Rozumowanie Kissingera, konserwatywnego polityka-realisty i koncepcyjnego myśliciela, zasługuje na to, by uwzględnić w naszych rozważaniach dwa postulaty.

Po pierwsze, Kissinger daje wyraźnie do zrozumienia, że czasy, kiedy globalne mocarstwa narzucały swój porządek innym państwom, jak to się wydarzyło choćby podczas kongresu wiedeńskiego (1815) czy po II wojnie światowej w Jałcie i Poczdamie (1945), definitywnie należą do przeszłości. Weszliśmy na trwałe w epokę multilateralizmu. Wszelkie rozważania o tym, że świat dwubiegunowy (oparty na równowadze siły i strachu) zostanie zastąpiony światem jednobiegunowym (czyli hegemonią jednego mocarstwa) czy wielobiegunowym (opartym na różnych centrach siły) są wyrazem intelektualnego założenia, jakoby dwa bieguny, które ukształtowały się po drugiej wojnie światowej, były jedynym punktem odniesienia. Policentryczny świat (określany terminem „wielobiegunowości") nie jest tożsamy z multilateralizmem, który wyraża zupełnie inną rzeczywistość polityczną opartą na poszanowaniu zasady równości państw i ich suwerenności. Jej istotą jest poszanowanie tych zasad kształtujących wielostronny system oparty na współzależności.

Multilateralizm

Reakcją na zjawisko globalizmu jest z jednej strony niekontrolowany, żywiołowy proces fragmentaryzacji, a z drugiej – postępująca multilateralizacja relacji między państwami. Jej przejawem jest niezwykle szybki liczebny wzrost międzypaństwowych instytucji w skali globalnej i regionalnej, zwłaszcza w Europie („The Yearbook of International Organizations" odnotowywał w styczniu 2010 roku 73 tysiące międzynarodowych organizacji, do których corocznie dodaje się około 1200 nowych). Tworzą one swoisty odrębny system, a zarazem są narzędziem kształtowania przez państwa i inne podmioty prawa międzynarodowego tego, co często określamy jako społeczność międzynarodową. Istotnym elementem funkcjonowania tej społeczności jest współdziałanie. Jest to odpowiedź na anarchizację i podważanie ładu międzynarodowego. Wielostronne organizacje międzynarodowe przeciwdziałają tendencjom do stopniowego podważania podstaw, na których opiera się współczesny ład międzynarodowy. Negatywną rolę w tym zakresie odegrała polityka czołowych aktorów globalnej sceny międzynarodowej, dla których pożądany międzynarodowy porządek oznacza nie tyle stabilizację, ile destabilizację, odzyskiwanie utraconych pozycji, osłabianie i uzależnianie od siebie państw sąsiadujących („bliska zagranica", limitrofy) i powrót do polityki siły, szantażu, a także zastraszania rywali oraz słabszych sąsiadów. (...)

Jednak w dzisiejszym świecie równie wielką rolę jak potencjały jądrowe odgrywają całkiem inne czynniki: cyberprzestrzeń, środki komunikacji społecznej, a przede wszystkim potencjały naukowo-technologiczne i – co nie mniej ważne – respektowanie przyjętych zobowiązań i wspólnych wartości. Kontrowersje dotyczą głównie

tych czynników, które w tradycyjnym myśleniu strategów „nieliberalnej demokracji" mają znaczenie raczej dekoracyjne i retoryczne, a nie merytoryczne i rozstrzygające. Przeciwnicy multilateralizmu w Stanach Zjednoczonych demonstrowali w okresie prezydentury Trumpa swoją arogancję między innymi wystąpieniem ze Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) i z Paryskiej Konwencji Klimatycznej (2015) – w przeświadczeniu, że oba te instrumenty są dla USA „obciążeniem" i nie służą dobrze amerykańskim interesom. Niechętny stosunek Trumpa do Unii Europejskiej i krytyczna ocena europejskich sojuszników w NATO postawiły pod znakiem zapytania trwałość transatlantyckich więzów.

Odpowiedzią Francji i Niemiec była przedstawiona we wrześniu 2019 roku inicjatywa *Alliance for Multilateralism*. Istotą wspólnej Deklaracji była teza, zgodnie z którą: „*The COVID-19 pandemic is* a *wake up call for multilateralism*". Bowiem pandemia wymusza konieczność pilnego przeciwdziałania dewastującym skutkom wirusa. Z tego względu narody powinny wprowadzić „bezprecedensowe środki przeciwdziałania, z zamykaniem granic włącznie. Jakkolwiek wirus nie zna granic. Wszystkie państwa są poszkodowane. Powinniśmy pozostać zjednoczeni w naszym wspólnym człowieczeństwie". Multilateralizm w tym „ujęciu wymaga większej i wzmożonej współpracy międzynarodowej i globalnej solidarności". Wspólna odpowiedź na pandemię powinna być „kooperatywna, transparentna, oparta na nauce i skoordynowana w skali globalnej". Pilnym i nadrzędnym zadaniem jest „utrzymanie zasad demokracji i rządów prawa". Innymi słowy, multilateralizm w obliczu pandemii wymaga od państw, by w podejmowaniu decyzji kierowały się zasadami i sposobami, które będą „ograniczone w czasie, niedyskryminacyjne, respektujące prawo międzynarodowe, włącznie z prawami człowieka".

Pandemia nie może usprawiedliwiać pogwałcenia tych zasad. (...) **Bowiem głównym zagrożeniem we współczesnym świecie nie są konflikty międzynarodowe, ale wewnętrzne. Ich źródłem jest podeptanie wartości, norm i zasad prawa, reguł i procedur państwa praworządnego.** Głównym zatem zagrożeniem dla pokoju wewnątrz państw i potencjalnym źródłem konfliktu międzynarodowego staje się dewastacja demokratycznych instytucji, podeptanie praw człowieka i ograniczanie swobód obywatelskich – w tym wolności myśli, wyznania, sumienia oraz przekonań.

Kryzysowe zarządzanie

Przeciwnicy tych i innych wielostronnych zobowiązań natury politycznej i prawnej absolutyzują pojęcie suwerenności pojmowanej w sposób anachroniczny i oderwany od realiów XXI wieku. Ignorują fakt, że każda umowa międzynarodowa – dwu- i wielostronna – oznacza wzajemne wyrzeczenie się części praw suwerennych na rzecz państwa-sygnatariusza, z którym zawierana jest konwencja. W traktatach wielostronnych, na których opiera się na przykład Unia Europejska, oznacza to w praktyce rozszerzenie, a nie ograniczenie suwerenności państw członkowskich i ich prawa do współdecydowania w procesach podejmowania decyzji, które w przeszłości rozstrzygane były arbitralnie przez wielkie mocarstwa – nawet bez zasięgania opinii państw średnich i małych. Dziś państwa te są równoprawnymi podmiotami, współdecydującymi o wszystkim, co należy do kompetencji Unii. Bez poszanowania zasad multilateralizmu państwa średnie i małe odgrywałyby nieporównanie mniejszą rolę w sprawach zarówno globalnych, jak i regionalnych, a nawet w żywotnych kwestiach dotyczących ich własnego subregionu. W bilateralnych relacjach państwa, które nie są mocarstwami, były dawniej w nieporównanie trudniejszej sytuacji: musiały brać pod uwagę różnicę potencjałów gospodarczych, wojskowych, demograficznych. Decydowała nie siła prawa, ale prawo siły. Unia Europejska zmieniła ten stan rzeczy. W skali globalnej – z uwzględnieniem sieci wyspecjalizowanych organizacji ONZ oraz instytucji regionalnych możemy – choćby w kontekście decyzji sugerowanych państwom przez Światową Organizację Zdrowia – mówić o zwiększeniu skuteczności multilateralizmu, który w sytuacji egzystencjalnego zagrożenia przybiera charakter coraz bardziej efektywnego globalnego zarządzania. Kryzysowe sytuacje wymuszają nowe podejścia w skali regionu i świata; multilateralizm jest nie tyle koncepcją, ile koniecznością w warunkach egzystencjalnego zagrożenia całych państw i narodów. Pandemia stała się katalizatorem w budowaniu Europy silniejszej, bardziej zintegrowanej i skuteczniejszej. W coraz większej mierze państwa w warunkach wymuszających natychmiastowe przeciwdziałanie zwracały się do Unii, upatrując ratunek we wspólnotowych decyzjach. (...)

Konieczność podejmowania śmiałych decyzji wynika nie tyle z intelektualnych przemyśleń i rekomendacji zawartych w niezliczonych raportach analityków, badaczy i uczonych, ile z rozpoznania nowej rzeczywistości. Życie wymusza zmiany. Dwaj amerykańcy autorzy przed kilkoma laty sporządzili katalog nowych problemów i wyzwań, przed którymi stały i nadal stoją zarówno Stany Zjednoczone, Europa, jak i pozostałe regiony świata. Zwracali uwagę na jakościowo nowe zjawiska, które wymagały pilnego wspólnego i konkretnego działania nie tyl-

ko w formie rezolucji, ale konkretnej akcji. Sformułowali ostrzeżenia związane z różnymi pandemiami, zmianami klimatycznymi (podnoszeniem się poziomu światowego oceanu), niebezpieczeństwem wybuchu wojny nuklearnej, konsekwencjami cyfryzacji i rozwoju internetu oraz militaryzacją cyberprzestrzeni, „edytowaniem" kodu genetycznego. (...)

Pandemia a systemy polityczne

Często powtarzana jest opinia, że pandemia COVID-19 testuje demokrację. W istocie sposoby zwalczania pandemii testują wszystkie formy sprawowania władzy – demokratyczne i niedemokratyczne, liberalne i antyliberalne, praworządne i despotyczne, autorytarne i dyktatorskie. Jednak środki i drogi, jakimi należałoby zneutralizować pandemię, nie potwierdzają powszechnie uznawanej tezy, jakoby doświadczenie COVID-19 zmieniło jakościowo znany nam świat, który będzie już inny od tego, jaki znamy z przeszłości. Henry Kissinger jako remedium proponował trzy kierunki działania: po pierwsze wykorzystać zdobycze nauki do produkcji skutecznych szczepionek, które zapobiegałyby epidemiom; po drugie, pilne uzdrowienie gospodarki i wykorzystanie w tym celu doświadczeń z przezwyciężenia kryzysu finansowego z 2008 roku; po trzecie – stworzyć zabezpieczenia, które przywróciłyby żywotność ładu światowego opartego na uniwersalnych i liberalnych wartościach (bezpieczeństwo, porządek, dobrobyt mieszkańców i sprawiedliwość). Postulaty te nie zaskakują; nie odznaczają się jakościowo innym podejściem do rozwiązywania problemów przyszłości od postulatów i programów politycznych znanych w przeszłości. Są to wartości konserwatywne, które świat zawdzięcza epoce Oświecenia. Ich poszanowanie w skali globalnej – na płaszczyźnie międzynarodowej i wewnątrz państw – skłania przywódców do odpowiedzialności i powściągliwości we wzajemnych relacjach.

Z kolei Francis Fukuyama znacznie wcześniej dostrzegł w monografii *Tożsamość* nowy problem; zwrócił uwagę, że w epoce globalizacji swoistą miną o opóźnionym zapłonie jest narastająca potrzeba uznania naszej odmienności i „naturalne żądanie uznania naszej godności". Demokracja liberalna jest zbudowana wokół praw przypisanych jednostkom, które – jak pisze – „są równe w swojej wolności, czyli mają równe możliwości wyboru i taką samą sprawczość w determinowaniu ich wspólnego życia politycznego". W tym miejscu należałoby dodać, że równość wobec prawa nie oznacza, że wszystkie jednostki czy nawet całe grupy społeczne są rzeczywiście traktowane jednakowo i mogą korzystać z tych samych praw; jakkolwiek państwo liberalno-demokratyczne ma obowiązek zapewnienia obywatelom, jak również mieszkańcom, którzy nie mają obywatelstwa, ale zamieszkują na terytorium takiego państwa, poszanowanie godności osobistej i respektowanie przysługujących im praw.

Rzeczywistość polityczna, społeczna i ekonomiczna jest daleka od założeń liberalnego ustroju w państwach, które we własnej percepcji, ale również w postrzeganiu przez zewnętrznych obserwatorów uchodziły i uchodzą za wzorowe systemy liberalnej demokracji. Zamieszki, demonstracje i masowe protesty na ulicach miast Holandii, Francji, Wielkiej Brytanii, a w szczególności gwałtowne i krwawe wydarzenia w Waszyngtonie 6 stycznia 2021 roku, kiedy pełen gniewu i wściekłości tłum zwolenników Donalda Trumpa, przeświadczonych o tym, że wynik wyborów został sfałszowany, zaatakował Kapitol – symbol amerykańskiej demokracji – uświadomiły to wszystkim Amerykanom i całemu światu, jak krucha jest demokracja – nawet w najpotężniejszym jej bastionie jakim są Stany Zjednoczone.

Zaprzysiężenie nowego prezydenta Joe Bidena przywróciło wiarę w skuteczność instytucji amerykańskiej demokracji, ale nawet podpisane w pierwszym dniu rządów dekrety nie rozwiązały przyczyn głębokiego podziału, a właściwie przepaści, która podzieliła społeczeństwo Stanów Zjednoczonych.

To nie pandemia była i jest przyczyną tego podziału. Źródła tego, co obserwował 6 stycznia 2021 roku cały świat, są głębsze. Mają długą historię. Amerykański noblista Joseph E. Stiglitz w pracy *Społeczeństwo, władza i zysk: postępowy kapitalizm w dobie niezadowolenia* sygnalizował, że rosnąca większość Amerykanów pragnie powszechnej opieki zdrowotnej, szerszego dostępu do edukacji, wyższych płac minimalnych, ściślejszej kontroli dostępu do broni. Prognozował, że wobec takich oczekiwań Partia Republikańska utrzyma się u władzy jedynie wtedy, gdy jej polityka będzie w swej istocie antydemokratyczna. Stiglitz ze swoich doświadczeń, kiedy był głównym ekonomistą Banku Światowego, a następnie, gdy przewodniczył Międzynarodowej Komisji do Spraw Pomiaru Wyników Gospodarczych i Postępu Społecznego, wyciągnął wniosek: „Jednym z czynników, na który zwróciliśmy uwagę było zaufanie – zaufanie obywateli do siebie nawzajem i do wspólnych instytucji". (...)

To nie pandemia podważyła miejsce i rolę Stanów Zjednoczonych w świecie, ale czynniki wewnętrzne – erozja amerykańskiej demokracji, utrata zaufania obywateli do państwa, nierówności społeczne i brak gotowości państwa oraz jego instytucji do przeprowadzenia głębokich

i skutecznych zmian, które dostosowałyby Stany Zjednoczone do zadań i wyzwań XXI wieku.

Zwracała na to uwagę Madeleine Albright, jedna z najbardziej doświadczonych i zaangażowanych osób na amerykańskiej scenie politycznej w promowanie demokracji w skali globalnej. W eseju *Faszyzm. Ostrzeżenie* pisała z trwogą: „Faszyzm nie przydarzył się ludzkości przypadkiem. Czai się w mrocznych zakamarkach ludzkiej natury" i konkludowała: „Musimy zdawać sobie sprawę, że niszczenie wartości demokratycznych staje się faktem w wielu krajach na świecie, dzieli też społeczeństwo amerykańskie. Stajemy przed pokusą, by zamknąć oczy i przeczekać najgorsze. Historia jednak uczy, że wolność nie obroni się sama".

W podobnym tonie utrzymane są refleksje Anne Applebaum, która w książce *Zmierzch demokracji. Zwodniczy powab autorytaryzmu* przywołuje trafną opinię wybitnej amerykańskiej intelektualistki i ambasadorki przy ONZ Jeane Kirkpatrick: „Żeby zniszczyć społeczeństwo, trzeba najpierw delegitymizować jego podstawowe instytucje". Nie bronimy przecież wartości, których nie podzielamy, ani instytucji, które uznajemy za złe i dysfunkcjonalne. Tam, gdzie półprawdy i oczywiste kłamstwa traktowane są jako „prawdy alternatywne", równoważne do tego, co jest odbiciem świata rzeczywistego, zanika również różnica między demokracją a jej zaprzeczeniem; samo pojęcie i istota demokracji – jej instytucji i wartości, na których się opiera – zmienia swój sens, kiedy pojawia się przymiotnik „suwerenna". W przeszłości taki był sens, a właściwie bezsens terminu „demokracja ludowa" (czyli „ludowe ludowładztwo"), który określał ustrój monopartyjnej dyktatury i bezprawia. (...)

Próbą zrozumienia tego, co się stało, jest monografia Ivana Krasteva i Stephena Holmesa (*Światło, które zgasło. Jak Zachód zawiódł swoich wyznawców*). Autorzy stawiają pytania: jak to się stało, że liberalizm padł ofiarą własnego głośnego zwycięstwa w zimnej wojnie; dlaczego dawny blask utraciła nawet sama idea „społeczeństwa otwartego", a wiara w demokrację gwałtownie słabnie? (...) Jedną z odpowiedzi Krasteva i Holmesa było to, że państwa Europy Środkowo-Wschodniej po uwolnieniu się z narzuconych reguł reżimu „demokracji ludowych" weszły w okres trzech dekad *Wielkiej Imitacji* – czyli naśladownictwa liberalnych idei i instytucji demokracji zachodniego typu. Ich zdaniem, epoka ta dobiegła końca w drugiej dekadzie XXI wieku, ponieważ na globalnej scenie politycznej pojawiły się Chiny, których osiągnięcia w sferze gospodarki i rosnącej militarnej potęgi są dla Stanów Zjednoczonych i całego Zachodu głównym wyzwaniem. W opinii Krasteva i Holmesa koniec Wielkiej Imitacji nie oznacza, że demokracja liberalna zniknie. Swoje rozważania zamykają prognozą, że doświadczenia ostatnich lat nie prowadzą do nowej edycji zimnej wojny czy też hegemonii jednego lub kilku mocarstw, ale „do świata pluralistycznego i konkurencyjnego, gdzie żaden z ośrodków władzy militarnej i gospodarczej nie będzie dążył do rozpowszechniania swojego systemu wartości na całym globie". Jest to nie tyle prognoza, ile postulat, który wyraża intencje autorów. Jednak globalne mocarstwa we wzajemnych stosunkach z reguły nie kierują się pobożnymi życzeniami ani modelowymi rozwiązaniami proponowanymi przez myślicieli, intelektualistów i uczonych, ale strategicznymi interesami i własnymi ocenami rzeczywistych oraz wyimaginowanych zagrożeń.

Uwagi końcowe

Pandemia jest sprawdzianem tego, w jakim stopniu istniejący porządek międzynarodowy jest wydolny w skali regionalnej i globalnej. Jest sprawdzianem skuteczności wielostronnych międzynarodowych organizacji (w tym WHO) i wspólnotowych (typu UE). Jest też wyzwaniem, ponieważ pogłębia istniejące kryzysy, które wystąpiły wcześniej, ale uległy zaostrzenia ze względu na narodowe egoizmy; z drugiej strony – pandemia przyspiesza procesy integracji, już choćby dlatego że skuteczne jej przezwyciężanie wymusza globalne i regionalne współdziałanie. Mechanizmy tego współdziałania nie zastąpią ładu międzynarodowego, który kształtuje się i opiera na wartościach i ideach oraz zasadach, normach i procedurach. Ich geneza i korzenie tkwią i wyrastają z potrzeb wewnątrz państw. W wielu państwach o długiej tradycji sprawnego funkcjonowania instytucji demokratycznych (jak Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Francja, Niderlandy, Austria, Szwecja i inne) aparaty państwowe zawiodły. Procesy zwalczania pandemii okazały się niewydolne. Godzi się odnotować, że przezwyciężanie skutków pandemii nie pogłębia linii podziału między światem demokratycznym a niedemokratycznym. Pandemia – podobnie jak inne globalne zagrożenia (zmiany klimatyczne, dewastacja naturalnego środowiska, sztuczna inteligencja, eksploracja kosmosu) stawiają na porządku dziennym potrzebę poszukiwania wspólnych regionalnych i globalnych rozwiązań nie tylko nowych problemów, ale też „starych", które nie znikły – choć wyparte zostały z pierwszych stron gazet przez nowe, nieznane dawniej zagrożenia i ryzyka. Do problemów tych należy zarówno wzrost nierówności w skali całego globu, ale też wewnątrz największych mocarstw światowych; z kolei zmiany klimatu, pustynnienie wielu obszarów na Południu globu wymusi-

ły wędrówki ludów, których wyrazem jest narastająca niekontrolowana masowa migracja na Północ; przenoszenie nisko opłacanej produkcji przemysłowej do biednych i zacofanych państw Azji, Afryki i Ameryki Południowej oraz transfer zysków pogłębiają przepaść między półkulą północną a południową.

Problemem szczególnej wagi jest pilna konieczność zmniejszenia ryzyka wybuchu wojny z użyciem broni rakietowo-jądrowej. Przyspieszonej militaryzacji globalnych mocarstw (Chiny, Rosja, USA) towarzyszy paraliż i porzucenie ukształtowanych i funkcjonujących w pozimnowojennym okresie mechanizmów w miarę skutecznej kontroli zbrojeń zarówno konwencjonalnych, jak i nuklearnych. Rosjanie zasygnalizowali ostatnio zdolności do wielowymiarowego wyprzedzającego ataku, argumentując, że jest to odpowiedź na potencjalną amerykańską strategię.

Rozwój technologiczny sprawił, że nowe typy uzbrojenia nie były objęte żadną kontrolą ani ograniczeniami. Zagrożenia te stwarzają tym większe ryzyko, ponieważ są one wielowymiarowe, trudno rozpoznawalne, dotyczą przestrzeni fizycznej i cybernetycznej, mają charakter wielosektorowy i ich oddziaływanie wpływa nie tylko na sferę wojskową, ale również na nastroje społeczne. W szczególności odnotowano ingerencję w procesy wyborcze w wielu państwach demokratycznych. Ostrzeżenia w tej mierze sygnalizują raporty nie tylko służb specjalnych wielkich mocarstw, ale również państw średnich i małych położonych w pobliżu Rosji lub bezpośrednio z nią graniczących.

W czasie pandemii sprawy te zeszły na dalszy plan. Nie budziły takiego zainteresowania, jak protesty na Białorusi związane z zafałszowanymi wynikami wyborów przez prezydenta Aleksandra Łukaszenkę czy masowe poparcie dla Aleksieja Nawalnego, który – po próbach otrucia go w Rosji i po leczeniu w berlińskiej klinice – powrócił do Rosji i został ponownie uwięziony, ponieważ stał się na rosyjskiej scenie politycznej jedyną wyrazistą alternatywą wobec autorytarnych rządów prezydenta Putina. (...)

W warunkach braku dialogu i kanałów codziennej wymiany informacji istotną rolę mogą odegrać regularne spotkania uczonych i ekspertów. Są to kanały nieformalne i nieoficjalne, zapobiegające temu, by niezamierzone incydenty nie doprowadziły do eskalacji i przerastania w poważny konflikt zbrojny. (...)

Znamienne jest to, że wszystkie te postulaty były przedmiotem uzgodnień na przełomie lat 80. i 90. ubiegłego wieku. Porozumienia w tych sprawach stanowiły w kwestii wojskowych aspektów bezpieczeństwa fundament, który pozwolił zamknąć etap zimnej wojny i konfrontacji między Wschodem a Zachodem. To, że powróciły one na porządek dzienny debaty o przyszłych sposobach zmniejszenia ryzyka konfliktu zbrojnego, świadczy o tym, jak poważne i niebezpieczne zmiany nastąpiły w relacjach dotyczących bezpieczeństwa między Rosją a Zachodem. Źródłem tych negatywnych zmian nie były konflikty między Rosją a NATO, ale wewnętrzne procesy zachodzące w samej Rosji podyktowane próbami odzyskania tego, co zostało utracone – imperialnej pozycji i budowania międzynarodowego prestiżu nie na podstawie wzajemnego zaufania, ale na sile wojskowej i zastraszaniu.

Zagrożeniem większym od pandemii jest erozja fundamentów, na których opiera się system wartości demokratycznego świata. Należą do nich moralność, prawda i wzajemne zaufanie. Złożyło się na to wiele przyczyn. Jedną z nich jest niezdolność do internalizacji tempa i głębi zachodzących zmian. Świat się skurczył i skomplikował. Potrzeba zrozumienia tych zmian wymaga często tego, o czym profetycznie pisze Olga Tokarczuk: „Będziemy potrzebowali nowych map oraz odwagi i humoru wędrowców, którzy nie zawahają się wystawić głowy poza sferę dotychczasowego świata, poza horyzont dotychczasowych słowników i encyklopedii". (...)

Fragmenty tekstu *Porządek międzynarodowy w czasach pandemii za Rocznikiem Strategicznym 2020/21* (pod red. Romana Kuźniara), luty 2021, za łaskawą zgodą Autora i Wydawcy.

Skróty i tytuł pochodzą od redakcji „Krakowa". Tekst zawierał także obszerne przypisy naukowe.

Adam Rotfeld – polityk, dyplomata, profesor, ekspert stosunków międzynarodowych, były minister spraw zagranicznych RP, członek wielu międzynarodowych gremiów doradczych. Zdjęcie: Grzegorz Gołębiowski / Wikimedia Commons

TEMAT MIESIĄCA:

Polska po złych czasach
Adam Daniel Rotfeld s. 1

Głównym zagrożeniem we współczesnym świecie nie są konflikty międzynarodowe, ale wewnętrzne. Ich źródłem jest podeptanie wartości, norm i zasad prawa, reguł i procedur państwa praworządnego. Głównym zatem zagrożeniem dla pokoju wewnątrz państw i potencjalnym źródłem konfliktu międzynarodowego staje się dewastacja demokratycznych instytucji, podeptanie praw człowieka i ograniczanie swobód obywatelskich – w tym wolności myśli, wyznania, sumienia oraz przekonań.

MEDAL „ZA MĄDROŚĆ OBYWATELSKĄ" 2021

Medal „Za mądrość obywatelską" AD 2021 dla Adama Bodnara s. 24
Siła prawa, mądrość obywateli
Adam Bodnar/Witold Bereś i Krzysztof Burnetko s. 26

KRAKÓW MÓWI

Okiem kaowca
Irek Grin/Katarzyna Kachel s. 39

LUDZIE, MIEJSCA, WYDARZENIA

Giełda na „Szpitalce" Krzysztof Jakubowski s. 14
Teatr mój widzę kompaktowy
Magda Huzarska-Szumiec s. 16
Literacki Wrocław wita literacki Kraków s. 38
Jak to na wojence... Magdalena Grzebałkowska/
Magdalena Huzarska-Szumiec s. 45
Spacerem po Dębnikach Krzysztof Jakubowski s. 56
Kronika kulturalna s. 87, 89
Krakowski łącznik s. 90
Kraków (Główny) s. 91
Linia A–B s. 92

REKOMENDACJE

Fotografie ze szklanego słoika
Magda Huzarska-Szumiec s. 36
Wirtuoz spacerowników Witold Bereś s. 54
Książeczka ucieszna, a i pożyteczna
Witold Bereś s. 63

OBYWATELE KRAKOWA

Kiwi najlepiej brzmi nocą (Wiktoria Nazarian)
Marta Gruszecka s. 12

PORTRETY 2021

Leśmian, Dołęga, ród Skąpskich s. 64

HISTORIA

Mistrz wodewilu, piewca przedmieść
Ewa Danowska s. 60
Prasa sprzed stu lat Krzysztof Jakubowski s. 65

TEATR

Bohumil Hrabal i Jerzy Zoń Paweł Głowacki s. 70

FILM

Portret miasta w czasach marnych
Maria Malatyńska s. 74
Słońce i cień Łukasz Maciejewski s. 78

KSIĄŻKI

Nasza biblioteka s. 84
Moja Krakowska Książka Miesiąca
Janusz M. Paluch s. 88

GALERIA „KRAKOWA"

Łukasz Stokłosa Magda Huzarska-Szumiec s. 50

FELIETON

NA CZERWONYM ŚWIETLE Ewa Lipska s. 9
OKIEM BERESIA Witold Bereś s. 10
Z NAJWYŻSZEJ PÓŁKI Krzysztof Burnetko s. 11
SMOCZE JAJO Mieczysław Czuma s. 81
BEDEKER KRAKOWSKI Iga Dzieciuchowicz s. 83
LUBIĘ LUBIĆ Agnieszka Kosińska s. 96

OKŁADKA

Rys. Piotr Błachut

Z ostatnich wiadomości: w polityce chaos, bezprawie, zdrada. Niewierni posłowie odnajdują się – dla dobra ojczyzny – w maMONIE i na ministerialnych Giewontach. Czterej pancerni, KUKIZ15, wsparciem ogniowym dla rządzącej partii. Pies opuścił kraj.

Ewa Lipska – krakowianka, poetka, felietonistka, niegdyś redaktorka działu poezji Wydawnictwa Literackiego i dyrektorka Instytutu Polskiego w Wiedniu, członkini polskiego i austriackiego Pen Clubu oraz Polskiej Akademii Umiejętności i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Rys. Piotr Błachut

W Usnarzu, czyli w Polsce

Tekst: Witold Bereś

Okazuje się, że polska gościnność obowiązuje tylko wobec naszych, a i to nie zawsze. Obcy niech zdychają.

Co za traf, pech, zły los? W szczycie urlopu, który nigdy wcześniej nie miał szans być tak tulący, nagle gorączka, piekielny ból i lekarza miejscowego rada, że to może nic, że minie po etopirynie, a siły doda antybiotyku koda.

Na szczęście mam telefon do przyjaciela. Kuba, chirurg znakomity i dobry człowiek, mówi z dalekiego Krakowa, wysłuchując opisów: – Uważaj, możesz się przekręcić. Tobie pod nóż jak najszybciej, a nie na dorsza.

Cudem, w ostatniej chwili, udało się. Leżę więc teraz w spokojnym krakowskim szpitaliku, za oknem jesień złota.

*

Jak jest w szpitalu, wszyscy wiemy. Wiem, uwielbiamy narzekać. Ale jesteś w ciepłym pomieszczeniu w rodzinnym mieście, masz dużo szczęścia i kochaną rodzinę, która jest z tobą, masz lekarzy, którzy o ciebie dbają. Masz przyzwoity poziom usług zdrowotnych. Dostęp właściwie do wszystkich niezbędnych leków. Masz całkiem przyzwoitą kuchnię. Patrzę na swój talerz. To kosztuje podobno 10 złotych dziennie! Śniadanie: trzy kromeczki chleba ciemnego z odrobiną masła i mały pojemnik twarogu albo jogurtu. I ćwiartka pomidora, kubek kawy. Obiad to zupa: widać, że jest tam i mięso – raczej indyk, jakieś jarzyny, kasza. Wlewasz w siebie z przyjemnością. Jest i drugie: owszem w katolickim kraju w piątki dają rybę, co oznacza, że dostajesz mrożonego dorsza, ale oprócz tego są dania standardowe: pulpety z indyka w sosie jarzynowo-jarzynowym koloru nieokreślonego z ziemniaków dużą porcją. Na kolację *apiat'*: trzy kromeczki ciemnego chleba, szynka z indyka, dwa plastry, jedna czwarta pomidora, kubek herbaty. Wiem, to nie jest stołówka komisarza więzienia brawurowo zagranego przez Marka Kondrata w filmie *Kilerów dwóch*. Ale to jest przyzwoite, nikt nie oczekuje tu cudów. Mało tego: to jest pożywne.

W szpitalnictwie to jest koszt 10 do 12 złotych. W ośrodkach dla uchodźców ma to być od ośmiu do dziesięciu złotych. Ponoć za drogo. Ale jak to możliwe, że jest państwo, które może postawić na granicach wschodnich już wkrótce trzydzieści osiem czołgów Abrams, najlepiej wyposażonych. Państwo, które może wystawić dywizjon samolotów F-35, najnowszych. I państwo, które jest w stanie opłacić złote cekiny na cyckach tańczących panienek w rozmaitych programach telewizji misyjnej. Więc jak to możliwe, że to państwo nie jest w stanie zdobyć się na tysiąc, niechby i dwa tysiące, takich posiłków dziennie? Mówi się, że przez granicę przechodzi około tysiąca, tysiąc pięciuset nielegalnych uchodźców. Idą szybko dalej, nikt nie chce tu zostawać, wiedząc, jaka jest Polska. Wiedzą o tym nawet w Afganistanie. Wszyscy zmierzają oczywiście do Niemiec. To jest prawdziwy problem dla całej Unii Europejskiej, dla Polski. Ale utrzymanie tylu uchodźców nie może być żadnym problemem! Kiedy tu, w szpitalu, jem sałatkę śledziową, całkiem smaczną, z trzema czarnymi kromkami chleba, i słyszę, że trzech chłopaków afgańskich w obozie dla uchodźców trzymanych w warunkach niemal więziennych z głodu poszło do lasu, nazbierało grzybów, zatruło się i z tej trójki dwóch zmarło w strasznych cierpieniach, to się zastanawiam, czy nadajemy się do czegokolwiek...

Polska jest państwem biednym. To może chociaż Polska jest państwem gościnnym? Znamy te wszystkie powiedzonka: gość w dom, bóg w dom, dla nieznanego wędrowca w wigilię trzeba zachować miejsce przy stole, tradycyjna polska gościnność i tak dalej.

Ale niech będzie: Polska jest państwem biednym. To może chociaż Polska jest państwem gościnnym? Znamy te wszystkie powiedzonka: „Gość w dom, Bóg w dom", dla nieznanego wędrowca w wigilię trzeba zachować miejsce przy stole, tradycyjna polska gościnność i tak dalej. Okazuje się, że gościnność to ostatnia rzecz, która jest w nas głęboko wbudowana. Ona jest tylko dla tych z naszej grupy etnicznej, a i to nie zawsze. Obcy niech zdychają.

*

Ale nawet, jeżeli nas nie stać, nawet jeżeli nie jesteśmy gościnni, nawet jeżeli jest nam to obce kulturowo, nawet jeżeli my im tu palec, a oni nam zaraz całą rękę, nawet jeżeli jest to prowokacja Łukaszenki albo plan obmyślony w fortecy na Żoliborzu, by się chwalić Polakom, jak walczy się o polską suwerenność i granice, to pojawia się pytanie najważniejsze: po co mamy być w Europie? Mamy wziąć pieniądze, zabrać je, zapomnieć i się wypisać? Chciałbym, żebyśmy na to patrzyli inaczej. Ale leżę teraz w szpitalnym łóżku, wszystko mnie boli, źle się czuję, no, ale przecież w Usnarzu jest trochę gorzej...

Witold Bereś – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków".

Mądrość buntu

Tekst: Krzysztof Burnetko

Tak się jakoś składa, że od kilku lat podczas wręczania Medalu „Za mądrość obywatelską" pojawia się refleksja, że mądrości musi teraz towarzyszyć odwaga. Więcej – dziś w cnotę obywatelskiej mądrości wpisany jest bunt.

Przednim przykładem tej zależności jest tegoroczny laureat wyróżnienia – Adam Bodnar. Jego aktywność jako rzecznika praw obywatelskich polegała zarówno na prawniczej, obywatelskiej i osobistej mądrości, jak też na buncie – przeciwko łamaniu przez władzę i jej funkcjonariuszy różnych szczebli konstytucyjnych zasad, praw i wolności oraz przeciw próbom wmówienia rodakom, że te obywatelskie prawa i wolności to jedynie ideologia, oczywiście narzucona z zewnątrz, nieprzystająca do polskiej tradycji, a w ogóle to niekoniecznie potrzebna, jeśli wręcz nie szkodliwa. Rzecznik Bodnar buntował się uparcie, acz zawsze z prawniczą klasą i mądrością właśnie. Stąd też decyzja związanej z „Krakowem" kapituły (szerzej piszemy o tym w środku numeru, gdzie publikujemy również obszerną rozmowę z Adamem Bodnarem).

Nie przez przypadek pewnie jego kolega z prawniczej branży, a także towarzysz w ruchu obywatelskiego zaangażowania Marcin Matczak poświęca ogłoszoną niedawno książkę *Jak wychować rapera*... wadze i „moralnej doniosłości" buntu. Co więcej, w założeniu wydawcy miał to być zbiór wskazówek, poradnik niemal, jak wychowywać ludzi na dobrych obywateli. Autor wyłącznie w imię większej przystępności przekształcił go w osobistą opowieść o relacjach ojca z synem (znanym pod pseudonimem artystycznym Mata) skonstruowaną na podstawie tekstów jego piosenek.

Przytoczmy kilka myśli Marcina Matczaka:

„Porządny człowiek, a co za tym idzie – dobry obywatel, musi wykształcić w sobie zdolność do rebelii, jeśli okoliczności tego wymagają".

„Bunt wymaga moralnej odwagi i jest kluczowy dla utrzymania w sobie człowieczeństwa" (za Susan Sontag).

„Potencjalny faszysta to człowiek, który ma predyspozycje, aby sensem swojego życia uczynić nienawiść biorącą się albo z poczucia poniżenia, albo z bezkrytycznego przekonania, że ma rację. Chce on społeczeństwa bez wolności, bez buntu, bez spontaniczności, społeczeństwa, w którym kluczową wartością jest bycie takim samym jak inni".

„W wychowaniu naszych dzieci, zajęci innymi ważnymi wartościami, możemy zapomnieć o potrzebie ocalenia w nich rozwijania spontaniczności. Może nam się to wydać nieistotne – chcemy przecież, aby dzieci były przede wszystkim dobre, mądre, posłuszne. (...) Tymczasem spontaniczność, rozumiana jako umiejętność niestandardowego reagowania na nowe sytuacje, jest kluczowa nie tylko w naszym indywidualnym życiu, ale też w życiu społeczeństwa. Jak pisze Hannah Arendt w *Korzeniach totalitaryzmu*, zdławienie spontaniczności w jednostce i społeczeństwie jest głównym celem tych, którzy dążą do zdominowania drugiego człowiek. Zaskakujące, prawda? Nie moralność, nie mądrość, ale właśnie spontaniczność musi zostać zniszczona, aby władza totalna mogła zaistnieć. (...) Walka ze spontanicznością ma na celu przekształcenie człowieka w psa Pawłowa".

„Wspólnota na poziomie narodowym, tam przede wszystkim szukana, jest niebezpieczna, ponieważ najczęściej służy mobilizacji do walki i przemocy. Jest ulubionym tworem mentalnym patriotów głoszących swoją wyższość nad innymi, wyznaczających linie podziału między ludźmi według linii krwi i koloru skóry. Co ciekawe, to mobilizowanie, które rzadko jest mobilizowaniem do miłości, za to bardzo często mobilizowaniem do nienawiści, dokonuje się pod sztandarami religii – u nas chrześcijaństwa".

„Porządny człowiek, a co za tym idzie – dobry obywatel, musi wykształcić w sobie zdolność do rebelii, jeśli okoliczności tego wymagają".

„Patriotyzm śmierci, poświęcenia i agresji nie chce indywidualnych śpiewaków – chce tłumów skandujących dokładnie to samo i gotowych rozszarpać wrogów narodu na jedno skinienie przywódcy. Tylko zdrowy bunt, Camusowska rebelia, pozwala się temu niebezpiecznemu konsensusowi przeciwstawić".

„Antidotum na Potencjalny Faszyzm jest mądre promowanie różnorodności. Jednym z wymiarów tej różnorodności jest decyzja, aby państwem rządziła nie jedna scentralizowana władza, ale wiele mniejszych władz – władz samorządowych w gminie, powiecie, województwie. (...) Nie ma żadnego przypadku w tym, że władza autorytarna nie lubi samorządu. Denerwuje ją jego niezależność, odmienność zdania na temat tego, co dla ludzi najlepsze. Dlatego samorządność jest zwalczana przez każdy autorytaryzm – ten chce bowiem władzę skupić w jednym ręku, narzucić jednolitość myślenia, zunifikować podejście do ludzkich spraw".

„Każde złamanie abstrakcyjnej konstytucji jest ostatecznie złamaniem jakiegoś konkretnego człowieka – na przykład matki, która musi donosić zdeformowane, niemające szansy na przeżycie dziecko, bo inaczej spotka ją kara. Dlatego trzeba budować barykady w obronie praworządności, zanim abstrakcje zniżą się i uderzy bardzo realnie i boleśnie, niszcząc komuś życie, zdrowie albo zabierając wolność".

Takich obserwacji w *Jak wychować rapera* (czyli każdego dobrego obywatela) jest więcej.

Krzysztof Burnetko – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego", później tygodnika „Polityka" (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.

Muzyka Kiwi najlepiej brzmi nocą

Tekst: Marta Gruszecka **Zdjęcie:** Renata Młynarczyk / z archiwum i za zgodą Wiktorii Nazarian

Pisze teksty, śpiewa i komponuje. Urzeka barwą głosu i cierpliwością w walce o autorską muzykę. Choć w jej żyłach płynie zarówno polska, jak i ormiańska krew, Wiktoria Nazarian, na scenie znana jako Kiwi, podkreśla: mój dom jest w Krakowie.

Z muzyką zaprzyjaźniła się jako mała dziewczynka, kiedy mama zapisała ją na lekcje fortepianu. Naturalnym zatem wyborem była szkoła muzyczna, ale tylko pierwszego stopnia – po latach spędzonych na mozolnych ćwiczeniach Wiktoria czuła, że z forsowaną w szkole muzyką klasyczną jej nie po drodze. Potrzebowała oddechu. Do Krakowskiej Szkoły Jazzu i Muzyki Rozrywkowej trafiła prosto z... Helu. – Po liceum spędzałam wakacje nad morzem. W internecie wpadła mi w oczy informacja, że jedna z moich dawnych znajomych profesjonalnie zajmuje się muzyką. Dlaczego ja tego nie robię?! – pomyślałam i poczułam, że to właśnie ten moment – wspomina Wiktoria Nazarian, znana jako wokalistka Kiwi. Wysłała zgłoszenie, pomyślnie przeszła casting i po raz drugi stanęła z muzyką twarzą w twarz.

Szkoła dała jej solidną wiedzę i nowe znajomości, dzięki którym scena wciągnęła ją jeszcze bardziej. W czasie studiów zaczęła współpracę z krakowskim multiinstrumentalistą i producentem muzycznym Mateuszem Frankiewiczem, członkiem zespołu Legend of Kazimierz i Kapeli Hanki Wójciak. Jako Out of the Box grali razem przez kilka lat. – Pisanie tekstów, komponowanie autorskiej muzyki i praca w studio były niesamowitym doświadczeniem. Współpraca z Mateuszem nauczyła mnie wielu rzeczy. Po czasie poczułam jednak, że czegoś mi brakuje – przyznaje Kiwi.

Wtedy założyła małe studio we własnym pokoju. Poszukiwała, pisała, nagrywała i, jak mówi, „coś sobie dłubała”. Bez wiary w to, że muzyka zapisana na dysku zapisze się w sercach innych. Z pomocą przyszły jej media społecznościowe. – Pewnego dnia zapytałam na Facebooku, czy jest ktoś, kto mógłby pomóc mi w produkcji moich piosenek. Odezwali się Mateusz i Michał Sarapatowie, bracia ze znanego krakowskiego duetu Sarapata. Dzięki nim trafiłam pod skrzydła wytwórni Fonobo i razem wydaliśmy liczącą sześć utworów EP-kę *Nocą* – wspomina Kiwi.

Ten krótki, ale jakże przyjemny, album, którego premiera odbywała się 6 listopada ubiegłego roku, to elektroniczno-zwiewna podróż po zakamarkach wyobraźni. Zwiedzając je, każdy może wyobrazić sobie coś innego, a nawet zatracić się w jakimś tajemniczym, lecz bezpiecznym świecie. Ważne tylko, by zdążyć wrócić przed świtem – albumu Kiwi naprawdę (sprawdzałam na sobie) najlepiej słucha się nocą.

„Wolałabym gdzieś zaszyć się, i w samotności, rozkoszować się tym dźwiękiem” – śpiewa Kiwi w utworze *Widzę cię*. To właśnie jej ulubiony styl pracy – w samotności, we własnym świecie dźwięków, które przefiltrowane przez wrażliwość artystki, dają intrygujące efekty. – Lubię sama robić muzykę. Praca nad utworami to dla mnie rodzaj medytacji. Kiedy tworzę, czuję, że odpływam. Dziś nie tylko piszę i komponuję, ale też uczę się produkcji muzycznej. Chciałabym kiedyś wyprodukować płytę od początku do końca – przyznaje.

Warto podkreślić, że wydaniu EP-ki towarzyszyły teledyski. Faworytem jest klip do utworu *Co chowasz?* – historia rozgrywająca się w półmroku kolorowych świateł do charyzmy Kiwi pasuje jak ulał.

Obecnie artystka pracuje nad albumem długogrającym, który, jak zapewnia, ukaże się na przełomie października i listopada. Zapowiedzią debiutu są single *Tańcz* i *Monochrom*, oba wyprodukowane przez duet Sarapata. Wiedząc, że w żyłach Kiwi płynie ormiańska krew, chciałoby się, oj, chciałoby na płycie jakiegoś ludowego zaśpiewu, delikatnego choćby ujawnienia podwójnych genów. Tyle że artystka najbardziej lubi Kraków. – Za spokój. Za Las Wolski, w pobliżu którego mieszkam. I za wyjątkową duszę artystyczną tego miasta, której jeszcze nie zdążyła zabić komercja. Mam sentyment do Krakowa. Choć wiem, że scena muzyczna rozwija się przede wszystkim w Warszawie, mnie udaje się tutaj robić to, co kocham.

Marta Gruszecka – dziennikarka z lekkim piórem i łebskim żartem. Rozmówczyni, która potrafi słuchać. Miłośniczka kotów – czarnych i ciapatych. Maratonka, która nigdy się nie poddaje.

Uliczna giełda książek na ul. Szpitalnej we wrześniu 1928 roku, po lewej fragment domu nr 8 z antykwariatem Taffetów, fot. NAC

Giełda na „Szpitalce”

Tekst: Krzysztof Jakubowski **Zdjęcia:** Krzysztof Jakubowski i Archiwum

Aż do wybuchu ostatniej wojny każdy szanujący się krakowski gimnazjalista i student biegał dwa razy w roku na ul. Szpitalną, aby zaopatrzyć się w podręczniki, skrypty i tym podobne wydawnictwa. Ten osobliwy handel odbywał się wprost na ulicy i obu jej chodnikach, także w bramach, wtedy jeszcze szeroko otwartych, i oczywiście w antykwariatach. Trudno powiedzieć, kiedy zakorzeniła się tam ta tradycja, ale zapewne na długo przed wybuchem I wojny światowej.

Wcześniej, już od lat 70. XIX wieku, ul. Szpitalna znana była z licznych sklepików prowadzonych przez żydowskich antykwariuszy. Jak wspominał zasłużony księgarz Aleksander Słapa:

„Było trzy czy cztery antykwarnie Taffetów, tyleż Seidenów, obok nich Raucher, Wetstein, Litman. W miesiącach letnich, z końcem i początkiem roku szkolnego wrzała ulica Szpitalna zgiełkiem młodzieży sprzedającej lub kupującej podręczniki. Większość tych zasłużonych pracowników książki, starozakonnych patriarchalnych brodatych mężów i dostojnych matron miała szerokie i bliskie stosunki z bibliofilami szperaczami i naukowcami. W małych ciemnych sklepikach piętrzyły się sterty książek. Pośród stosów roczników czasopism, zaczytanych wielojęzycznych powieścideł tkwiły rzadkie i cenne egzemplarze, źródło wzruszeń i cel iście górniczych poszukiwań stałych bywalców »Szpitalki«”.

Ulica Szpitalna w pandemicznym letargu w marcu 2020 roku. Po lewej kamienica nr 8 zwana Jaroszowską, ze zrekonstruowaną gotycką fasadą, wyróżniającą się oknami o unikatowej szkieletowej konstrukcji

Wspomniane sklepiki wraz z okazjonalną giełdą nadawały ulicy nieporównywalny z niczym koloryt. Po ostatniej wojnie wróciło tam kilku ocalałych żydowskich antykwariuszy, jednak uliczna giełda już nigdy nie odrodziła się w dawnej postaci. Do lat 70. ubiegłego wieku przetrwały tam tylko trzy antykwariaty, a z dwoma przyszło się wkrótce pożegnać.

Najpierw, gdzieś w połowie 1970 roku, zwinął swoje historyczne przedsiębiorstwo Szaja Taffet, ostatni chyba potomek sławnych żydowskich antykwariuszy. Wysoki, z pokaźnym nosem i – choć już niemłody – z bujną, naturalnie ciemną czupryną. Antykwariusz wyprawił się wkrótce w swoją ostatnią podróż. Osiadł w Tel Awiwie. Do końca kupowałem u niego pocztówki dźwiękowe. Wchodziło się tam na prawo, przez wiekową żelazną bramę gotyckiego domu oznaczonego numerem 8. Do dziś zastanawiam się, jak wygospodarował miejsce na adapter i pocztówki, bo ciasnota była tam niebywała – od podłogi, aż po sufit. Zachowana fotografia z 1928 roku przedstawia część tego domu z drugim sklepikiem Taffetów, który nie przetrwał wojny.

U progu lat 70. XX wieku, wraz z przeznaczeniem narożnej kamienicy przy ul. Szpitalnej 16 do niekończącego się remontu, zniknęła też pamiętająca dawne dobre czasy księgarnia-antykwariat Kultura. Trzeci antykwariat pod numerem 19, połączony był z księgarnią. Przetrwał tylko on i dziś wraz z antykwariatem Rara Avis broni dawnych tradycji „Szpitalki”...

Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

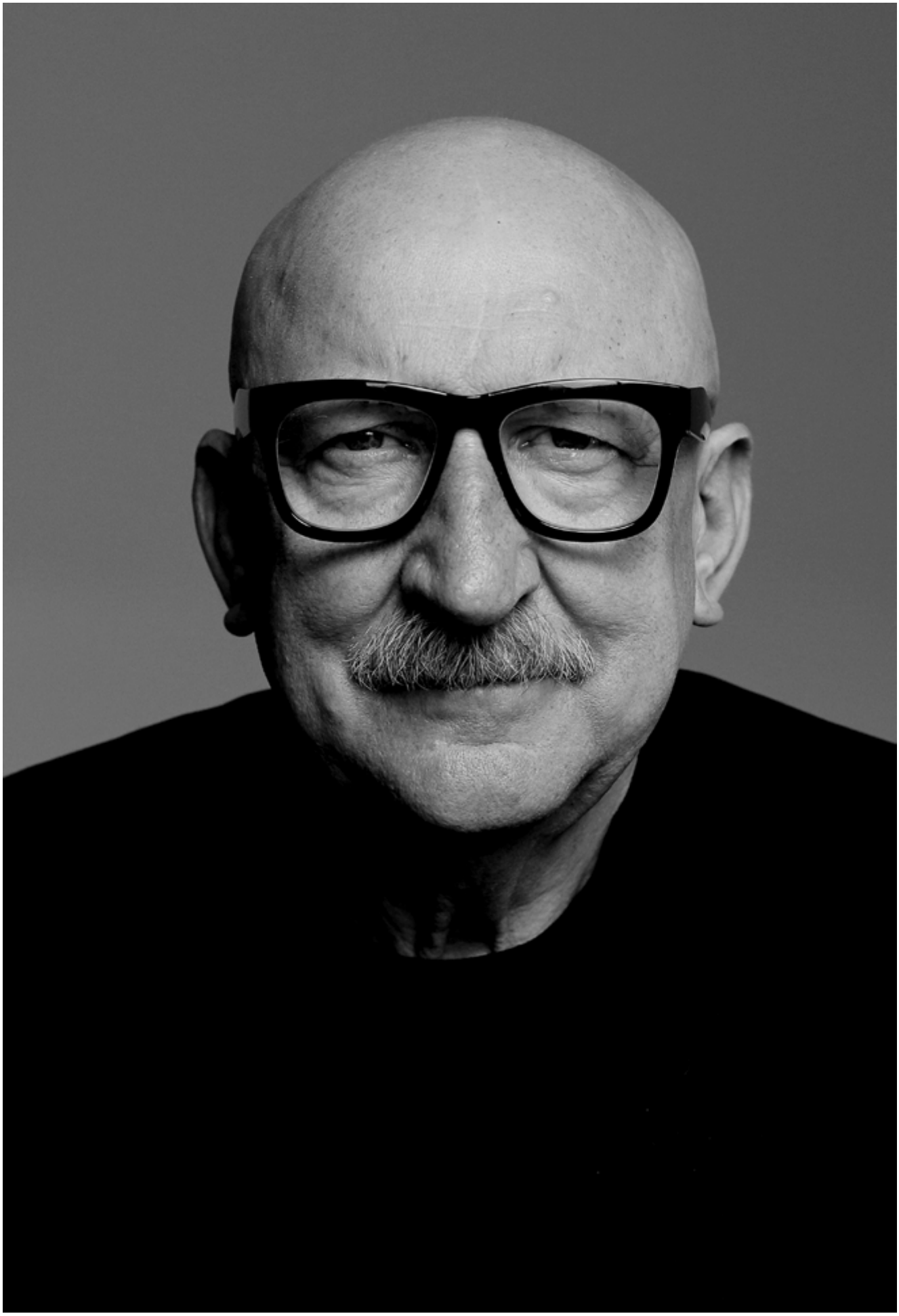

Teatr mój widzę kompaktowy

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec
Zdjęcia: Bartek Cieniawa (portret Jerzego Zonia) i Norbert Burkowski (otwarcie siedziby teatru KTO)

Scenografii do tego tekstu nie trzeba było wymyślać. Wybudowała się sama, i to całkiem realnie, przy ul. Zamoyskiego 50, tam gdzie kiedyś było kino Wrzos. Autorka tekstu miała więc ułatwione zadanie. Nie musiała kombinować, w jakim klimacie utrzymać tę opowieść, jak obudować narrację, jak stopniować napięcie. Wystarczyło użyć kilku prostych teatralnych środków, by historia snuła się sama, a jej bohater zebrał na koniec zasłużone oklaski.

Tak więc *voilà*. Oto przed Państwem Jerzy Zoń. Człowiek, który nie tylko deszczowi się nie kłania, ale i gradowym kulom daje odpór. Gdy trzeba, wystawi swoje przedstawienie na każdej ulicy świata, powodując zadziwienie tłumów, niemogących oderwać oczu od jego aktorów grających *Zapach czasu, Ślepców, Peregrinusa*... Gdy trzeba, sprowadzi na krakowski Rynek najzabawniejszych pod słońcem klaunów, budzących dreszcz emocji połykaczy ognia, prestidigitatorów, szczudlarzy, akrobatów. Kiedy zawładnie nim pogodna, hrabalowska melancholia, wróci na sceniczne deski, by *Sprzedać dom,* w którym nie może już mieszkać. No chyba że rzeczywistość zacznie go tak boleć, iż postanowi pozbawić publiczność złudzeń i zabierze ją do przerażającego świata, w którym nie może z siebie wydać głosu *Chór sierot*.

Ale że Zoń z natury jest pogodnym człowiekiem, pesymizm tak łatwo go nie ogarnia. Nawet wtedy, kiedy Teatr KTO, którym kieruje od ponad 40 lat, traci swoją siedzibę. Wówczas zakasuje rękawy i buduje prawie od nowa jedną z najnowocześniejszych scen pod Wawelem. I to właśnie ona będzie scenografią sztuki, która urodziła się w głowie Autorki, a którą swoją opowieścią, przeplataną niemałą ilością didaskaliów, zapłodnił Bohater. Tak więc jeszcze raz *voilà*, zaczynamy. Przed Państwem Jerzy Zoń, który swój teatr widzi kompaktowy.

Akt I, w którym Jerzyk maszeruje do miasta po naukę

Widownia na otwarciu nowej siedziby teatru zapełnia się niezbyt śpiesznie. Pewnie dlatego, że pierwszą część spektaklu inauguracyjnego, która odbyła się w teatralnym ogrodzie, ma już za sobą, a w uszach wciąż rozbrzmiewa jej pieśń autorstwa Bronisława Maja, z muzyką Janusza Grzywacza, wyśpiewana przez chór grupy Pijana Sypialnia. Publiczność ociąga się pewnie też dlatego, że – jak to w Krakowie – wszyscy się znają, więc pani doktorowa musi koniecznie przywitać się z panią profesorową. No, ale dosyć złośliwości, orkiestra właśnie dała tusz. Na scenie naszego dramatu pojawia się Bohater. Wygaszamy więc widownię i wszystkie reflektory kierujemy na Jerzego Zonia.

Za plecami Bohatera na ekranie wyświetla się górski krajobraz. Jest rok 1953. We wsi Zasadne koło Kamienicy o pieniądzach raczej się nie mówi, bo tak naprawdę nie ma o czym. Państwo Zoniowie są nauczycielami w wiejskiej szkole, w której mieszkają i do której przywieziony został rozkrzyczany Jerzyk z pobliskiej porodówki w Kamienicy. Pensja dyrektora szkoły we wsi Siekierczyna, którą niebawem obejmie tato Bohatera, także na wiele nie wystarcza. Ale to nie czasy, kiedy narzekało się na brak pieniędzy. Pani Zoniowa opanowała noszącą znamiona ekwilibrystyki sztukę smarowania kanapek dla kilku osób jedną puszką szprotek w oleju. Pan Zoń natomiast specjalizował się w obiadach z pstrągów, które wyławiał z potoku młodszy syn, i deserów z jagód, które w lesie zbierał Jerzyk.

Wieczorami rodzina psuła sobie wzrok czytając książki przy lampie naftowej, bo Siekierczynę zelektryfikowano dopiero w 1966 roku. Ale to nie miało znaczenia, czytanie było najważniejsze. Jerzyk w dzieciństwie chłonął jedno literackie dzieło za drugim, co musiało mu wystarczyć na czas liceum, gdyż w internacie gaszono światło o godzinie 20 i czytać dało się tylko z latarką pod kołdrą. Ale to i tak była wyjątkowa szkoła, o wysokiej renomie. By dostać się do I LO w Nowym Sączu bez egzaminów trzeba było mieć na świadectwie z góry do dołu piątki. Jerzyk miałby

je z pewnością, ale rodzice nauczyciele zrobili wszystko, by obniżyć mu stopnie z kilku przedmiotów, wychodząc z założenia, że powinien udowodnić przed niezależną komisją, co potrafi.

Oczywiście to zrobił i dostał się bez problemu do I a. Jednak po roku pan Zoń postanowił skontrolować postępy syna w nauce i w tym celu udał się do dyrektora. Okazało się, że chłopak na świadectwie będzie miał wprawdzie same piątki, ale z dwoma wyjątkami. Z chemii dostanie +3, a z matematyki 4. Po otrzymaniu takich informacji, pan Zoń wyszedł przed szkołę, zapalił sporta i oświadczył synowi: „No, nie radzisz sobie. Może byśmy cię przenieśli do zawodówki". Na szczęście groźby nie spełnił, dzięki czemu Jurek dostał się bez problemu na Wydział Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Akt II, w którym Jurek zostaje opętany przez teatr

Pokoików w Żaczku ekskluzywnymi apartamentami raczej nazwać nie można. Choć pewnie na kimś z zewnątrz wrażenie mogłyby zrobić racjonalizatorskie pomysły studentów, niemających szans zmieścić swoich rzeczy w jednej małej szafie, od której odchodziły parciane sznurki z wiszącymi nań ubraniami. Po prawej stronie czyste, po lewej już nie pierwszej świeżości. Zresztą dla mieszkańców owej klitki ścisłe trzymanie się tego podziału było niezbyt istotne. Wokół działy się przecież ważniejsze rzeczy.

W pokojach obok konspirowali Staszek Pyjas, Bronek Wildstein, Leszek Maleszka. Jurek przysłuchiwał się ich dyskusjom, ale polityka go nie pociągała. Opętał go teatr i cały świat zaczął sprowadzać się do sceny. A wszystko zaczęło się od momentu, kiedy poszedł do Teatru STU i zobaczył *Sennik polski*. Spektakl rozłożył go na łopatki, a z diagnozą rzeczywistości, którą zaproponował w nim Krzysztof Jasiński, zgadzał się w stu procentach. O niczym innym nie marzył tylko o tym, by zagrać w tym przedstawieniu. To się nie udało, za to mógł wystąpić w równie ważnym *Exodusie*. Tym bardziej że zdążył już ujawnić swoje aktorskie możliwości na warsztatach organizowanych przez teatr.

Tak się zapalił do grania, że studia zeszły na drugi plan. Nie zrobiła więc na nim początkowo większego wrażenia informacja, która zawisła na korkowej tablicy w „Gołębniku". Donoszono w niej, iż obowiązki dotychczasowego łacinnika przejmuje inny i pech chce, że jest to potworna „piła", o czym szybko rozeszła się wieść pocztą pantoflową. Pewnie by się tym nie przejął, gdyby właśnie w tym samym dniu w teatrze nie zaczęto *mówić, że szykuje się* długi wyjazd zagraniczny z *Exodusem*. Krzysztof Jasiński tonował jednak zapał studentów, dodając całkiem serio – bo w tych sprawach nie żartował – że pojadą tylko ci, którzy zaliczą sesję.

Nasz Bohater najpierw zaniemówił, ale – jak to on – zaraz wziął się do działania. Zaczął wkuwać łacińskie słowa, chodząc niczym perypatetyk po akademikowych korytarzach i pod nosem powtarzając skomplikowane końcówki. Postanowił też zgłosić się na egzamin w zerowym terminie. Wówczas łacinnik zaproponował mu, że przepyta go publicznie podczas zajęć. I to było najlepsze, co mogło się mu przydarzyć. Porozdawał ściągi kolegom, którzy obiecali go wesprzeć. Problem był tylko w tym, że nie mieli oni pojęcia, o co w tych koniugacjach i deklinacjach chodzi, i nie do końca trafiali z odpowiedziami. Jednak jakimś cudem Jurek odniósł, notowany nisko, bo nisko, ale jednak sukces i mógł udać się na zasłużony teatralny wojaż.

Gorzej było w drugim semestrze, który z powodu prób w teatrze zakończył się przełożeniem wszystkich pięciu egzaminów. Nie był w tym sam. Przyjaciel z ławki Dolek Weltschek, dzisiejszy dyrektor Teatru Groteska, grający wówczas także w STU, był w identycznej sytuacji. Dlatego zamknęli się razem z trzema walizkami książek w bibliotece szkoły, w której uczyła pani Zoniowa, by opanować zaległy materiał. Przez trzy tygodnie panowie studenci nie opuszczali dusznego wnętrza, a przeżyli tylko dlatego, że mały Wacek donosił im jedzenie. Przy okazji podsłuchiwał, jak idzie bratu nauka, a swoimi spostrzeżeniami dzielił się w domu. No i stwierdził pewnego razu, że pan Dolek pewnie zda, ale Jerzyk to już chyba nie bardzo. Na szczęście się pomylił, a dyplom Uniwersytetu Jagiellońskiego trafił do rąk obydwu artystów.

Akt III, w którym Jerzy zostaje sam na placu boju

Sceneria tej opowieści na razie się nie zmienia. Jesteśmy wciąż w Żaczku, a na kalendarzu widnieje rok 1977. Jerzy w swoim pokoju rozmyśla nad istnieniem, gdy wpadają do niego: Bronek Maj, Dolek Weltschek i Bogdan Rudnicki z genialnym pomysłem założenia własnego teatru. On jest za, ale zaczyna się zastanawiać, co na to powie Jasiński. Jakoś tak mu głupio porzucać scenę, na której tyle się nauczył. Jednak dyrektor STU nie obraża się na młodych aktorów, a nawet proponuje im opuszczaną właśnie przez jego zespół scenę przy ulicy Brackiej.

Najpierw jednak studenci muszą spełnić warunki formalne, wypełniając stosowne kwestionariusze. A w nich trzeba podać nazwę teatru. Wymyśla ją *ad hoc* Bronisław Maj: Teatr KTO. Dlaczego? K – jak Kraków, T – jak teatr, O – bo to ładna samogłoska. I właśnie już jako Teatr KTO wystawiają swój pierwszy spektakl *Ogród rozkoszy*. Reżyseruje go Weltschek, Zoń jest aktorem i zajmuje się sprawami organizacyjnymi. To wówczas poznaje blaski i cienie prowadzenia teatru. Choć tych ciemnych stron

Prezydent Krakowa Jacek Majchrowski i Jerzy Zoń podczas otwarcia teatru KTO

było więcej. Już pierwsze zderzenie z cenzurą sprawiło, że nad przedstawieniem zawisły stalowe chmury. Scenariusz będący adaptacją dzieł literackich zakazanych autorów wzbudził tak duże wątpliwości decydentów, że mógł być prezentowany tylko na pokazach zamkniętych, na które nie wolno było sprzedawać biletów. Pocieszające było tylko to, że *Ogród rozkoszy* wzbudził entuzjazm publiczności i jury na Festiwalu Start w Kielcach i IV Krakowskich Reminiscencji Teatralnych, na których uznano spektakl debiutującego teatru za najważniejsze wydarzenie sezonu młodej, niezależnej kultury.

Studia jednak się kończyły, każdy poszedł swoją drogą, więc niewiele brakowało, a KTO wpisałoby się do annałów historii teatru w kategorii mistrzów jednego przedstawienia. Nasz Bohater został sam na placu boju, lecz znowu się nie poddał. W baraku na Gzymsików zaczął robić swoje spektakle – *Paradis*, *Lustro*, *Gmach*. Menadżerka zespołu starała się, by były one pokazywane nie tylko w Krakowie, ale i w całej Polsce. Dzięki temu Teatr KTO odnosił sukcesy na Festiwalu FAMA, podbijał kluby studenckie w Warszawie. Kubeł zimnej wody wylał się na grupę dopiero w Kołobrzegu, gdzie występowali przed kabaretem Elita z Wrocławia. Jeden rzut oka na rachunki w kasie wystarczył, by młodzi twórcy stracili nieco rezon. Elita – 1400 sprzedanych biletów, KTO – 9. Nic nie pomógł performance, który nasz Bohater w akcie rozpaczy zorganizował przed kasą. Aktorzy robili tam zamieszanie, udając, że biją się o bilety na spektakl krakowskiego teatru. Efekt: Elita – 1400 sprzedanych biletów, KTO – 15.

Akt IV, w którym Dyrektor Zoń zamyka usta aktorom i wychodzi na ulicę

Tu zastajemy Dyrektora Teatru KTO w dość niewygodnej sytuacji. Siedzi w obskurnym pokoju prowincjonalnego hotelu i znowu rozmyśla o istnieniu. Właśnie zobaczył na tutejszej scenie okropnego *Makbeta*. Kupił więc w księgarni tragedię Szekspira i zabrał się w świetle mrugającej jarzeniówki do jej lektury. Szybko utwierdziła go ona w przekonaniu, że w teatrze da się schrzanić nawet najgenialniejszy tekst. Dyrektor Zoń nie chciał, by ktoś doszedł do takiego samego wniosku po obejrzeniu jego przedstawień. Ale nagle przyszło olśnienie, uderzając go w głowę niczym kamyk Pomysłowego Dobromira. Przecież można robić teatr bez słów!

I tak powstaje *Parada ponurych*, pierwszy spektakl bez słów, choć oparty na tekście świetnego pisarza Henriego-Pierra Cami. W tym momencie Dyrektor Zoń zaczyna się czuć jak ryba w wodzie, bo właśnie znalazł swój własny, niepowtarzalny styl. No i na dodatek odnosi dzięki temu sukcesy. Widowisko jest grane na Rynku, gdzie ludzie zatrzymują się z rozdziawionymi buziami, obserwując wyczyny artystów. Piotr Skrzynecki przez kilka dni z rzędu wynosi przed kawiarnię Vis *á* Vis krzesło i przygląda się widowisku, a po jego zakończeniu wszystkim aktorom wręcza bukieciki fiołków. No i jest jeszcze jakiś młody, dziwny człowiek, który siedzi na każdym przedstawieniu i pilnie coś notuje w zeszycie. Intryguje Dyrektora Zonia, który zaprasza go również na inny swój spektakl *Przedstawienie pożegnalne*, grane z kolei na scenie Teatru Bagatela.

Po jego obejrzeniu młody człowiek podchodzi do naszego bohatera i proponuje, by razem ze swoim zespołem przyjechał do Sztokholmu. Jego ojciec, który jest szwedzkim magnatem prasowym, obiecał pokryć wszystkie koszty podróż i pobytu. W ten sposób Teatr KTO zaczyna robić karierę światową. Krakowski zespół niebawem poznają mieszkańcy Kolumbii, Meksyku, Brazylii, Kostaryki, Tunezji, Iranu, USA, Kanady, Korei Południowej i Chin, a widowiska Dyrektora Zonia goszczą na najważniejszych międzynarodowych festiwalach.

On sam zaczyna organizować festiwale teatrów ulicznych, które anektują nie tylko krakowski Rynek, ale też place innych miast Małopolski. Z kolei w Jeleniej Górze zostaje na kilka sezonów dyrektorem Teatru C.K. Norwida. Z powodzeniem wprowadza tam nurt groteski, wystawiając *Noc Walpurgii*

Wieniedikta Jerofiejewa, *Monachomachię* Ignacego Krasickiego. Nie wie wtedy jeszcze, że za jakiś czas wystawiona na krakowskim Rynku *Neomonachomachia* przyniesie mu sporo nerwów, ale też radości.

Akt V, w którym Dyrektor Zoń radnym PiS się nie daje i chwyta za łopatę

Teraz Dyrektora Zonia zastajemy na krakowskim Rynku, tuż przed premierą przedstawienia *Neomonachomachia*, do którego scenariusz napisał Bronisław Maj, inspirując się utworem biskupa Krasickiego. Zgromadzona pod Ratuszem widownia opowieść o władzy pieniądza we współczesnym świecie przyjmuje entuzjastycznie. Tylko grupka wyznawców religii PiS-u z minuty na minutę coraz bardziej zaciska zęby. Zaraz podniosą krzyk, że wartości religijne i patriotyczne zostały zszargane i należy sprawę oddać do prokuratury. Dyrektor Zoń będzie musiał się tłumaczyć, choć to nie jest jeszcze duży problem w przeciwieństwie do tego, co okaże się za chwilę. W jakiś dziwny sposób wizyty u stróżów prawa zbiegają się bowiem z postanowieniem Arcybractwa Miłosierdzia, właściciela budynku przy Gzymsików, by nie przedłużyć z teatrem umowy najmu.

Można się załamać. Ale Dyrektor Zoń, jak Hrabal, myśli tylko o słonecznych dniach. I pewnie w ten sposób rozprasza chmury gromadzące się nad KTO. Szybko okazuje się, że urząd miasta ma dla teatru fantastyczną siedzibę w byłym kinie Wrzos. Owszem, trzeba złapać za łopaty i przeprowadzić skomplikowany remont. Ale efekt jest imponujący. Dwie sceny, w tym jedna klasyczna, z kulisami i garderobami, a druga amfiteatralna, zamykana, na której będzie można oglądać widowisko, siedząc na powietrzu. Nasz Bohater mówi z dumą, że to teatr kompaktowy, może nie największy, ale posiadający wszystko, co potrzeba, by realizować artystyczne marzenia.

Zamiast finału

I teraz miał nastąpić finał. Jerzyk, Jurek, Jerzy, Dyrektor Zoń w jednej osobie miał stanąć na scenie nowego teatru i wygłosić końcowy monolog pod rozsuwającym się powoli nad jego głową otwieranym dachem, przez który zaglądają do wnętrza gwiazdy. Ale jak można wygłaszać końcowy monolog, kiedy dopiero się wszystko zaczyna, a przed twórcami otwiera się nowa droga. Dlatego Dyrektor Zoń znajduje inteligentne rozwiązanie. Podsyła Autorce tekst piosenki Bronisława Maja, która pozwala jej zgrabnie zasunąć kurtynę.

Świat jest teatrem – aktorami ludzie…
W Liege też? Też! W Sittard, w Gwangju, w Śląskiej Rudzie.
Kręci się świata scena obrotowa:
Światła! Trwa spektakl: Lipsk, Lille, Limanowa!
Teatr: Otwarty – Ogromny – Ubogi –
Do Żar od Aachen. KTO to – teatr Drogi?
Arka przymierza – między laty, światy.
przemierza Arka – zaświaty, powiaty.
Refren
A czy się kończy gdziekolwiek ta Droga?
Czy to KTO wie? Czy KTO to wie?
Czy za tym światem rozbłyśnie – świat Nowy?
Czy to KTO wie? Czy KTO to wie?
Zawsze biec: Drogą, ścieżką, wpław, ulicą!
Upadać, wstawać, przerażać, zachwycać
Serca przeszywać – otwierać – odkrywać,
Czy tylko Droga? Droga jest prawdziwa?
Bo to KTO wie? Bo KTO to wie!
Bo to KTO wie? Bo KTO to wie!
Od Bratysławy macki naszej sławy –
Przez Stockton – Sztokholm – Płock – do Okinawy!
Do Saragossy – wprost z Pragi zygzakiem!
KTO? Nieskończoność. Droga naszym znakiem.
Skopje po Słupsku? Hamm – Haan – i do Łodzi!
Kurtyna wznosi się: to Słońce wschodzi!
Teatr jest wszędzie, życie wre w kulisach.
Sceną jest Wszystko! Teatr – na Ulicę!
Czy w Teheranie na dłużej zostanie?
Zagrzeje miejsca w Kielcach, Mediolanie?
Nie! Bo jest niebo w tym pędzie, rozpędzie!
KTO to – jak skoczy, to doskoczy wszędzie!
KTO to tak lata? KTO? Kawał wariata.
Z końca do końca i – po końcu świata.
KTO im dał zapał, moc iście diabelską,
By pchać swe cielska z Marl do Archangielska?!
Jork – Nowy! Sącz – też! I Brześć – piękny, młody!
I Maastricht trudno odmówić urody.
KTO tak przez chmury, góry, lody, wody,
Schody do piekła i do nieba schody.
Hej, ludzie! Ludzie! Cuda w naszej budzie!
Wierzcie: cud w Peszcie, i wreszcie cud w Budzie!
Co – nie wierzycie? Do Teatru spieszcie!
KTO? Teatr da wam odpowiedź nareszcie.
Wszyscy – Publiką. My – dla wszystkich gramy.
Do Tajemnicy – z wami docieramy.
KTO wie, że życie to jest Tajemnica,
Do Tajemnicy KTO wiedzie – ulicą.

Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach…

Łukasz Stokłosa, *Château de Fontainebleau*, olej na płótnie, 50 x 60 cm, 2017

Medal „Za mądrość obywatelską” AD 2021 dla Adama Bodnara

„Medal przyznaje się za szczególne zasługi i odwagę w obronie zasad demokracji oraz społeczeństwa obywatelskiego, za rzetelność i profesjonalizm w pełnieniu przez laureata funkcji, za przestrzeganie zasad przyzwoitości w życiu publicznym” – tak istotę wyróżnienia ujmuje jego regulamin. Czy można sobie wyobrazić osobę lepiej dziś spełniającą te – przyznajmy – wyśrubowane kryteria niż Adam Bodnar, niedawny rzecznik praw obywatelskich?

Zwłaszcza że przyszło mu działać w nadzwyczaj niesprzyjających okolicznościach. Kadencję rozpoczął bowiem 9 września 2015 roku (a zakończył 15 lipca bieżącego roku). Praw i wolności obywatelskich musiał więc bronić w czasie, gdy do rządów doszli ludzie bez skrupułów je łamiący. Ba, wmawiający też rodakom, że sama idea praw człowieka jest kolejną obcą ideologią – zbędną czy wręcz szkodliwą. I w ślad za tym bezpardonowo atakujący w swojej propagandzie samego rzecznika. Kiedy Adam Bodnar upominał się o poszanowanie konstytucji czy przypominał o znaczeniu regulacji europejskich dla krajowego porządku prawnego, z obozu władzy padły słowa o „zdradzie”, „przehandlowywaniu polskiej niepodległości”, a jego aktywność oceniano jako „bardzo szkodliwą” i „niezgodną z polskim interesem narodowym”. Siłą rzeczy musiało to boleć. Uparcie robił jednak swoje – i to, co też warte uwagi, zachowując dobrze rozumiany prawniczy obiektywizm i powagę. A także odwagę – wszak tak się składa, że mądrość musi dzisiaj łączyć się właśnie z odwagą.

Mądrość musi dzisiaj łączyć się z odwagą.

*

Środowisko miesięcznika „Kraków” przyznaje Medal „Za mądrość obywatelską” od 2006 roku. Pierwszym laureatem był prof. Andrzej Zoll, a kolejnymi prof. Leszek Balcerowicz, prof. Karol Modzelewski, Kazimierz Kutz, prof. Jerzy Stępień, prof. Adam Daniel Rotfeld, prof. Andrzej Romanowski, Wiesław Myśliwski, prof. Bronisław Łagowski, prof. Ewa Łętowska, ks. prof. Michał Heller, red. Jerzy Baczyński, prof. Adam Strzembosz, Krystyna Janda i – w minionym roku – Krystyna Zachwatowicz-Wajdowa.

Decyzję o przyznaniu Medalu „Za mądrość obywatelską” Adamowi Bodnarowi przyznała kapituła w składzie: Witold Bereś, Krzysztof Burnetko, Stanisław Dziedzic (dziś już nieżyjący), Zofia Gołubiew, Krzysztof Jasiński, Ewa Lipska, Maria Malatyńska, Jan Pieszczachowicz, Andrzej Romanowski, Stanisław Waltoś i Andrzej Wyrobiec.

*

Aktywność Adama Bodnara jako ombudsmana – oraz jego współpracowników z Biura RPO – jest znana (między innymi dzięki niespotykanej wcześniej skali osobistych kontaktów z obywatelami, także na obszarach nazywanych Polską B).

Przypomnijmy jedynie: urodził się 6 stycznia 1977 roku w Trzebiatowie, jest absolwentem Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego, ukończył też studia z zakresu prawa konstytucyjnego porównawczego w Central European University w Budapeszcie. W latach 2001–2004 pracował jako prawnik w kancelarii Weil, Gotshal & Manges. W 2006 roku uzyskał na UW stopień doktora nauk prawnych z zakresu prawa konstytucyjnego (jego dysertację *Obywatelstwo wielopoziomowe w europejskiej przestrzeni konstytucyjnej* wyróżniono w konkursie Przeglądu Sejmowego). W roku 2019 uzyskał habilitację (rozprawa została opublikowana w książce *Wykonywanie orzeczeń Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Polsce. Wymiar instytucjonalny*).

Przed objęciem funkcji rzecznika współpracował z licznymi organizacjami pozarządowymi (nie bez powodu pewnie kandydując, miał poparcie aż 67 stowarzyszeń i fundacji obywatelskich!). I tak, w latach 2004–2015 był związany z Helsińską Fundacją Praw Człowieka – najpierw jako współtwórca i koordynator Programu Spraw Precedensowych, a potem jako wiceprezes zarządu. Był nadto ekspertem Agencji Praw Podstawowych Unii Europejskiej. W latach 2013–2014 należał do rady dyrektorów Funduszu ONZ na rzecz Ofiar Tortur. Ponadto przewodniczył Radzie Fundacji Panoptykon, był współzałożycielem Stowarzyszenia im. prof. Zbigniewa Hołdy i członkiem Obywatelskiego Forum Legislacji działającego przy Fundacji Batorego.

Od 2006 roku wykładał na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego, a od marca 2020 roku jest profesorem Uniwersytetu SWPS (po zakończeniu pracy w Biurze RPO został dziekanem Wydziału Prawa tej uczelni).

*

I wreszcie – znamienne jest i to, że w gronie dotychczasowych laureatów Medalu jest aż trzech ombudsmanów: Ewa Łętowska, Andrzej Zoll i teraz Adam Bodnar. Dowodzi to znaczenia tej instytucji dla rodzimego życia publicznego. Równocześnie jednak świadczy i o tym, że wciąż mamy kłopoty z przestrzeganiem praw obywatelskich. A już w kategoriach symbolicznych można potraktować to, że prof. Łętowska budowała urząd rzecznika jeszcze w czasach autorytarnej władzy PRL-u (instytucja ombudsmana powstała w 1988 roku), a Adamowi Bodnarowi przyszło ich bronić – i to kto wie, czy nie z większym trudem – po niemal ćwierćwieczu wolnej już Polski.

Medal „Za mądrość obywatelską” (projekt: Janusz Trzebiatowski), fot. Alicja Rzepa

Siła prawa, mądrość obywateli

Rozmawiali Witold Bereś i Krzysztof Burnetko **Zdjęcie:** Adrian Grycuk, na licencji Wikimedia Commons

Adam Bodnar: Nie będzie w Polsce zmiany, jeżeli nie będzie kontynuowana wielka praca na poziomie wartości i uporczywego tłumaczenia, dlaczego państwo normalne, europejskie, oparte na przyjętych przez cały świat wartościach jest nam potrzebne.

Witold Bereś, Krzysztof Burnetko: Swego czasu na zaproszenie Marcina Matczaka w ramach akcji na rzecz walki z COVID w konwencji rap przyznawał Pan, że sprawując urząd rzecznika praw obywatelskich, pcha jak Syzyf ciężki kamień. Ile razy ten kamień się w ostatnich latach na Pana obsunął? I kiedy najbardziej bolało?

Adam Bodnar: Mam wrażenie, że on spada nie tylko na rzecznika, ale na nas wszystkich, którym droga jest wolność i klasyczne wartości demokracji i praw człowieka. Trwa o nie przecież ciągła walka, a niestety jedynym sukcesem, jaki udało się osiągnąć, jest spowolnienie zmian na gorsze. Najnowszym przykładem jest kryzys na granicy. Dla mnie to kolejny etap obnażania świata pozbawionego wartości – poniżania ludzi i instrumentalizacji praw człowieka dla bieżących potrzeb politycznych. Jeżeli dochodzi do tego, że przetrzymywani tam ludzie musieli pić wodę z rzeki, to się zastanawiam, gdzie my jesteśmy? Czy nawet jeżeli rząd postanowił rozwiązywać jakiś swój polityczny problem, to musi to robić w taki sposób, by poniżać ludzi? Zagrozić ich zdrowiu, ba – życiu, zdrowiu i pozbawiać godności? Sytuacji i słów, kiedy dochodziło do takiego przeinaczania wartości, jest ostatnio tyle, że co rusz czuło się, jak ten kamień znowu spada. Symbolami stały się przypadek złamania młodej dziewczynie ręki podczas policyjnej akcji na pokojowym zgromadzeniu, a potem wykręcanie się sugestiami, że mogła przecież nie iść na tę demonstrację, albo używanie pałek teleskopowych przez funkcjonariuszy w cywilu do bicia manifestantów w Warszawie, zabójstwo Igora Stachowiaka czy niedawne sprawy śmierci podczas policyjnych interwencji w Lubinie i Wrocławiu.

Najbardziej bolały mnie historie indywidualne – zwłaszcza że nie prowadziły do jakiejś refleksji i nie wpłynęły, jak widać, na poczucie odpowiedzialności władzy. Przeciwnie, wszystko było zakłamywane. Co więcej, pojawiało się świętoszkowate oburzenie, że przecież musimy żyć dalej i w ogóle o co tym obrońcom praw człowieka chodzi?

A czy nie najboleśniejsze dla Pana i dla sprawy było to, że kiedy składał Pan w sejmie ostatnie sprawozdanie jako RPO, to na sali było pusto – także po tak zwanej naszej stronie.

Nie powiedziałbym, że po naszej stronie… Na sali byli jednak przedstawiciele wszystkich klubów parlamentarnych, zadano mi dużo pytań, były kwiaty, podziękowania. Jest oczywiście oczekiwanie, że podsumowujące kadencję sprawozdanie rzecznika powinno być wydarzeniem, ale w tym przypadku ten serial się mocno przedłużał. Znacznie ważniejsze dla mnie było to, że później udało się wybrać nowego rzecznika i zażegnać ten minikryzys konstytucyjny, który powstał przez usunięcia mnie z urzędu przez Trybunał Konstytucyjny pod przewodnictwem pani Julii Przyłębskiej. To duża rzecz. Dowodem wysłanie na granicę przedstawicieli Krajowego Mechanizmu Prewencji Tortur RRO, by zbadali sytuację przetrzymywanych tam ludzi. Przecież mógłby być inny rzecznik i już by nikogo na granicę nie wysłał. Powiedziałby – nie, siedzimy cicho. Co więcej, mógłby dowodzić, że każde państwo ma prawo do strzeżenia swojej suwerenności, a najważniejszą wartością, której powinniśmy bronić, jest godność żołnierza. A jednak te słowa nie padają.

Jest za to wystąpienie do premiera i wizyta na granicy reprezentantów biura RPO. To pokazuje, jak ważne było, że jednak udało się wybrać na rzecznika osobę, która jak na razie wygląda na działającą w pełni niezależnie. I dla mnie przetrwanie instytucji jest najważniejsze. A czy tam był jeden gest polityczny, taki czy inny…

Oczywiście, kiedy sprawowałem urząd, bolały mnie ataki – także te czysto personalne – ze strony partii rządzącej, w tym samego pana prezydenta. Teraz dyskutujemy, czy Władysław Frasyniuk naruszył zasady, mocno komentując zachowania żołnierzy na granicy. Sam bym pewnie takich słów nie użył, ale wiemy od lat, że Władysław Frasyniuk ma ostry język. Teraz wielu się oburza… Ale dlaczego nie było oburzenia, jak prezydent mówił, że rzecznik praw obywatelskich prowadzi działalność antypaństwową i antypolską? Czy może być coś gorszego dla urzędnika państwowego? Starałem się uczciwie wykonywać to, co przez te sześć lat było mi zadane i kiedy tylko było możliwe współpracować, reagować i pomagać ludziom. Usłyszałem, co usłyszałem.

Otóż właśnie – jak Pan sobie osobiście radził, gdy – jak to ujął Adam Michnik – ta fala

gówna się na Pana wylewała? Jak się to robi, żeby się nie dać sprowokować Andrzejowi z Krakowa? Kto lub co pomaga w tym, żeby przetrwać?

Na początku to było trudne, bo to było jednak coś nowego w moim życiu. Na dodatek to się splotło z intensywnym rozwojem mediów społecznościowych w Polsce. Zaczynałem w 2015 roku – właśnie wtedy media społecznościowe zaczęły pełnić rolę ważnego uczestnika naszego życia publicznego. Przecież właśnie wówczas chociażby wspomniany Andrzej Duda między innymi dzięki mediom społecznościowym wygrał wybory prezydenckie. One były silnie zaprzęgnięte do jego kampanii, czego zresztą do dzisiaj dobrze nie przeanalizowaliśmy. Choćby tego, na ile zostały wykorzystane metody Cambridge Analytica, bo wiemy przecież o różnych fakturach dla firm marketingowych, które to opłacały. Na początku media społecznościowe nie do końca panowały nad wpuszczanymi do nich treściami. Zapewne bezwzględnie z tego korzystano i były całe stajnie trolli do nakręcania emocji. Jedną z osób, która wpadła w taką sieć, była Olga Tokarczuk po jednym z wywiadów w związku z wydaniem *Ksiąg Jakubowych* – straszny hejt się na nią wtedy wylał. Od tego zaczęliśmy debatę o mowie nienawiści w sieci i o tym, jak się te spirale nakręcają. Na początku też padłem tego ofiarą, choć oczywiście w mniejszym stopniu niż inni. Ale w pewnym momencie się zorientowałem, że to jest napędzane sztucznie i wcale się nie przekłada na emocje ludzkie. I jak się idzie na spotkania z ludźmi w terenie, to tych, którzy ten hejt śledzą, jest stosunkowo niewielu. I nie jest tak, że gdziekolwiek się pójdzie, to wszyscy traktują cię, opierając się wyłącznie na tym, co krąży w mediach społecznościowych bądź przekazywane jest w TVP. To było duże odkrycie, że rzeczywistość internetowo-medialna jest trochę inna od codziennej. Po drugie, chyba najważniejsze, trzeba być uczciwym w stosunku do tego, co się robi, co się mówi i jak się mówi. Chociażby nauczyć się – to było też dla mnie ważne – żeby nie eskalować. Przykładowo starałem się nie wchodzić w zbędne polemiki *ad personam* z obozem władzy. Może czasem nawet kosztem efektywności swoich działań. Uważałem jednak, że to mi się do niczego nie przyda. Wolałem powiedzieć, że minister sprawiedliwości zrobił coś tak, że mi się to nie podoba, zamiast wołać, że ten Ziobro jest taki czy owaki. Takie podejście pomaga. Trzecia rzecz, która starałem się robić – nazywałem to dywersyfikacją ryzyka – to zajmować się zarówno tematami gorącymi medialnie, jak i tematami mniej na pozór pasjonującymi. To powoduje, że krytycy nie mają ułatwionego zadania, bo nie ma działań jednostronnych. I kolejna rzecz: trzeba się przyzwyczaić, że wszystkie te kolejne burze mają swój rytm – że jakiś temat może żyć jeden, dwa, cztery dni i nie zawsze trzeba od razu na wszystko reagować. To mi zajęło trochę czasu, bo popełniłem kilka błędów, kiedy zareagowałem za szybko i niepotrzebnie, a w efekcie dostałem po uszach.

Dopiero pandemia i wyrok Trybunału w sprawie aborcji z 22 października 2020 roku na szerszą skalę wywołały pytanie: po co mamy wolności i po co mamy prawa. To są dwa przełomowe wydarzenia, które uruchomiły szerszą wyobraźnię społeczną.

Czy są osoby, którym chciałby Pan podziękować za to, że dały Panu siłę i wsparcie – mistrzowie w prawniczej branży, rodzina, współpracownicy? A może jacyś politycy?

Gdybym zaczął wymieniać, to wyczerpalibyśmy limit miejsca na tę rozmowę. Mam wielkie poczucie winy, że mija kolejny tydzień po zakończeniu kadencji, a jeszcze nie zdążyłem porządnie podziękować wszystkim, którym powinienem. Bo wciąż gonię, coś robię i brakuje czasu na moment refleksji. Otrzymywałem wielkie wsparcie ze strony współpracowników, rad społecznych i komisji ekspertów, których miałem w biurze rzecznika. A równocześnie ze strony zwyczajnych obywateli, którzy wysyłali do nas swoje sygnały. Plus oczywiście organizacji i samorządów prawniczych. I mnóstwo głosów z zagranicy. To wielki kapitał zaufania społecznego, nie wiem, czy będę w stanie kiedykolwiek go spłacić. Czasami pojawiał się kolejny atak czy kolejna próba podważenia pozycji, a ja czułem się zawstydzony, że ktoś gdzieś musi w mojej obronie występować. Bo nauczyłem się, że ta władza działa wedle swojego rytmu i jakoś sobie z nim dam radę.

Nie mówiłem wcześniej o jeszcze jednej prawidłowości, która ma również związek z nowym rzecznikiem. Otóż miałem poczucie, że w biurze stanowimy jeden team. To znaczy, że wszyscy myślimy dość podobnie – moi dyrektorzy, zastępcy, dyrekcja generalna, więc nie muszę się obawiać tego, że coś zrobię i w biurze będę miał, nie wiem, jakieś inne myślenie, krzywienie się, jakąś dywersję, że zrobiłem coś niewłaściwego. Kiedy żegnałem się z pracownikami, to miłe było, że ludzie mi opowiadali, jak bardzo się cieszą, że ze mną działali. Albo że mogli się pochwalić na świątecznym obiedzie rodzinnym czy znajomym, że pracują w biurze rzecznika. To miłe i wzmacniające, jak praca przekładała się na poczucie misji u tak wielu ludzi – i zrozumienia, że to są szczególne czasy i że uczestniczą w czymś większym niż zwyczajne, codzienne urzędniczenie.

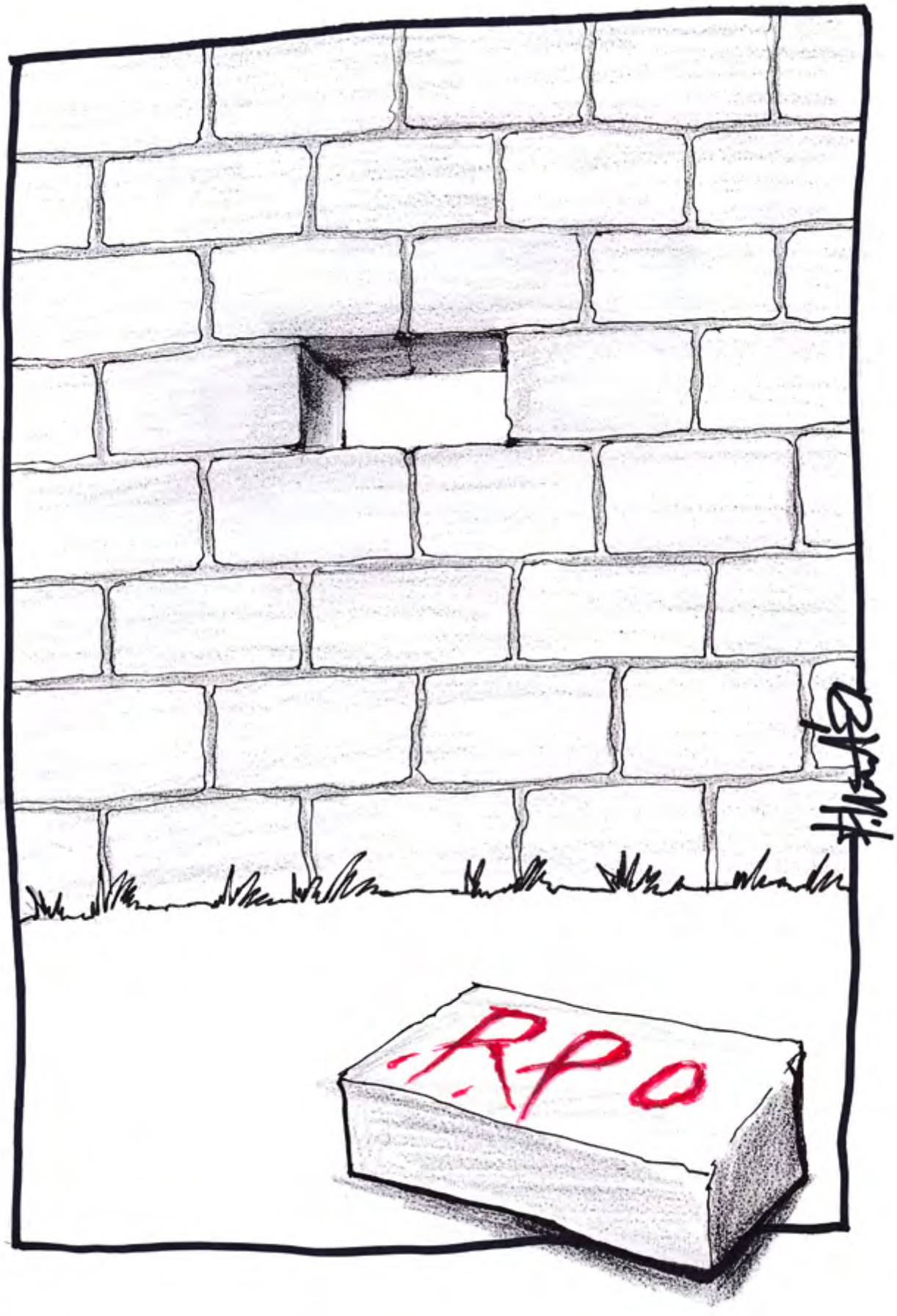

Rys. Piotr Błachut

A jeśli chodzi o mistrzów. Profesor Wiktor Osiatyński?
Gdyby nie jego udział to pewnie bym rzecznikiem nie został. To sprawił on i jakieś jego nieformalne rozmowy w 2015 roku – między innymi z marszałkiem Bogdanem Borusewiczem. Bo był ruch organizacji społecznych na moją rzecz, ale lobbowało też kilka osób dobrej woli. Wiktor nie wierzył w instytucje jako takie i miał dystans do formalnych metod zaangażowania. O ile zawsze popierał wszystkich obrońców praw człowieka, tak nie zawsze był pewien, czy faktycznie urząd rzecznika jest dla mnie. Ale myślę, że kiedy zobaczył, jak wykonuję to zadanie, to uwierzył, że dobrze, że się tym zająłem. I cieszę się, że mogliśmy jeszcze współpracować. Mocno przeżywałem, że jego życie się kończy.
Miałem też wielkie wsparcie ze strony mojego mistrza uniwersyteckiego – profesora Mirosława Wyrzykowskiego. To człowiek wysokiej klasy i było dla mnie ważne, że po-

Nie można katalogu praw człowieka ograniczać tylko do tych, którzy dziś mają większe przebicie w mediach centralnych. Nie można zapominać, że jest wciąż wiele innych nierozwiązanych spraw.

dobnie diagnozowaliśmy wydarzenia już na samym początku 2015 roku. W zasadzie nasze scenariusze, jak to się będzie rozwijało, w prawie stu procentach się realizowały.
Pomogły w tym również nasze wcześniejsze obserwacje sytuacji na Węgrzech. Człowiek nie żył w mirażach, że to tylko na chwilę. Że chociażby atak na Trybunał Konstytucyjny jest przypadkowy i później rząd PiS się zatrzyma. Dla nas było oczywiste, że się nie zatrzyma i będzie dążył do samego końca – do pełnej koncentracji władzy.
Osobą ważną w tym okresie był też profesor Karol Modzelewski. Było dla mnie nieprawdopodobnym zaszczytem, że mogłem go poznać i nieraz z nim rozmawiać. A nadto Marian Turski, oczywiście. Anna Jakubowska, uczestniczka powstania warszawskiego. Profesor Ewa Łętowska – nie tylko jako pierwsza rzecznik praw obywatelskich w Polsce. Plus mnóstwo ludzi, którzy na swoich barkach dźwigali ten ciężar naszej historii. Starałem się czerpać co najlepsze z ich doświadczeń. I dodawać własne spostrzeżenia, bo czasami rzeczywistość widziałem jednak trochę inaczej, niż może oni widzieli.
Za jeden z ważniejszych elementów działalności rzecznika uważał Pan jeżdżenie po tak zwanej prowincji i rozmawianie ludźmi żyjącymi w Polsce B, C czy D. I wykonał Pan tu tytaniczną robotę edukacyjną. Zresztą pierwszy raz spotkaliśmy się lata temu w Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, pracując przy programie monitorowania wolności mediów – także tych prowincjonalnych. Bo przecież także Helsińska Fundacja przez cały czas III RP uczyła Polaków odpowiedzialnego podejścia do prawa i wolności. Nie tylko ona zresztą. Tymczasem Marcin Król napisał słynny esej *Byliśmy głupi* i oskarżył właśnie elity o zaniedbania w edukacji obywateli. Miał rację? Nie znaleźliśmy jednak wspólnego języka? Co tu było błędem? Czy w ogóle był błąd?
Faktycznie, Helsińska Fundacja taką edukację prowadziła przez wiele lat. Prowadziła Szkołę Praw Człowieka, która była adresowana do lokalnych społeczników, nauczycieli, urzędników. Ale w którymś momencie zostało to uznane za aktywność abstrakcyjną, niepotrzebną. Fundacja w 2013 roku musiała zamknąć tę szkołę, bo nie było skąd wziąć pieniędzy.
Z kolei Obserwatorium Wolności Mediów, w którym się poznaliśmy, było nakierowane na lokalnych dziennikarzy. Ale i problem mediów na szczeblu lokalnym też się nie przebił, może poza hasłami typu artykuł 212a kodeksu karnego o zniesławienie. Nie były nimi zainteresowane nawet inne media – te z mainstreamu.
Nie przebiła się jakoś także inna inicjatywa fundacji – Program Spraw Precedensowych. A ona akurat powinna być interesująca dla każdego, bo tyczyła indywidualnych spraw na styku obywatel – wszelkiego rodzaju władza, począwszy od policji, a na gminie skończywszy. I to takich, które mogły być punktem wyjścia do rozwiązań systemowych w rozmaitych dziedzinach życia, nie tylko tych *stricte* politycznych.
Tak, Program Spraw Precedensowych miał pokazywać, jak obywatele mogą walczyć o swoje prawa. Mimo to wtedy okazał się ciekawy tylko dla tych, którzy mieli jakiś kłopot z niesłusznym aresztowaniem czy uwięzieniem, byli nękani przez swojego burmistrza czy związaną z nim gazetę za aktywność lokalną i... tyle. Wtedy wciąż nie były to kłopoty na tyle masowe, by dotykały masowej wyobraźni.
Myślę, że dopiero pandemia i wyrok Trybunału w sprawie aborcji z 22 października 2020 roku na szerszą skalę wywołały pytanie: po co mamy wolności i po co mamy prawa. To są dwa przełomowe wydarzenia, które uruchomiły szerszą wyobraźnię społeczną. Natomiast co do tezy profesora Króla, to w Fundacji też jednak ulegaliśmy trochę myśleniu centralistycznemu. Oczywiście, podejmowaliśmy różne sprawy lokalne, ale robiliśmy to mniej lub bardziej z poziomu centralnego. Bo byliśmy przekonani, że sądy czy Trybunał Konstytucyjny – czyli system prawny – jakoś z tym w końcu sobie poradzi. Ale za tym nie szły pomysły pozwalające na zrozumienie, czym naprawdę żyje Polska oddalona od wiel-

kich miast. Tymczasem w tym pełnym poznawaniu Polski i Polaków ważne są dwa elementy. Po pierwsze, zrozumienie, że krzywda, opuszczenie, samotność jest czymś indywidualnym i mogą zupełnie inaczej wyglądać w dużym mieście, w małym mieście i na wsi. Jeżeli w dużym mieście będziemy rozmawiali bardziej o problemach progresywności – czyli o statusie środowisk LGBT, prawach kobiet czy kwestii uchodźców, to na szczeblu lokalnym ta krzywda będzie polegała na czymś zupełnie innym. Na tym, że matka dziecka z autyzmem nie ma wsparcia. Albo że burmistrz nie chce zapłacić za dowóz uczniów do szkoły. Albo że nie wiadomo, jak sobie poradzić ze szkodzącym otoczeniu wysypiskiem śmieci. Albo ktoś zatruł rzekę, a inwestor buduje śmierdzącą potwornie fermę kurzą.

Dla wielu ludzi te problemy są tak samo ważnie, bo dotykają ich równie silnie, jak sprawa braku związków partnerskich uderza w ludzi, którzy mieszkają w większych miastach. Po prostu: nie można katalogu praw człowieka ograniczać tylko do tych, którzy dziś mają większe przebicie w mediach centralnych. Nie można zapominać, że jest wciąż wiele innych nierozwiązanych spraw.

Drugim ważnym wątkiem owej aktywności w terenie jest niezwykle silna potrzeba zauważenia. Tego, że traktujemy ludzi, gdziekolwiek żyją, jako obywateli, z których każdy ma takie samo prawo udziału w debacie publicznej. Wielokrotnie, jak jeździłem na takie spotkania, słyszałem: cudownie, że do nas przyjechaliście, ale najważniejsze, że nas zauważyliście, że my tu jesteśmy, że też mamy swoją wrażliwość, która potrzebuje, aby ją uwzględnić.

Na tym się opiera także wspaniała idea Tour de Konstytucja. Co również ważne – ludzie, którzy organizują te lokalne spotkania, po wielu latach swojej walki są często już zmęczeni, brakuje im energii. A w czasie tych wydarzeń pojawiają się znowu piękne emocje na poziomie... nie chcę powiedzieć płaczu, ale głębokich wzruszeń. Przyjeżdża, na przykład, sędzia Igor Tuleya i po prostu rozmawia z ludźmi. Dla mnie jest nawet nieco krępujące, choć też wzruszające, że ktoś chce godzinę stać w kolejce, czekając aż mu podpiszę jego egzemplarz Konstytucji.

Ale czy w walce o demokrację, o wolność liczą się tylko narzędzia prawne? Czy nie ma takiego momentu, kiedy trzeba użyć metody Majdanu? Bezradność wobec przemocy władzy – i to pod różnymi postaciami – jest przemożna. Może więc obywatel ma prawo także do Majdanu czy innych radykalnych gestów? Obawiam się, że myślenie o Majdanie, strajku generalnymi i innych tego typu formach zajęcia stanowiska podobne jest w istocie do marzenia o liderze opozycji, który pojawi się i... nagle zapanuje jasność: wszyscy mu uwierzą i razem zdołają naprawić brzydki i zły świat. To podobne mity, które są w Polsce co chwilę kultywowane. Proszę zauważyć, jak często pojawia się w mediach sugestia czy scenariusz: już za chwilę dojdzie do przełomu. Zaraz będzie przewrót, zaraz zmieni się marszałek sejmu, zaraz Gowin coś zmieni.

Marszałek senatu Tomasz Grodzki jeszcze pół roku temu ogłosił esej, jak to za chwilę będzie rząd techniczny w Polsce. A po protestach dotyczących wyroku Trybunału w sprawie aborcji padały porównania rewolucji młodych z tą w 1968 roku. Tak się mogło wydawać. Ale czy te opinie nie pojawiały się za szybko? Dziennikarze nagłaśniali takie tezy w chwili, kiedy trwała jeszcze naturalna emocja, zanim przekształciła się w coś trwałego, lepiej zorganizowanego.

Tymczasem nie będzie w Polsce zmiany, jeżeli nie będzie kontynuowana wielka praca na poziomie wartości i uporczywego tłumaczenia, dlaczego państwo normalne, europejskie, oparte na przyjętych przez cały świat wartościach jest nam potrzebne. I raczej bym zadał pytanie: czy my faktycznie robimy wszystko, co do nas należy? Powstaje coraz więcej ruchów, inicjatyw, w końcu partie też pod ich wpływem zmieniają strategie działania, ale to po prostu jeden wielki wysiłek, który jest niezbędny.

PiS ciągle nas testuje: podejmuje rozmaite działania i sprawdza, w jakim stopniu jeszcze jesteśmy w stanie w nasze demokratyczne wartości wierzyć i o nie się upominać. I jeśli o nie walczymy, to PiS odpuszcza. Jeżeli ta walka będzie konsekwentna, to doprowadzi do głębszej zmiany społeczeństwa.

Równocześnie PiS ciągle nas testuje: podejmuje rozmaite działania i sprawdza, w jakim stopniu jeszcze jesteśmy w stanie w nasze demokratyczne wartości wierzyć i o nie się upominać. I jeśli o nie walczymy, to PiS odpuszcza. Jeżeli ta walka będzie konsekwentna, to doprowadzi do głębszej zmiany społeczeństwa.

Ale przecież to właśnie radykalna opozycja, która sama nazwała się uliczną, Obywatele RP na przykład, przynajmniej spowolniła ten PiS-owski walec. Jest też oczywiście pytanie podstawowe: jak sobie poradzić z tendencją do tego, co politolodzy nazwali „demokratycznym autorytaryzmem" bądź „wyborczym autorytaryzmem". Czyli sytuacją, że większość głosuje na polityków autorytarnych. Dzieje się to, co się dzieje, a wyborcy – a w każdym razie, ci, którzy chodzą do urn – głosują w większości na PiS. Im się to jakoś tam podoba...

Na pewno Obywatele RP na pewnym odcinku swoje zrobili. A nadto Komitet Obrony Demokracji, Wolne Sądy, adwokatura, Fundacja Helsińska – tych grup, które się angażują na różne sposoby, jest sporo. Teraz świat

dziennikarski nabrał wiatru w żagle, bo ma konkretny cel w postaci niezależności TVN. Solidarności tej, nad czym ubolewam, zabrakło w kontekście przejęcia przez Orlen gazet lokalnych grupy Polska Press. Wtedy jako urzędujący rzecznik starałem się bić na alarm, częściowo skutecznie – bo sąd wydał postanowienie o wstrzymaniu tego procesu. Później nie miałem jednak wpływu na to, co zrobił PKN Orlen, który decyzję sądu wyrzucił po prostu do kosza. Tymczasem nawet jeśli w gazetach Orlenu na bieżąco nie widać ra-

Krzywda, opuszczenie, samotność jest czymś indywidualnym i mogą zupełnie inaczej wyglądać w dużym mieście, w małym mieście i na wsi. Jeżeli w dużym mieście będziemy rozmawiali bardziej o problemach progresywności – czyli o statusie środowisk LGBT, prawach kobiet czy kwestii uchodźców, to na szczeblu lokalnym ta krzywda będzie polegała na czymś zupełnie innym. Na tym, że matka dziecka z autyzmem nie ma wsparcia. Albo że burmistrz nie chce zapłacić za dowóz uczniów do szkoły.

dykalnej zmiany, to przecież kluczowe jest, by te podporządkowane media mówiły jednym głosem w pół roku przed wyborami. To wystarczy, żeby uzyskać przewagę – tu procent, tam procent pozyskać.

Jak pokonać ten wyborczy autorytaryzm? Po pierwsze, identyfikować i nazywać po imieniu procesy, które są charakterystyczne dla tego zjawiska. Czyli, na przykład, różne sytuacje asymetrii informacyjnej. Albo podgrzewanie emocji tak, by było to korzystne dla władzy. Po drugie, szukać innych form dotarcia do wyborców niż tradycyjne media. Bo te – publiczne telewizja i radio – w większości są już opanowane. Dlatego zupełnie inaczej trzeba używać mediów społecznościowych. A wreszcie więcej mówić, więcej pisać, więcej się spotykać, więcej par butów zedrzeć. Jednoczyć się i współpracować ze sobą.

To nie może być tylko ruch anty-PiS – on musi mieć coś do zaproponowania. Nie chodzi o to, żeby szukać pomysłów typu magicznego: a to nowego świętego Graala, a to – skoro oni mają 500+ – to my damy 600++.

Program powinien być spójny, ale też przygotowany we współpracy z ludźmi – w rzeczywistym dialogu, a nie tylko w postaci nakreślonego w ostatniej chwili plakatu czy kilku sloganów.

Wydaje mi się, że jest jeszcze jedna rzecz niewystarczająco odkryta dla polityki. Otóż ważne byłoby pokazywanie, że polityka może być inna, bo oparta na zaangażowaniu – tłumaczenie obywatelom, co może być ważne dla ich rzeczywistego współdecydowania o Polsce. Proszę zauważyć: Paweł Kukiz zdobył serca – i głosy – wielu ludzi, gdy ogłosił, że demokrację zreformują JOW-y, czyli jednomandatowe okręgi wyborcze. Mamy na świecie teraz wiele mechanizmów tak zwanej demokracji uczestniczącej, a w Polsce nie są one wystarczająco spopularyzowane przez polityków. Chodzi o metody typu: narodowe konsultacje, narodowa debata, panele obywatelskie, poważne traktowanie konsultacji obywatelskich, budżety obywatelskie w miastach. Chodzi o przekonanie ludzi: słuchajcie, my was będziemy traktowali podmiotowo nie tylko w czasie wyborów, ale także później, bo chcemy wam na poważnie oddać mechanizmy decyzyjne. Tylko żeby to zrobić, to muszą pojawić się politycy, którzy będą w stanie to opowiedzieć tak, by trafiło do ludzi. Nie można ograniczyć się to do jednej prezentacji i hasła. Chodzi o kampanię, która mogłaby zmienić obywatelskie myślenie.

Pan raczej nie jest za zaognianiem debaty publicznej. Nas rozpaliła do białości sytuacja z 11 sierpnia, kiedy w sejmie stało się to, co się stało. Przegłosowane rozwiązanie zostało cofnięte – z ewidentnym nadużyciem prawa. Czy w takich sytuacjach posłowie opozycji nie powinni po prostu demonstracyjnie wychodzić z sali obrad?

Łagodności to ja już nie mam aż tak bardzo w sobie... Tylko wróćmy do asymetrii informacyjnej. Tego typu gesty symboliczne są zrozumiałe, kiedy większość społeczeństwa jest w stanie pojąć przekaz, czyli je należycie zinterpretować i zrozumieć. Tymczasem dziś siły demokratyczne nie dysponują mediami, które byłyby w stanie w sposób powszechnie dostępny to przedstawić. Co więcej, nawet te media, które są niezależne, ze względu na swoją rzetelność będą musiały... nie mówię, że dzielić włos na czworo, ale będą musiały wysłuchać różnych opinii na temat tego rodzaju gestów. I wyobraźmy sobie, że po decyzji, iż ma nastąpić reasumpcja głosowania, opozycja wychodzi i nikt nie głosuje. W niezależnych mediach wybucha naturalna dyskusja. Jedni komentatorzy mówią, że trzeba było zostać i głosować, drudzy – że to było tchórzostwo, trzeci, że to był gest symboliczny. I jak ten biedny obywatel ma się w tym zorientować? Zwłaszcza jeżeli w pozostałych mediach jest to przedstawiane jako tchórzostwo czy wręcz działanie antypolskie („nie za to im płacimy, aby nie głosowali"). Na dodatek, co opisuje Anne Applebaum w książce *Zmierzch demokracji*, niektóre metody prowadzenia debaty publicznej są manipulowane. Mamy kaskady informacji i już nie wiadomo, co jest punktem odniesienia, w stosunku do którego musimy konfrontować naszą rzeczywistość.

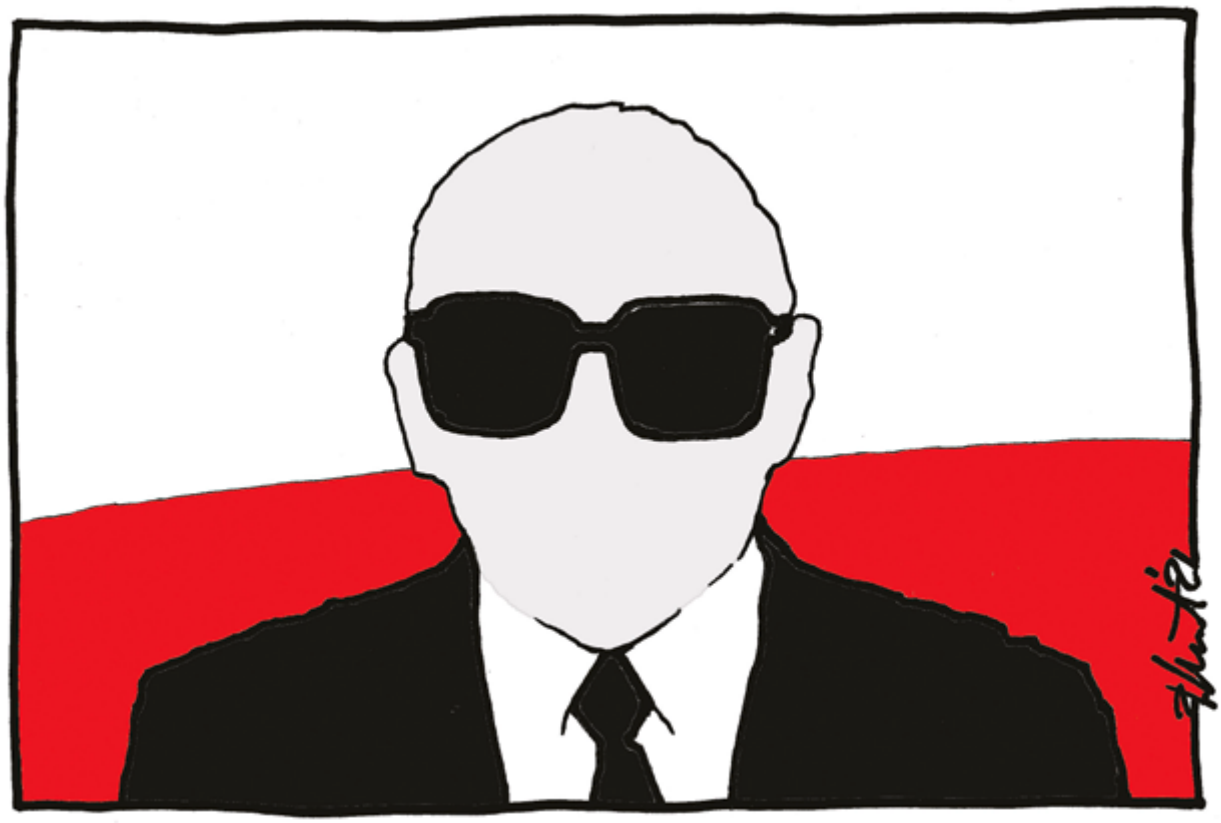

Rys. Piotr Błachut

Dlatego kluczowe jest to, żeby robić w tych warunkach co się da, aby wygrać tam, gdzie się da wygrać. To podobna sytuacja, w jakiej są adwokaci reprezentujący sędziów stawianych przed Izbą Dyscyplinarną Sądu Najwyższego. Nie uznajecie tej Izby? To po co do niej chodzicie? A oni mówią, no dobrze, ale to co, mamy poddać się bez walki?

Otóż właśnie: po co Pan chodził do Trybunału Julii Przyłębskiej? Czy – właśnie w potocznym odbiorze – nie wywołuje to wrażenia legitymizacji takich nielegalnych ciał?

Przeciwnie: chciałem – jakkolwiek na to patrzeć – górnolotnie dać świadectwo i trochę spróbować delegitymizować to, co się dzieje. A byłem nie tylko na rozprawie mnie dotyczącej, ale także na dwu ostatnich poświęconych w istocie członkostwu Polski w Unii Europejskiej.

To że pan sędzia Stanisław Piotrowicz dał się ponieść emocjom podczas jednej z rozpraw i próbował dr. Pawła Filipka (zresztą z Krakowa) traktować obcesowo, dla mnie było modelowym wręcz przykładem pokazania, po co ta sprawa jest.

Poza tym ważne było dla społeczeństwa, żeby zobaczyło, jakie są argumenty obu stron. A także dla organów i instytucji Unii Europejskiej. Mam wrażenie, że zdążyłem sobie wyrobić na tyle dobrą markę, że oni ufają temu, co mówię i jak należy oceniam sytuację w Polsce. Dostałem zresztą na zakończenie pracy rzecznika ładny list od Věry Jourovej.

Przez ostatnie lata w wielu sytuacjach za granicą starałem się przedstawiać płynący z Polski głos, który był alternatywny w stosunku do rządowego przekazu. Pokazywać, że Polska to nie jest tylko państwo tych, którzy są na pograniczu nacjonalizmu, homofobii oraz rządów autorytarnych. Przeciwnie – że Polska to także ludzie wierzący w liberalną demokrację i w wartości konstytucyjne. Więcej, kiedy teraz mam okazję do kontaktów z mediami czy z różnymi zagranicznymi ośrodkami opiniotwórczymi, powtarzam: słuchajcie, może będzie tak, że to my będziemy dla was nauczycielami demokracji? Bo jeżeli przejdziemy zwycięsko przez to trudne doświadczenie, to nie będzie lepszego miejsca, z którego będziecie mogli czerpać dobre praktyki, co i jak zadziałało – i jak należy się bronić przed tego typu tendencjami.

Czy państwo polskie roku 2021 jest państwem łamania prawa czy może już państwem bezprawia? Zwłaszcza że PiS swoją strategię destrukcji polskiej demokracji i dochodzenia do autorytaryzmu oparł na doświadczeniu z gotowaniem żaby: wrzucona nagle do gorącej wody, wyskakuje z niej natychmiast, ale gdy zostanie umieszczona w chłodnej wodzie, stopniowo doprowadzanej do wrzenia, daje się ugotować.

Powiedziałbym raczej, że Polska to nie tyle państwo bezprawia, ile państwo podwójne. Zgodnie ze znaną analizą ustrojowej rzeczywistości III Rzeszy dokonaną przez Ernsta

Fraenkela możliwe jest równoległe funkcjonowanie w ramach jednego państwa dwóch porządków polityczno-prawnych: sfery państwa prerogatyw, w którym główną rolę gra polityka, i sfery państwa normatywnego, gdzie wciąż obowiązuje i działa prawo.
U nas państwo prerogatyw w niektórych obszarach coraz bardziej się rozpycha i powoduje zawieszenie norm prawnych. W wielu sytuacjach element polityczny przeważa nad prawnym: mieliśmy przymykanie oczu na przestępstwa dokonane przez nacjonalistów, nierozliczone pozostają dziwne transakcje czy też wprowadzanie z naruszeniem zasad legislacji rozmaitych ograniczeń swobód obywatelskich w związku z pandemią, nie ma sankcji za nieprawidłowości związane z wyborami prezydenckimi i tak dalej. Swoje robi też pełna kontrola polityczna nad prokuraturą i służbami specjalnymi. To, że policja zachowuje się brutalnie, nieprofesjonalnie i czasami z naruszeniem prawa, jest efektem wysyłania do funkcjonariuszy przekazu, że politycy mają do nich absolutne zaufanie. Bo skoro jest taki komunikat, to znaczy, że policjant może sobie pozwolić na naruszenia prawa. Także kiedy minister obrony w apogeum kryzysu z uchodźcami odznacza żołnierzy za strzeżenie rubieży Rzeczypospolitej, to wysyła sygnał: cokolwiek zrobilibyście, to jak będziecie nam wierni, włos wam z głowy nie spadnie.
Ta granica tolerowania bezprawia cały czas się przesuwa. Ale to jeszcze nie spowodowało, że we wszystkich przestrzeniach życia mamy bezkarność. Poza tym pamiętajmy, że odpowiedzialność karna jest rozciągnięta w czasie. To, że coś w danym momencie może się wydawać działaniem bezkarnym, nie znaczy, że za dwa, pięć, siedem czy piętnaście lat będzie tak samo oceniane. Ta groźba zawsze wisi.

Wciąż jednak społeczeństwo nie zna odpowiedzi na pytanie, co zrobić z tym państwem podwójnym. Jest i inne ważne pytanie, związane poniekąd z Medalem „Za mądrość obywatelską": co to znaczy być dzisiaj mądrym, odpowiedzialnym, dobrym obywatelem? Czy to oznacza pełne posłuszeństwo wobec prawa? Czy może jednak przeciwnie: odwaga wszczęcia rebelii?

Ani jedno, ani drugie. Mądrość obywatelska współcześnie oznacza zainteresowanie sprawami państwa i polityki oraz nielekceważenie tego, co się dzieje wokół nas w tak zwanej przestrzeni publicznej. A nadto maksymalne wykorzystanie własnych zasobów – czasami finansowych, czasami intelektualnych, czasami artystycznych – do tego, aby walczyć o te wartości, o które walczyli chociażby ludzie opozycji demokratycznej i ruchu „Solidarności" czy wcześniej bohaterowie zmagań o naszą niepodległość. Takie jednak wykorzystywanie, które nie oczekuje za każdym razem od nas bohaterstwa, ale które jest adekwatne do tego, jakie mamy role zawodowe czy społeczne, czym się zajmujemy. Na co innego może sobie pozwolić żołnierz zawodowy, urzędnik państwowy, na co innego artysta, intelektualista czy profesor na uczelni, na co innego robotnik. Dla jednego to może być wspieranie organizacji pozarządowych czy niezależnych mediów. Dla innego to może być wspieranie Tour de Konstytucja. Nam na przykład w tej akcji niesamowicie pomógł Andrzej Chyra. A przecież nie musiał tego robić. Tymczasem dzięki niemu wiele innych serc artystycznych się też otworzyło na inicjatywę. Dla innego to będzie udział w demonstracji, a dla innego napisanie felietonu czy książki. Najgorsze jest udawanie, że się nic nie dzieje, pogrążanie się we własnym komforcie... Moja chata z kraja. Mała stabilizacja. Albo też hołdowanie symetryzmowi niedostrzegającemu, co się faktycznie w kraju dzieje.
Prawami człowieka zajmuję się od lat i widzę tego sporo, nie jest jednak tak, że nie widzę wad, które popełniały poprzednie rządy. Ale naprawdę nie można porównywać fundamentalnego ataku na państwo, na ustrój, na historię, na naszą pozycję geopolityczną do tego, że poprzedni rząd czegoś zaniechał, niewłaściwie rozłożył akcenty czy nie dostrzegał pewnych procesów społecznych. To są nieporównywalne rzeczy. I nie można z tego tworzyć symetrycznych konstrukcji, które tak naprawdę służą ucieczce od odpowiedzialności od tego, co się w Polsce obecnie dzieje. A dzieje się źle.

Witold Bereś – producent filmowy, scena-rzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków".

Krzysztof Burnetko – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego", później tygodnika „Polityka" (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.

SWEET HOME SWEET

Opowieść o ocaleniu, pamięci i powrotach /
A Story of Survival, Memory, and Returns

GALICJA
ŻYDOWSKIE MUZEUM

ŻYDOWSKIE MUZEUM GALICJA / GALICIA JEWISH MUSEUM
UL. DAJWÓR 18, KRAKÓW TEL. 12 421 68 42
WWW.GALICIAJEWISHMUSEUM.ORG

sponsorzy | sponsors

Mr. Kip Knelman
Ms. Michelle Ores
Polaron
Elizabeth Szancer
Luc Albiński

partner: MUZEUM KL PŁASZÓW

patroni medialni | media patrons

wyborcza.pl
Kraków Culture
Radio Kraków
New Eastern Europe
Local Life

Fotografie ze szklanego słoika

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec **Zdjęcie:** archiwum Ryszarda Oresa

Ryszard Ores z narażeniem życia przemycił do obozu w Płaszowie zdjęcia bliskich mu ludzi. Teraz możemy oglądać je w Muzeum Żydowskim Galicja.

Ryszard Ores z przyjaciółmi w getcie krakowskim, około 1941 roku

Nie wiemy, jak dokładnie wyglądał słoik, w którym Ryszard Ores zakopał na terenie obozu koncentracyjnego w Płaszowie przemycone tam z getta zdjęcia. Na pewno był on szklany i prawdopodobnie młodziutki sanitariusz wyniósł go ze szpitala obozowego. Musiał się spieszyć, by ukryć swój skarb, bo wiedział, że sam trafi za chwilę do transportu wiozącego go do Auschwitz-Birkenau. A nie chciał, by portrety ludzi, z których wielu już nie żyło, zginęły na zawsze. Teraz możemy oglądać je w Muzeum Żydowskim Galicja na wystawie zatytułowanej *Sweet Home, Sweet*.

Z fotografii patrzą na nas zadowoleni z życia ludzie – są na wakacjach, na spotkaniach z bliskimi... To przedwojenne zdjęcia rodziny Ryszarda Oresa, które nastolatek zabrał ze sobą do getta. Były dla niego ważne tak jak aparat fotograficzny, z którym nie był w stanie się rozstać. Dzięki temu mógł utrwalić na kliszy portrety przyjaciół, podobnie jak on uwięzionych za murami żydowskiej dzielnicy. Młodzi ludzie patrzą prosto w obiektyw, na twarzach kilku z nich maluje się uśmiech. Jakby chcieli na przekór wszystkiemu udowodnić, że w tej nienormalnej sytuacji oni postanowili zachować choć pozory zwykłego życia. Na wystawie rzucają się jednak w oczy odchodzące od poszczególnych osób strzałki. Dzięki nim poznajemy ich nazwiska

Ryszard Ores z dziećmi na Rynku w Krakowie, 1964

Ryszard Ores przed wojną, wakacje w Sopocie

i dowiadujemy się, komu udało się przeżyć wojnę, a komu nie.

Ryszard Ores przetrwał piekło nie tylko Auschwitz, ale również Mauthausen, Sachsenhausen, Flossenburga i w końcu Dachau, z którego wyzwolili go Amerykanie. Musiał poddać się długiej rekonwalescencji w szwajcarskim Davos, bo ważył 32 kilogramy. Gdy doszedł do siebie, rozpoczął studia medyczne w Bernie, po czym wyemigrował do USA, zostając ordynatorem Kliniki Medycznej Szpitala Weteranów Wojennych na Manhattanie. Kiedy tylko mógł, odwiedzał Kraków, za którym całe życie tęsknił. Przywoził tu członków swojej rodziny, utrwalając ich i zapamiętane z przeszłości miejsca na kręconych przez siebie filmach. Stały się one także częścią wystawy, podobnie jak nagrane na taśmie przeprowadzone z nim wywiady oraz wypowiedzi jego dzieci i wnuków, będące ważnym głosem w dyskusji, czym jest Holocaust dla drugiego i trzeciego pokolenia.

– Kiedy zobaczyłem afisz na Muzeum Żydowskim Galicja, na którym widnieje zdjęcie Rysia, pomyślałem sobie, że znowu wrócił do Krakowa. Tak jak wracał przez całe życie, wspomagając przy tym specjalistycznym sprzętem Klinikę Hematologii przy ul. Kopernika 17 – mówi prof. Aleksander Skotnicki, autor książki o Ryszardzie Oresie.

Wystawę *Sweet Home, Sweet* można oglądać w Muzeum Żydowskim Galicja do sierpnia 2022 r.

Literacki Wrocław wita literacki Kraków

Tak się już przyjęło, że jesienią literacki Kraków ma jakoś bliżej do Wrocławia niż przez resztę roku. Tę bliskość czują nie tylko autorzy spod Wawelu, ale coraz więcej miłośników dobrej książki, spragnionych smacznych intelektualnie rozmów i dyskusji – czasami o trudnych sprawach, ale też twórców, w tym noblistki Olgi Tokarczuk.

Kraków i Wrocław należą do sieci Miast Literatury UNESCO, a to przecież zobowiązuje i bliskości wręcz wymaga. Ideą stojącą u genezy tej dość elitarnej sieci, jest bowiem współpraca między miastami, które stawiają na kreatywność i wiedzą, jak ważna jest promocja literackiego dziedzictwa, książki, wymiana myśli, jak istotne wspieranie tych, którzy zajmują się literaturą, filmem, muzyką, mediami arts, designem, gastronomią oraz rzemiosłem i sztuką ludową.

Stolice obu województw w dziedzinie wydarzeń kulturalnych współpracują intensywnie od kilku już lat, a w tym roku nawet zaczęły wymieniać się pisarzami. Młodzi twórcy z Krakowa zamieszkają przez miesiąc we Wrocławiu, wrocławscy dostaną czasowe zameldowanie w Krakowie. To taki intelektualny program rezydencjalny, artystyczna cyrkulacja, której atutem jest integracja obu środowisk. Więzi się zacieśniają. Wystarczy przypomnieć, że Kraków i Wrocław angażują się razem także w ramach Międzynarodowej Sieci Miast Pisarzy Uchodźców zapewniającej bezpieczne i odpowiednie warunki do życia i pracy dla pisarzy, których twórczość stała się przyczyną prześladowań politycznych.

Tym wszystkim, którzy cenią dobrą książkę, polecamy zatem Wrocław jesienią – osobiście albo *online*. Będzie naprawdę obficie. Bruno Schulz Festiwal startuje już 13 października, Wrocławska Nagroda Poetycka SILESIUS i Literacka Nagroda Europy Środkowej ANGELUS to 16 października (jej finalistami i laureatami bywali poeci z Krakowa, między innymi Ewa Lipska i Ryszard Krynicki). Potem grudniowe Wrocławskie Targi Dobrych Książek i – na deser – inauguracja siedziby Fundacji Olgi Tokarczuk w willi Marii i Tymoteusza Karpowiczów we Wrocławiu (10–15 grudnia). Wrocław zaprasza Kraków.

(kb)

Okiem kaowca

Rozmawiała Katarzyna Kachel **Zdjęcia:** Max Pflegel/Wrocławski Dom Literatury (za łaskawą wiedzą i zgodą właścicieli praw)

Irek Grin: Gdybym po tylu latach pracy jako kreator kultury, wydawca, promotor powiedział dzisiaj głośno, że właśnie piszę pamiętnik, grupa prominentnych artystów w tym kraju wynajęłaby płatnego mordercę.

Katarzyna Kachel: Kiedy widzieliśmy się ostatni raz, mówił Pan, że właśnie zaczyna się nowy rozdział dyskursu pomiędzy krytykami a literatami.

Irek Grin: A co takiego się wówczas wydarzyło?

Krytyk Michał P. Markowski dał pisarzowi Antoniemu Liberze w twarz.

Pamiętam, śmialiśmy się nawet, że słabo, bo jednak z liścia, a nie z pięści jak należy. Poszło co prawda o kobietę, ale to był wyraźny sygnał zmian.

Od tych czternastu lat coś się faktycznie w tej dyskusji zmieniło?

Markowski, dokonując wówczas aktu ukarania, faktycznie przełamał symbolicznie potulny stosunek krytyków do autorów. A krytyka miała się wówczas świetnie; świetnie w tym znaczeniu, że gazety codzienne posiadały spore działy kultury (lub posiadały je w ogóle), w których pracowało po kilkanaście osób. Rynek papierowych czasopism literackich, porównując do stanu obecnego, był mocny i opiniotwórczy. Każdy głos w literaturze doczekiwał się próby refleksji krytycznej. Po 14 latach mamy sytuację, w której krytyka literacka poza wąskim światem akademickim *de facto* nie istnieje, a rolę przewodników po dobrej czy mniej dobrej literaturze przejął całkiem ktoś inny.

Blogerzy?

Tę poważną rolę, całkiem na serio, przejęli jurorzy konkursów literackich. Konkursów takich jest już w Polsce około setki. Najważniejszym gestem ocennym i jednocześnie często jedynym śladem krytycznego namysłu o książce stają się więc laudacje, które wygłasza się podczas werdyktów. A krytyka publicystyczna faktycznie przeniosła się do internetu i jest to zjawisko, uogólnijmy, w większości przypadków gorszące, a z kilku powodów nawet niepewne moralnie.

Z jakich?

Gdy się przegląda blogi, nawet te popularne, to składają się one w dużej części z podziękowań dla wydawców, którzy owe książki do recenzji blogerowi przesłali. Dochodzimy do sytuacji, w której bloger, skorumpowany przez jakąś oficynę, która podarowała mu pakę nowych, fajnych książek i oczekuje czegoś w zamian, pisze kiepskiej jakości, pobieżny i zwykle letni tekst. Są też tacy, którzy nawet nie piszą, a przeklejają noty wydawnicze. Mamy zatem przemysł, a nie namysł. Druga rzecz gorsząca: taki mechanizm promuje blogerów szybkich i powierzchownych oraz tytuły sygnowane przez celebrytów, nie pisarzy. Suma tych wszystkich uproszczeń wpływa na tabloidyzację recepcji literatury. Ten rodzaj tabloidu skrojony jest dla rzeczy łatwej i atrakcyjnej, którą się przeczyta i następnego dnia zapomni, o co w niej szło.

Jak zatem wyłowić z bylejakości to, co ma większą wartość?

I to jest pytanie o zadania i cele tych, którzy przyznają nagrody literackie. Dotyczy również mnie, bo sam je organizuję – Wrocławską Nagrodę Poetycką SILESIUS, Literacką Nagrodę Europy Środkowej ANGELUS z półmilionową pulą nagród, plus nagrodę Wielkiego Kalibru dla najlepszej powieści kryminalnej. W gronie ludzi doświadczonych, menadżerów, akademików już od lat się zastanawiamy, w jaki sposób ten model wyróżniania książek wpływa rzeczywiście na promocję najlepszej literatury. A to jest problem, bo, po pierwsze, są to konkursy, więc za wieloma werdyktami może stać wypadkowa przypadków. Po drugie, przedstawiciele jednego jury są często wykorzystywani w dwóch, jak nie w trzech innych kapitułach. To gest zamykający, trudno bowiem sobie wyobrazić, by ktoś, kto zasiada, dajmy na to przy Nike i nagrodzie Gdyni, za każdym razem myślał inaczej. Może się więc zdarzyć, że mocna osobowość jurora zdominuje pozostałych członków i zwyciężać będą te same tytułu. Od jakiegoś czasu staramy się nie powielać zatem nazwisk w kapitułach, tak by mogły czuć się niepodległe, omijały mainstream i, na przykład, dostrzegały debiutantów. Trudno spojrzeć na razie na to z dystansu i uznać, że to nowy trend. Na pewno jednak znak, że nagrody szukają swojej tożsamości.

> Rolę przewodników po dobrej czy mniej dobrej literaturze przejęli od krytyków jurorzy konkursów literackich.

Rozmawiamy o trudnym losie debiutantów, którego jednak Pan nie doświadczył. Pierwszą Pana książkę przyjęli dobrze zarówno krytycy, jak i czytelnicy.

I to był debiut sensacyjny. Dosłownie, bo taką właśnie książką była *Szerokiej drogi, Anat*, wydana w 2002 roku. Ale potem nie było już tak miło. Gdy przymierzałem się do napisania *Ze złości*, mając na koncie thriller i powieść

Irek Grin (rocznik 1969), pisarz, menedżer kultury. Autor kilku książek, między innymi wznowionej niedawno po 17 latach powieści o żydowskim, przedwojennym krakowskim Kazimierzu *Ze złości*. Twórca i dyrektor Międzynarodowego Festiwalu Kryminału Wrocław i Bruno Schulz. Festiwal. Wydawca w krakowskim wydawnictwie EMG. W latach 2013–2016 kurator literacki Europejskiej Stolicy Kultury Wrocław 2016, koordynator obchodów Światowej Stolicy Książki UNESCO Wrocław 2016/2017. Juror Literackiej Nagrody Europy Środkowej ANGELUS (2017–2018). Od 2018 dyrektor Wrocławskiego Domu Literatury, odpowiedzialny między innymi za miejskie nagrody literackie SILESIUS i ANGELUS, Wrocławskie Targi Dobrych Książek, wydawnictwo Warstwy czy program Wrocławia – Miasta Literatury UNESCO. Przewodniczący Rady Fundacji Olgi Tokarczuk i dyrektor Fundacji Olgi Tokarczuk.

kryminalną, nie było tak oczywistych, częstych i pogłębionych dyskusji na temat stosunków polsko-żydowskich. Tylko niewielka grupa autorów została namaszczona i koncesjonowana społecznie, by móc się w tych kwestiach w ogóle wypowiadać. A tu nagle jakiś facet od kryminałów chce wydać książkę o bardzo poważnych tematach. Jakież on ma do tego prawo? Ta powieść długo, za długo szukała odbiorców i to że teraz, po 17 latach, zdecydowałem się ją wznowić, zawdzięczam głosom znajomych i przyjaciół, którzy uznali, że powinienem.

Bo wybrzmi dziś inaczej?

Bo jest aktualna, nie zestarzała się i ma szansę zostać dopełnieniem tego wszystkiego, co się przez ostatnie lata wydarzyło. A wydarzyło się wiele, bo literatura świetnie zaopiekowała się tematem polsko-żydowskim, i to zarówno dokumentalna, reportażowa, jak i fikcja.

Bohaterem *Ze złości* jest Maks, dla którego pochodzenie jest istotne i stygmatyzujące. Jak ważne są dla Pana korzenie?

Nie mam szczególnego przywiązania do tego, gdzie ktoś przyszedł na świat. Myśląc o tożsamości wywiedzionej z miejsca zamieszkania – w ogóle w taką zależność nie wierzę. Jakaż bowiem jest tożsamość potomków kielczan, którzy w roku 1945 przyjechali do niemieckiego Wrocławia i tam rodziły się ich dzieci? Są Polakami, mieszkają w niemieckim domu i jak wielu na zachodzie kraju żyją na walizkach; nie przywiązują się, nie inwestują (bo raz zostali wygnani, kto im zapewni, że nie zostaną wyrzuceni raz drugi?). Spójrzmy na ludność Lwowa i Wrocławia, miast, które dokonały po wojnie niemal stuprocentowej wymiany mieszkańców. Jaka jest tożsamość Ukraińca, który ląduje w polskim Lwowie, w mieszkaniu polskiego inteligenta. Kim jest? To, kim się czuję, w kontekście nieludzkiej, chorej, katastrofalnej historii ostatnich 200 lat, nie jest zależne od miejsca, ale od ludzi, którzy nas otaczają.

Najpierw od rodziny.

A potem od kolegów z podwórka, szkoły, znajomych, przyjaciół, pierwszej pracy. W Polsce możemy sobie wyobrazić taką historię – nie będzie to zresztą wyjątkowo trudne: ktoś wychowuje się na obcej ziemi, w Szczecinie albo

Gorzowie, repatriowany po wojnie ze Lwowa, przemitologizowany kulturą kresową, która jeszcze się tak nie nazywa, ale przejawia się w specyficznym zaśpiewie, zwyczajach i tak dalej. Wzrasta w środowisku, gdzie jeśli się z tego akcentu nie śmieją, ma szczęście, a potem, w szkole wyższego stopnia, już nie bardzo może mówić skąd jest, bo zmieniają się założenia państwowej polityki historycznej – więc odbiera się jego tożsamości wielowiekową, być może pozorną, stabilność. W latach 60. idzie do pierwszej pracy i, by zdobyć cokolwiek, musi mieć legitymację partyjną. Kiedy przychodzi rok 1968, ten lwowiak mieszkający w Szczecinie dowiaduje się, że jest Żydem, o czym nie wiedział, bo przed tą wiedzą rodzice go chronili, a państwo polskie chce się go właśnie pobyć. Ląduje w Szwecji i kim jest? Kategoria tradycyjnie rozumianej tożsamości, szczególnie po wydarzeniach XX wieku, jest do podważenia. Jeśli ktoś mi mówi, że jest Żydem, Polakiem, gdańszczaninem, krakusem, to podchodzę do tego z ostrożnością.

Nie czuł więc pan, jak Maks, że urodził się wbrew sobie?

Jestem pierwszym pokoleniem w rodzinie urodzonym poza Krakowem, w Żarach. Naturalną dla mnie koleją rzeczy, po tym jak dziadek z 2 Armią Wojska Polskiego wylądował na ziemiach tak zwanych odzyskanych, by zadbać o rozwój nowego polskiego miasta, był powrót pod Wawel. Wróciłem na studia do siebie, do domu. Później, przez dużą część młodzieńczego życia, mieszkałem w różnych krajach. Dziś nie jestem już tak naiwny, by sądzić, że miasto, w którym moi przodkowie pochodzenia żydowskiego przez kilkaset lat byli obywatelami, jest moim.

Kiedy pisał Pan *Ich miasto*, myślał Pan podobnie?

Kiedy pracowaliśmy z Anis Pordes, był przełom lat dziewięćdziesiątych na dwutysięczne. I nagle, z jakąś niebywałą jasnością dotarło do nas, że Kraków, najlepiej zachowane w Europie miasto żydowskie, nie ma swojej „księgi Żydów". Dlatego każdy wywiad z przedwojennymi żydowskimi mieszkańcami Krakowa był fenomenem, odkryciem. Cytując Monty Pythona: powiedz to młodym i tak nie uwierzą. Nie uwierzą, że był taki czas, kiedy trzeba było tłumaczyć, jak wyglądał żydowski Kazimierz – bo źródła były rozrzucone, nikt tego nie scalał. Księgi Żydów? Funkcjonowały, ale w formie spisu lokatorów i abonentów. Nikt tego nie próbował zobaczyć całościowo, choć przecież wówczas część z tych ludzi, którzy ocaleli, jeszcze żyła. A my mieliśmy to szczęście, że dane nam było z nimi rozmawiać. To właśnie wtedy w głowie pojawił się Maks jako ucieleśnienie tej wiecznej choroby pragnienia bycia Polakiem. W głowę wwiercił mi się bohater, który wbrew sobie urodził się Żydem, podczas kiedy jego polski przyjaciel, drugi bohater tej książki, marzy o byciu Żydem. Prosta konstrukcja, żadnych fajerwerków. Tak powstała powieść, fikcja, która pozwala nam powiedzieć coś więcej na temat niewyobrażalnego. Bo Holokaust jest niewyobrażalny. Badanie i opisywanie tej prawdy tak kompletnie nie mieści się w głowie, że postanowiłem dokonać gigantycznej wolty i spróbować przenieść straszną wiedzę o faktach do fikcji. Bo może, paradoksalnie, ludzie wtedy w to uwierzą?

Uwierzą, a może nawet zmienią. Wierzy Pan, że książki zmieniają ludzi?

Tak, wierzę głęboko, bo dowodem jest moje życie. Nie mam jednak złudzeń, że książki napisane moją ręką zmieniły los innych. Nie miałem przekonania co do swojej wielkości, może dlatego przestałem pisać. Literatura zmienia życie na wielu poziomach; na tym pierwszym, kiedy uświadamiamy sobie, że świat działa tak, a nie inaczej, czyli idzie za nią wiedza, poznanie. Na drugim, pogłębionym, kiedy nasze życie zaczyna się zmieniać podczas lektury, a my na rzeczy i zjawiska patrzymy już przez pryzmat tego, co w nas obudziła literatura. Bywa też metamorfoza światopoglądowa. Wielcy pisarze mają to do siebie, że zauważają rzeczy, które nam umykają, nawet wtedy, kiedy chodzi o nasze własne podwórko. Potrafią nam drugiego człowieka tak opowiedzieć, że nigdy byśmy bez tej opowieści go nie odkryli takim, jakim jest. Jest i poziom fizjologiczny, biologiczny, czyli rozwój mózgu, zdolności interpersonalnych, precyzyjnego komunikowania. Same w tym wszystkim plusy, bo stajemy się pełniejszymi ludźmi. Zwiększa się nasza empatia, nawet gdy czytamy o rzeczach, które do gatunku ludzkiego nie nastrajają w jakiś przyjazny sposób. Czyli trening intelektualny, ćwiczenia z wyobraźni, głębsze postrzeganie świata nawet tego już przez nas zdefiniowanego, nudnego, powtarzalnego.

> To, kim się czuję, w kontekście nieludzkiej, chorej, katastrofalnej historii ostatnich 200 lat nie jest zależne od miejsca, ale od ludzi, którzy nas otaczają.

No i emocje nam daje.

Jasne. Są i emocje.

Wie Pan, że wiele osób podczas lektury *Ze złości* płakało?

Wiem, wiele osób podczas spotkań mi to mówiło.

Niesamowita moc.

Jestem arogancki i zarozumiały, ale nie do takiego poziomu, bym teraz miał to skomentować. Dziś już nikt nie będzie płakał. Może dlatego, że wiele rzeczy, o których piszę, już znamy, wiemy, stały się wiedzą powszechną. 17 lat temu wyłożenie na stół historii polskiego Żyda, który nie przeżył wojny tylko dlatego, że był Żydem, a mógł przeżyć, gdyby był Polakiem, nie było oczywiste. Napisałem ją za wcześnie. *Ze złości* rościła sobie w mojej naiwności prawo do wyczerpującej diagnozy, ale

dziś tak prostej diagnozy bym już nie postawił, stałem się ostrożniejszy w sądach. Ja, wszyscy zresztą, zawdzięczamy to tym setkom tomów, które powstały i dotyczą tematyki żydowskiej. Kraków, niestety, jest wciąż źle reprezentowany, jeśli chodzi o te kwestie. Wciąż upomina się o swoją Księgę Żydów. Domaga się swojego *Króla* Twardocha. Powieści, która spróbuje być atrakcyjna, ale i syntetyczna. *Ze złości* próbowała taką książką być 15 lat przed Twardochem. To, powtórzę, nie był jednak jej czas, a ja nie byłem Twardochem.

Kraków wciąż robi za mało?

Odtwarzanie żydowskiego, przedwojennego Krakowa odbywa się w tym mieście całkiem sprawnie i to przy wsparciu miasta. Jest Festiwal Żydowski, kilka wydawnictw, które się specjalizują w tej tematyce, są artyści, którzy szukają swojego głosu, ale wszystko jest rozproszone. Wciąż czekamy na wyrazisty, ważny głos pisarski, epicką powieść; na *Lalkę*, ale dziejącą się pod Wawelem. Żydowski Kraków, choć

Wielcy pisarze mają to do siebie, że zauważają rzeczy, które nam umykają nawet wtedy, kiedy chodzi o nasze własne podwórko.

wciąż wiele osób tak sądzi, to nie jest Kazimierz. Ja ten prawdziwy poznałem oczami tych, którzy tu mieszkali.

I wciąż Pan twierdzi, że ta tożsamość związana z miejscem nie jest istotna?

Ma niezwykle płynny charakter i dziś to doskonale rozumiem. W języku polskim mamy taką frazę: dobre, wygodne miejsce do życia. Co to ma wspólnego z korzeniami? Pandemia pozbawiła nas tylu złudzeń, jak w soczewce zobaczyliśmy, kim jesteśmy, czego się boimy, kim są nasi przyjaciele. Wreszcie mogliśmy – jeśli mieliśmy odwagę – od nowa się zdefiniować.

I czego się Pan dowiedział?

Że potrafię pandemię oszukać, bo udało mi się na razie nie zachorować. To po pierwsze. Po drugie, że skrajne sytuacje potrafią mnie dopingować i napędzać, bo przez cały czas pandemiczny pracowałem i pracuję niezwykle intensywnie. We Wrocławskim Domu Literatury zaraz po lockdownie zorganizowaliśmy 100 imprez, przy przygotowaniu których co rusz zmieniały się warunki; albo mogliśmy wpuścić 100 osób albo nie, albo goście mogli siedzieć w maskach albo nie, albo ich w ogóle być nie mogło. Tak naprawdę ja tego covidu z powodu adrenaliny i zmęczenia nie zauważyłem.

Bo uciekł Pan przed nim w pracę.

Być może, ale nie dało się inaczej. To był akurat taki czas, kiedy wiele rzeczy w moim życiu się zmieniło. Po przyznaniu Oldze Tokarczuk Nobla podjęliśmy decyzję o założeniu Fundacji, która została zarejestrowana kilka dni przed całkowitym lockdownem. Nie można było pozwolić, by przestała działać, więc mój dzień wyjątkowo się wydłużył.

Świat na szczęście odciął Pana od konsumpcji i innych rozrywek.

Faktycznie, gdybym funkcjonował normalnie, byłoby to organizacyjnie nie do uniesienia. Zwłaszcza kiedy mieszka się w Krakowie i Beskidzie Niskim, żona pracuje w Krakowie, ja we Wrocławiu, a córka chodzi do liceum. Robotą da się zarządzać, ale kwestie zarządzania własnym życiem rodzinnym, gdy do bycia razem pozostają weekendy, wymagają ekwilibrystyki. Z Beskidu do Wrocławia mam 470 km. Nie znam nikogo, kto ma dalej do pracy niż ja.

Covid Pana nie zmusił do przemyśleń egzystencjalnych, jak zmusił wielu? Nic Pan sobie nie przewartościował?

Gratuluję tym, którzy mieli na przemyślenia czas. Zarządzam wieloma zespołami i w pierwszej kolejności myślałem o ich bezpieczeństwie. Nie udało mi się jakoś znaleźć wolnej chwili na pogłębienie swojego stosunku do zmieniającego się świata.

Nie stracił Pan poczucia bezpieczeństwa?

Nie, osobistego nie. Kiedy zaczęło się projektowanie wydarzeń, musieliśmy do każdego z nich mieć po trzy, cztery scenariusze, czyli: przyjadą goście i będzie zgoda na publiczność, przyjadą i nie będzie, w ogóle nie przyjadą. Co dziś mogłoby mnie jeszcze po tym czasie zaskoczyć, zredefiniować moje podejście do roboty?

Musiał się Pan dostosować do przepisów, a przecież lubi Pan być tak bardzo niezależny.

Moja niezależność od dziesięciu lat jest zdecydowanie przereklamowana. Tak jak wcześniej plotki na mój temat bywały przesadzone. Dużo musiałem oddać ze swej niezależności. Zawód niezależnego fotografa zarzuciłem 18 lat temu, zawód pisarza – 15 lat temu. Jakby mnie ktoś dziś chciał zapytać, kim jestem, to nie wiem, co bym odpowiedział.

Może choć pamiętniki Pan pisze?

Gdybym po tylu latach pracy jako kreator kultury, wydawca, promotor, powiedział dzisiaj głośno, że tak! właśnie piszę pamiętnik! – grupa bardzo prominentnych artystów w tym kraju wynajęłaby płatnego mordercę.

Niech Pan nie ściemnia, przecież Pan pisze.

No dobra, to się nazywa *Alfabet*. I zarówno w komputerze, jak i w odręcznych notatkach jest klauzula: opublikować pięć lat po mojej śmierci... Uprzedzam: ma to charakter absolutnie figlarny. Za punkt honoru przyjąłem sobie, że anegdoty, które opowiadam o konkretnych ludziach, nigdzie nie zostały opisane, ale są na nie świadkowie. Dużo tego i wciąż się rozrasta.

Mówi Pan, że miałby problem z odpowiedzią na pytanie, kim jest. Przestał być Pan fotografem, przestał być pisarzem. To wybór czy przypadek?

Wtedy, kiedy się to stało, byłem jeszcze wolny. Więc to świadoma decyzja. Uzmysłowiłem sobie w pewnym momencie, że rzeczy, które robię na rzecz czytelnictwa, ten prosty aktywizm książki są skuteczne. Że potrafię wymyślić

niesztampowe formaty, czasem zwariowane, czasem poukładane, ale często nowe i zawsze zaskakujące. Z perspektywy dostrzegam, że wiele obowiązujących dziś w upowszechnianiu czytelnictwa formatów albo sami wymyśliliśmy w gronie współpracowników, albo współtworzyłem je czy doradzałem. Kreowanie kultury, upowszechnianie czytelnictwa, jakkolwiek dziwnie to zabrzmi, daje mi gigantyczną satysfakcję.

Czyli dusza pozytywisty?

Wyszło na jaw późno, ale tak właśnie jest. Pierwsze lekcje dla licealistów podczas festiwali zaczęliśmy my. Przy festiwalu kryminałów (a w tym roku odbyła się już 18. edycja) nie było to jeszcze tak oczywiste. Nie nazywaliśmy tego wprost działaniami edukacyjnymi, ale to już była praca nad czytelnictwem. Wkrótce przekonanie, że spotkanie twarzą w twarz z autorem jest bezcenne, zaczęło być wręcz naturalne. Tyle że przyszła pandemia i już taki, a nie inny literat nie mógł spojrzeć w oczy swoim czytelnikom w realu. Trzeba było ludzi książki przekonać, że i *online* jest wartościowe. Musiało być to jednak na tyle atrakcyjne, by ktoś nie wyłączył transmisji po pięciu minutach. Bo proszę przekonać kogoś, kto o ósmej rano siada do Zooma i pracuje przy ekranie cały boży dzień, by o 19 jeszcze raz kliknął przycisk i wziął udział w dyskusji nawet ze swym najbardziej ulubionym pisarzem. Te wszystkie wątpliwości, które się pojawiały z racji okoliczności zewnętrznych, dały mi przyczka w nos i zmusiły do poszukiwania nowych rozwiązań. Ot, takie problemy managera kultury. Przez lata płynąłem na fali wznoszącej, przekonany, że robię fajne rzeczy, a potem wskakuje się na taki poziom, kiedy trzeba to utrzymać, kiedy trzeba bardziej walczyć o jakość, by nie osiąść na laurach, nie poddać się rutynie, nie wyczerpać, nie zgorznieć.

A może taki rytm jest naturalny?

Może, ale jeśli o mnie chodzi, nie podejrzewałem, że tak zacznę o sobie myśleć, tak planować, no i stało się.

Został Pan kaowcem.

Semantycznie to określenie jest źle nacechowane, ale faktycznie jestem działaczem kulturalnym, który oświeca, zachęca, popularyzuje. Po prostu nauczam, że czytanie jest ważne dla ludzkości i mamy na to dowody. I ta misja, spośród wszystkich, które mógłbym sobie wyobrazić, pochłania mnie najbardziej.

A nie nudna? Nie chce mi się wierzyć, że lepsza niż zdolność kreowania takich światów, jakie Pan powołał na przykład w książce *Ze złości*. Stracił Pan władzę nad bohaterami. I ta misja edukatorska to zaspokaja?

Tak się właśnie stało. Mógłbym się krygować, starać się coś odpowiedzieć, by było ciekawiej, by panią zadowolić, ale nie zamierzam – tak właśnie jest.

No to wcześniej, co to było, eksperymentował Pan tylko?

Wcześniej mi tamto sprawiało satysfakcję.

Znudził się Pan?

Naprawdę nie jestem typem mieszczanina, nawet w najlepszym tego słowa sensie. Typem, który chodzi do tej samej pracy całe życie, w tej pracy jest zadowolony albo udaje, że jest, nie przemieszcza się, nie ma marzeń, idzie w końcu na emeryturę i dalej się cieszy. Ja coś cały czas próbowałem zmieniać.

Taki tułacz Pan jest?

No, Żyd tułacz. Tak, mentalnie tak. Proszę zauważyć, że jestem szefem Wrocławskiego Domu Literatury od trzech lat, czyli zacząłem dyrektorować, gdy miałem lat 49. Może kogoś zdziwić informacja, że to moja pierwsza praca etatowa w życiu. Dotychczas wszystko, co robiłem, to na własny rachunek, bez przywiązania do miejsca, budynku, biura i stołka. Było to dla mnie tak naturalne jak oddychanie. Kiedy objąłem instytucje z wszystkim tym, co się pod tą nazwą kryje, nie sądziłem, że jestem w stanie umeblować swoje życie tak, jak chcę. Mieszkając w różnych miastach, pracując we Wrocławiu, często musiałem tłumaczyć urzędnikom,

> Czytanie jest ważne dla ludzkości i mamy na to dowody.

że nie do końca rozumiem godziny pracy od do, telefon i komputer stacjonarny. Wszystko da się przecież wykonywać z różnych miejsc. To, jak WDL i inne projekty, które prowadzę, przeszły gładko pandemię, zawdzięczamy między innymi temu, że cenię sobie zdalną pracę, że dla mnie konieczność takiego działania nie była tragedią, nie musiałem się jej uczyć. Dla większości ludzi w kulturze dynamika, mobilność, podróżowanie powinny być wpisane w specyfikę tej pracy.

Coś, co jest stałe i ograniczone, Pana uwiera?

Tak było zawsze. Szczęśliwie jako dyrektor, który zajmuje się różnymi przedsięwzięciami, mam nienormowany czas pracy i wolność. W kulturze ciężko mówić o ścisłym rozumieniu tygodnia pracy. Przecież my pracujemy cały tydzień, by w weekend mogło się coś wydarzyć. Ponadto komuś, kto w życiu zmierzył się z potężną siłą tworzenia fikcji, która drzemie w kreowaniu, która częściowo pochodzi z nas, a częściowo z tego świata, będzie łatwiej przeżyć i zrozumieć pandemię. Ktoś taki jest w stanie znaleźć rozwiązania fabularne, które komuś niewyćwiczonemu w budowaniu narracji nie przyszłyby do głowy. Ciężko, żeby zawalił się fizyczny świat akurat tym ludziom, którzy są przyzwyczajeni do tego, że sami go aranżują.

Katarzyna Kachel – dziennikarka, redaktorka, kolekcjonerka niebanalnych opowieści i książek kucharskich.

Łukasz Stokłosa, bez tytułu, olej na płótnie, 30 x 40 cm, 2019

Jak to na wojence...

Rozmawiała Magdalena Huzarska-Szumiec **Zdjęcie:** Tomasz Leśniowski/na licencji: Wikimedia Commons

Magdalena Grzebałkowska, autorka książki *Wojenka*, która ukazała się nakładem wydawnictwa Agora: Każde z dzieci, które przeżyły wojnę, nosi w sobie do dziś jakieś traumy. Zależą one tylko od kręgów piekieł, do których schodziły, i od śladów, jakie one w nich zostawiły.

Magdalena Huzarska-Szumiec: Podtytuł Pani najnowszej książki *Wojenka* zapowiada, że będzie ona „o dzieciach, które dorosły bez ostrzeżenia". Kim były dzieci, o których Pani pisze?

Magdalena Grzebałkowska: To były zwykłe dzieci, które niechcący zostały uwikłane w wojnę. W jednej chwili przestały być dziećmi. Tak jak jeden z moich bohaterów, który powiedział, że dorósł bez ostrzeżenia w momencie, kiedy jego kolega wszedł na minę i umierając, powiedział do niego: „Zdzisiu, tylko nie mów mamie, bo będzie się gniewać". Ta prośba mogłaby wydać się strasznie dziecinna, gdyby nie sytuacja, w jakiej została wypowiedziana.

Czy to był powód, że zajęła się Pani wojennymi losami dzieci?

Tak, bo w ich przeżyciach skupiają się jak w soczewce wszystkie okrucieństwa wojny. Na dodatek mamy tu do czynienia z inną perspektywą niż w przypadku dorosłych. Te dzieci nawet jak zostają bohaterami, to są przypadkowymi bohaterami. Kiedy dziecko pułku jedzie z radzieckimi żołnierzami wyzwalać Berlin, to tak naprawdę nie wie, kim jest Stalin, który ich tam wysłał.

A co takiego jest w historii Artura Pawłowskiego, że od niej rozpoczyna Pani książkę?

Wojenkę rozpoczęłam od niego z trzech powodów. Pierwszy wiązał się z chronologią, bo pan Artur trafił do niemieckiego sierocińca w 1933 roku, kiedy naziści przejmowali władzę w Niemczech. Miał wtedy trzy lata, za sześć lat miała wybuchnąć wojna, więc to wszystko wydało mi się bardzo symboliczne. Poza tym pan Artur jest gdańszczaninem, a ja też urodziłam się w Gdańsku. Już choćby dlatego temat był mi bliski. Poza tym sięgając po historię chłopca, który miał zostać wychowany na dobrego Niemca, daję sygnał, że będzie to książka nie tylko o polskich dzieciach.

I rzeczywiście, jest też o dzieciach hiszpańskich, japońskich i paralelach jakie można odnaleźć między niemieckim sierocińcem a radzieckim łagrem. Tu i tu dzieci były głodne, samotne, cierpiały nie tylko fizycznie, ale i psychicznie. Czy w ten sposób chciała Pani pokazać, że ich losy w gruncie rzeczy były do siebie podobne niezależnie od tego, po której stronie barykady stali rodzice?

Tak wyszło i to jest taka mała nagroda dla reportera. Jednak kiedy zbierałam materiały, nie miałam świadomości tego, że tak się to ułoży. Dopiero siedząc nad poszczególnymi tematami, grzebiąc w szczegółach, zaczęłam sobie zdawać sprawę, że tu się coś ze sobą łączy. Niemiecki dom dziecka i radziecki łagier – niby dwa różne miejsca, dwa różne terrory, ale dokonywało się w nich takie samo niszczenie człowieka.

W przeżyciach dzieci skupiają się wszystkie okrucieństwa wojny. Na dodatek mamy tu do czynienia z inną perspektywą niż w przypadku dorosłych. Kiedy dziecko pułku jedzie z radzieckimi żołnierzami wyzwalać Berlin, to tak naprawdę nie wie, kim jest Stalin, który ich tam wysłał.

Co w tym wszystkim było najgorsze dla dzieci?

Gdziekolwiek na świecie toczy się wojna, to dla dziecka najważniejsze jest, by być z rodzicami, bo to daje mu choć odrobinę poczucia bezpieczeństwa. Dla wielu moich bohaterów wspólne było to, że zostali oddzieleni od mamy i taty. To spowodowało, że gdy skończyła się wojna, już nigdy nie wrócili do takiego stanu relacji rodzinnych jak wcześniej. Coś się urywało. Dziewczynka, która została wywieziona na Syberię i żyła tam w straszliwych warunkach, ale z mamą i siostrą, z wojny wyszła w lepszym stanie psychicznym niż pan Artur, który dopiero po latach odwiedził matkę w Niemczech.

I ona nie chciała mieć z nim nic wspólnego. Jest Pani w stanie ją zrozumieć?

Magdalena Grzebałkowska jest reporterką, autorką takich książek jak: *Ksiądz Paradoks. Biografia Jana Twardowskiego*, *Beksińscy. Portret podwójny*, *1945. Wojna i pokój*, *Komeda. Osobiste życie jazzu*.

Ona miała kilkanaścioro dzieci, z których kilkoro zostało jej odebranych. Nie jestem w stanie zrozumieć, dlaczego ich nie szukała. Ale jako reporterka zawsze staram się dociec, jakie były przyczyny zachowania moich bohaterów, co nimi powodowało. W tym wypadku wydaje mi się, że ta kobieta, by nie oszaleć z rozpaczy, musiała zapomnieć o swoich dzieciach. One musiały dla niej umrzeć.

Pisze Pani, że czasami w zrozumieniu historii bohaterów pomagają przedmioty. Co Pani czuła, gdy trzymała w ręce skarpetkę Władimira Romanowskiego, chłopca, który przyszedł na świat w radzieckim łagrze?

Moją reakcję mogę porównać z reakcjami Japończyków, którzy przyjeżdżają do Europy, nie po to, żeby zwiedzać, tylko żeby robić zdjęcia, bo na zobaczenie każdego miasta mają ledwie dzień. Emocje uruchamiają się w nich dopiero po powrocie, gdy przeglądają fotografie. Kiedy trzymałam w ręku tę skarpetkę, to był to taki ładunek emocjonalny, że

chyba nic nie czułam. Dopiero w domu przypomniałam sobie tę skarpeteczkę. Nie mogłam przestać myśleć o tym, że kobiety wydziergały ją w łagrze z nici wyciągniętych z własnych ubrań i robiły to dla chłopczyka, którego przez kilka lat musiały trzymać w oborze. To, co czułam, najlepiej określa słowo „wzruszenie".

A dotykała Pani płaszcza generalnego gubernatora Hansa Franka?

Oczywiście, nie mogłam tego nie zrobić. Wisi on nad stawikiem w ogrodzie jego syna Niklasa Franka. Kiedy przyjechałam do niego na wywiad, od razu mi go pokazał. Ten płaszcz jest w bardzo dobrym stanie, to naprawdę świetna, przedwojenna albo wojenna, niemiecka robota. Tylko klamerka trochę zardzewiała. W jego przypadku było jak z tą łagrową skarpetką. Rozmawiałam z Niklasem, robiłam zdjęcia i jakoś o tym nie myślałam. Dopiero gdy usiadłam w domu do pisania, dotarło do mnie, że stałam koło płaszcza, w którym Hans Frank wysyłał ludzi na śmierć.

Symboliczne jest też to, że ten płaszcz wisi jak taki strach na wróble.

Zapytałam o to Niklasa, a on odpowiedział, że powiesił go tak specjalnie. I ważne jest tu słowo „powiesił". Hans Frank po wojnie został skazany na karę śmierci przez powieszenie. Niklas lubuje się w takim czarnym humorze. Kryje się za nim, żeby nie zwariować zupełnie na wspomnienie tego, co zrobił jego ojciec.

Czy sądzi pani, że syn nazisty jest też ofiarą wojny?

Na pewno jest jej ofiarą, został przez nią bardzo poraniony, nawet jeśli w dzieciństwie nie doznał cierpień z powodu bombardowań czy prześladowań. Jest ofiarą swojego ojca, który był, jak ustalono w Norymberdze, siódmym w kolejności najważniejszym nazistą w Rzeszy. On, jako jedyny z rodzeństwa, wziął na siebie winy ojca, obrócił się przeciwko niemu i uznał jego działalność za przestępczą.

Losy i poglądy syna Hansa Franka są dość dobrze w Polsce znane, choćby ze względu na jego aktywność, wydawane przez niego książki. Natomiast historia mieszkających w Ameryce Japończyków, w tym dzieci, które od ataku na Perl Harbor były przetrzymywane w obozach internowania na terenie Stanów Zjednoczonych, nie jest już tak oczywista. Jak Pani na nią trafiła?

Dla mnie i wielu moich znajomych ta historia też była zaskakująca, choć w Stanach jest dosyć znana. Trafiłam na nią, kiedy szukałam dziecięcych bohaterów mojej książki. Myślałam o zwykłej amerykańskiej dziewczynce lub chłopcu, którzy w czasie II wojny światowej byli bezpieczni. Owszem, był Perl Harbor, owszem amerykańscy żołnierze jechali do Europy, by pomóc w walce z Hitlerem, ale w samej Ameryce nic się nie działo. Mam w Los Angeles przyjaciółkę, którą poprosiłam o pomoc w odnalezieniu kogoś takiego. Powiedziała mi, że żaden Amerykanin nie przychodzi jej do głowy, ale zna pewnego Japończyka, który był w czasie wojny dzieckiem. Tylko nie wiedziała, czy mi się on przyda, gdyż w czasie wojny był w obozie. Nie rozumiałam, o co jej chodzi, bo skąd niby Japończyk miałby się wziąć w obozie? Ona opowiedziała mi wtedy o miejscach, w których po ataku na Pearl Harbor internowano mieszkających w Stanach Japończyków. Jak już wiedziałam, że jest taki trop, to zaczęłam szukać. W ten sposób poznałam pana Richarda Iseriego i pana Minoru Tonaiego.

Jak trafili do obozu?

Razem z rodzicami zostali aresztowani, kiedy rozpętano antyjapońską histerię. Władze zrobiły to w sposób cyniczny, będąc w zmowie z farmerami, którzy chcieli przejąć majątki Japończyków. Pod wpływem propagandy przeciętni ludzie uwierzyli, że Japońce – jak o nich mówili – rzeczywiście mogą im zagrozić. W efekcie tego dzieciństwo tych ludzi upłynęło w zamknięciu, a ich rodzice potracili dorobek całego życia. Ojciec pana Tonaiego, który przed wojną był zamożnym człowiekiem, stracił wszystko i do śmierci zajmował się segregacją warzyw na targu. Amerykanie długo wypierali ze świadomości fakt, że skrzywdzili Japończyków, bo wiedzieli, że będzie się to wiązało ze zwrotem dóbr.

> Gdziekolwiek na świecie toczy się wojna, to dla dziecka najważniejsze jest, by być z rodzicami, bo to daje mu choć odrobinę poczucia bezpieczeństwa. Dla wielu moich bohaterów wspólne było to, że zostali oddzieleni od mamy i taty. To spowodowało, że gdy skończyła się wojna, już nigdy nie wrócili do takiego stanu relacji rodzinnych jak wcześniej.

Mimo tego Minoru Tonai pojechał do Korei walczyć na ochotnika za Amerykę. Jaka była jego motywacja?

Trudno było mi go zrozumieć. Pojęłam to, gdy dotarło do mnie, że ten naród od pokoleń był wierny swojej władzy. Dla Japończyków, którzy przenieśli się do Stanów, amerykański rząd stał się absolutnym autorytetem. Dlatego niezależnie od tego, co się stało, chcieli, by władza ich doceniała, szli na wojnę w Korei, żeby zasłużyć na miano amerykańskiego obywatela.

Drugą w zasadzie nieznaną historią, o której pisze Pani w *Wojence*, było wywiezienie z kraju podczas wojny domowej w Hiszpanii dzieci Basków. Trafiły one między innymi do Leningradu.

Tej historii też nie znałam. Wpadłam na nią, ponieważ bardzo chciałam napisać

o dzieciach z basenu Morza Śródziemnego. Poszukiwania zaczęłam od Hiszpanii. Nawiązałam kontakt z Iwoną Zielińską z Instytutu Polskiego w Madrycie, która mi opowiedziała o wywiezieniu podczas wojny domowej małych Basków między innymi do Leningradu. Pomogła mi też do nich dotrzeć. Opowiedzieli mi, jak przez 19 lat prano im mózgi, by ukształtować ich na idealnych Sowieto-Hiszpanów. Gdy tylko Stalin wygra wojnę, mieli wrócić do kraju i spełnić jego marzenie, by Hiszpania stała się najbardziej wysuniętą na zachód republiką Związku Radzieckiego. Gdyby Franco nie zwyciężył, to mogło się tak zdarzyć. Jednak historia potoczyła się inaczej. Ale

Syn nazisty też jest ofiarą wojny. Został przez nią poraniony, nawet jeśli w dzieciństwie nie doznał cierpień z powodu bombardowań czy prześladowań.

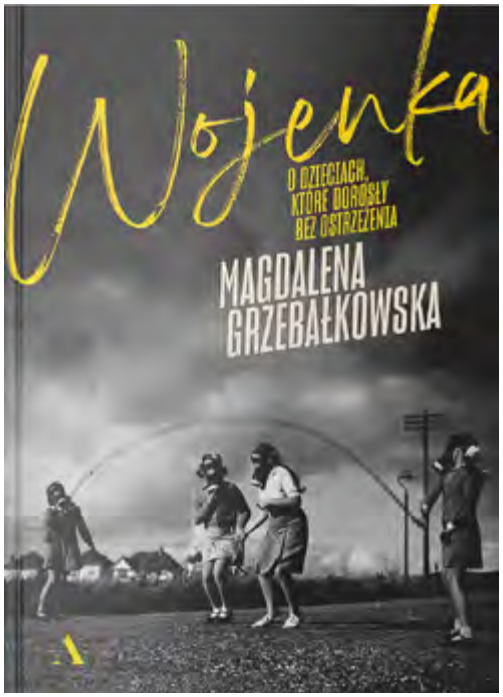

i tak Rosjanie w porozumieniu z partią komunistyczną Hiszpanii postanowili, że będą te dzieci wychowywać i nauczą miłości do Związku Radzieckiego. Jednak trzeba pamiętać, że Stalin miał ułatwione zadanie. Te dzieci nie wyjechały z raju, za którym mogłyby tęsknić. Hiszpania cywilizacyjnie stała niżej niż Związek Radziecki. Jeden z bohaterów mówił mi, że w Leningradzie po raz pierwszy w życiu umył zęby.

A jakie dzieci z Polski trafiły na karty Pani książki?

Wiedziałam, że w *Wojence* muszą się znaleźć dzieci, które przeżyły powstanie warszawskie i niekoniecznie brały w nim czynny udział. Z drugiej strony, miałam świadomość, że jest to temat tak przemaglowany, iż niczego nowego nie odkryję. I tak się pewnie stało, ale ważne było dla mnie, żeby w książce i tak się pojawiły. I to właśnie one mi powiedziały, że stały się dorosłe, gdy po raz pierwszy na własne oczy zobaczyły śmierć.

W książce sięga też Pani po historię swojej babci.

Przez nią chciałam pokazać losy zwykłej dziewczyny ze wsi, która w tamtym czasie pasała krowy. Nagle musiała opuścić znane sobie miejsce i pojechać na roboty do Niemiec. Ale w czasie rozmów z babcią okazało się, że to nie jest taka zwykła historia.

Dlaczego?

Żadna historia człowieka, który przeżył wojnę, nie jest zwykła. Wprawdzie z jej losami nie łączyły się jakieś fajerwerki, nie walczyła na froncie, nie była bohaterką. Za to była nastolatką, która znalazła się w obozie pracy. Zamiast cieszyć się życiem, chodzić na randki, ona nocami toczyła w fabryce śrubki, aż maszyna wciągnęła jej rękę. To nie było normalne dzieciństwo i młodość.

Czy dzieci, o których Pani pisze, potrafiły w dorosłym życiu otrząsnąć się z wojennej traumy?

Wydaje mi się, że im się to nie udało. Na przykład 11-letni wówczas Franek nie był w stanie zamieszkać z babcią, bo czuł się już dorosłym człowiekiem, który nie pozwalał się bliskim wychowywać. Myszka, czyli Janina Suchorzewska, dziś znakomita lekarka, a wówczas łączniczka, powiedziała mi, że wyszła z powstania warszawskiego z chronicznym pesymizmem. I on w niej pozostał. Alex Herschaft do dziś uważa, że ocalał z getta w jakimś celu. Ten cel znalazł w pracy na rzecz ocalenia zwierząt hodowlanych. Założył jedną z pierwszych organizacji na świecie walczących o ich prawa. Inni, tak jak moja babcia, poświęcili się życiu codziennemu, ale gdzieś tam w środku zawsze tkwiła w nich wojna, nigdy z niej nie wyszli. Mieli swoje rodziny, prace, a w nocy śniła się im okupacja. Babcia potwornie nie lubiła zachodów słońca. Mówiła, że na ich widok chce się jej płakać, choć nie wie, dlaczego. Przypuszczałyśmy, że podczas wojny zobaczyła jakąś straszną rzecz, która działa się o zachodzie słońca i on budzi w niej lęk, rozpacz. Tak więc każde z tych dzieci nosi w sobie do dziś jakieś traumy. Zależą one tylko od kręgów piekieł, do których schodziły, i od śladów, jakie one w nich zostawiły.

Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

Łukasz Stokłosa, *Drezno*, olej na płótnie, 60 x 70 cm, 2017

Łukasz Stokłosa ukończył krakowską ASP. Jego pierwszą indywidualną wystawą była *Zimowa opowieść* w galerii Zderzak w Krakowie, z którą wciąż współpracuje, podobnie jak z wrocławską Krupa Gallery. Jego prace pokazywano na wielu polskich i zagranicznych wystawach, a niektóre znalazły się w wydanym nakładem oficyny Thames&Hudson (London–New York) albumie autorstwa Kurta Beersa *100 Painters of Tomorrow*, prezentującym wybór najbardziej obiecujących współczesnych malarzy i malarek.

Mecenasem strony jest CHABASIEWICZ KOWALSKA

Między wampirami i dynastią Caringtonów

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec **Zdjęcie:** Łukasz Stokłosa

Obrazy Łukasza Stokłosy prowadzą nas przez popkulturowe światy, odkrywając sekretne przejścia i interpretacyjne ścieżki.

Idąc do pracowni Łukasza Stokłosy, zastanawiałam się, czy nie zabrać ze sobą osikowego kołka. Po wystawie zatytułowanej *Numer 392*, którą kilka lat temu oglądałam w galerii Zderzak, miałam prawo przygotować się na najgorsze. Pamiętałam przecież, jak dałam się wówczas uwieść portretowi Isabelle Adjani, śmiertelnie bladej niczym Lucy Harker z filmu *Nosferatu wampir* Wernera Herzoga. Podążałam za jej spojrzeniem, spacerując wśród obrazów przedstawiających tajemnicze wnętrza pałaców, z ich mroczną architekturą, pustymi ścianami, opuszczonymi ogrodami i oranżeriami. Nie mogłam oderwać wzroku od hipnotyzujących oczu Louisa de Pointe du Laca granego przez Brada Pitta w *Wywiadzie z wampirem*, który wyłaniał się z ciemności niczym przerażająca, spragniona krwi zjawa.

Na szczęście sam Łukasz nie jest tak demoniczny jak jego obrazy, choć nie kryje, że ma w sobie pewną dwoistość. Ale tej mroczniejszej stronie swojej natury daje wyraz przede wszystkim w twórczości.

– Zafascynował mnie motyw wampira, bo wampir żyje w dwóch światach, jednocześnie jest żywy i martwy – mówi malarz, który niczym wampir maluje w nocy, przy sztucznym świetle. W ten sposób jego obrazy zyskują dekadencki nastrój, niepokojące napięcia odbijające się w lustrach. Motyw lustra pojawia się zresztą w kilku najnowszych pracach, które schną na ścianach pracowni.

Utrzymane są one w jeszcze ciemniejszej tonacji niż reminiscencje z podróży Łukasza do Wersalu, pałaców w Wenecji, Sanssouci, Casercie czy zamków Ludwika Bawarskiego. Jaśniejsze nieco barwy znajdziemy za to w queerowej twórczości malarza. Na tych obrazach widzimy młodych, nagich mężczyzn, ich splątane ze sobą zmysłowo ciała. – Powstały one z inspiracji gejowskimi filmami pornograficznymi. Przenosząc je na płótna, szukam różnych kontekstów kultury klasycznej. Układ ciał na ekranie zmienia się w mojej wyobraźni na przykład w renesansowy obraz. W ten sposób zyskuje zupełnie inną funkcję, kolejne dno – tłumaczy malarz, a ja patrząc na te perwersyjne, choć tak naprawdę namalowane z wielką delikatnością sceny, nieomal potykam się o telewizor, który nieczęsto zdarza się spotkać w pracowniach artystów.

No, ale przecież nie powinnam się dziwić. Łukasz musi w czymś oglądać filmy, które stanowią dla niego popkulturowe źródło inspiracji. Właśnie ma za sobą wszystkie sezony *Dynastii*, którą obejrzał kolejny raz, wyławiając z serialu interesujące go motywy. – Jak już pewnie zauważyłaś, pociąga mnie estetyka kampu, wszelka sztuczność i przesada. A gdzie lepiej można ją znaleźć niż w *Dynastii*? Pamiętam, jak oglądałem ją w dzieciństwie razem z mamą i babcią. Nigdy nie zapomnę Crystal rzucającej na przyjęciu talerzami. Bohaterowie tego filmu wyznaczali aspiracje ówczesnych Polaków. Ludzie, którzy wreszcie mogli kupować nie to, co było, ale to, co chcieli, marzyli o takim pławieniu się w luksusie, o tych miękkich kanapach, fotelach, żyrandolach, wśród których żyła rodzina Carringtonów. Choć tak naprawdę to też były wampiryczne postaci, bo przecież egzystowały poza rzeczywistością, w wyabstrahowanym z realności w świecie – wyjaśnia swoją fascynację, dodając, że dla niego ważne też było to, iż po raz pierwszy zobaczył na ekranie pozytywną postać geja. Był nim Steven, syn głowy rodu.

Malarz sportretował go na jednym ze swoich obrazów, który pokazał na wystawie *Co z oczu, to z serca*. Teraz planuje kontynuację tej „dynastycznej” ekspozycji. Złożą się na nią wideoinstalacje oraz obrazy przedstawiające między innymi motyw luksusu. Łukasz pokazuje mi płótna, na których papierosy wystają ze złotych papierośnic, a narkotyki serwowane są na kryształowym lusterku, na którym leży elegancka, szklana lufka. No i jest jeszcze śliczne, różowe pudełko, w którym czai się czarny, jadowity wąż, o czym wiedzą tylko prawdziwi fani *Dynastii*. Kto będzie chciał zanurzyć się w tym świecie, musi wybrać się do Warszawy, gdzie niebawem przedsięwzięcie zostanie pokazane.

Za to w Krakowie najnowsze prace Łukasza będziemy mogli oglądać w galerii Zderzak najprawdopodobniej na początku przyszłego roku. Zrobią wrażenie na wszystkich, którzy lubią dekadenckie, melancholijne klimaty. Przypominam jednak, że na niektórych z nich przez mrok i mgłę przebijają się lustra. A wiadomo, że na lustra trzeba patrzeć ostrożnie. Może się zdarzyć, że sylwetka kogoś z oglądających nie odbije się w ich lustrze. Wielbiciele filmów o wampirach, doskonale wiedzą, co to znaczy.

Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

Mecenasem strony jest CHABASIEWICZ KOWALSKA

KWESTIO-
NARIUSZ
PROUSTA

PO KRAKOWSKU

Odpowiada Łukasz Stokłosa

Gdy wstajesz rano, a za oknem jest ponuro i szaro, co dodaje ci energii?
Wtedy zazwyczaj, jeśli tylko mogę sobie na to pozwolić, postanawiam, że jednak chcę spać dalej.

A gdy wstajesz i przez okno wpadają promienie słońca, jaka pierwsza myśl przychodzi ci do głowy?
Spacer.

Wolisz mrok nocy czy światło dzienne?
I jedno, i drugie. Chyba moimi ulubionymi momentami w roku, jeśli chodzi o noc i dzień, jest czas równonocy.

Kiedy chcesz uciec przed całym światem, to gdzie się chowasz?
W domu, a tak się składa, że to również moja pracownia. Jeśli chcę uciec bardzo, to wtedy zdecydowanie wybieram łóżko.

Gdy masz świetny nastrój, jakiej muzyki słuchasz?
Nie wiem, czy łączę muzykę z dobrym nastrojem.

A kiedy humor ci nie dopisuje, jaka muzyka może ci go poprawić?
To akurat wiem, *Queen of the night*.

Z jaką książką chciałbyś się znaleźć na bezludnej wyspie?
Z tą, którą aktualnie czytam, a właściwie z dwiema, czyli *Wiekiem niewinności* Edith Wharton i *Portretem damy* Henry'ego Jamesa.

Gdybyś dysponował dużą sumą pieniędzy, na co byś je wydał?
Na dom z ogrodem. Koniecznie starym ogrodem i starymi drzewami.

Czy masz ulubiony kolor?
Raczej nie.

Jakiego koloru nie znosisz?
Również nie mam takiego. Kiedyś sądziłem, że drażnią mnie niektóre zestawienia, ale chyba to się już zmieniło.

Gdybyś mógł zmienić się w zwierzę, to kim byś był?
Nie chciałbym się zmieniać. Dobrze być człowiekiem.

Co uważasz za swoje największe osiągnięcie?
Raczej nie przywiązuję się do sukcesów. A czasem tym największym bywa jakiś niespodziewany drobiazg, który na mnie spada w ciągu dnia.

A co uważasz za swoją największą porażkę?
Porażkami raczej się nie przejmuję.

Gdyby poproszono cię o wskazanie trzech miejsc w Krakowie, które uważasz za swoje, to co to by było?
Byłaby to ulica Szlak między Warszawską a Długą. Na drugim miejscu znalazłyby się Planty, a na trzecim Stary Kleparz.

Gdybyś mógł wybrać, jakieś miejsce do życia inne niż Kraków, to gdzie byś wyjechał?
Możliwe, że Wenecja byłaby moim pierwszym przystankiem na dłużej.

Kraków ma sens, bo...
Bo się tu zadomowiłem.

Świat ma sens, bo...
Bo daje jeszcze radę, choć resztkami sił. Chyba warto więc się starać, żeby miał tego sensu choć trochę więcej.

Mecenasem strony jest CHABASIEWICZ KOWALSKA

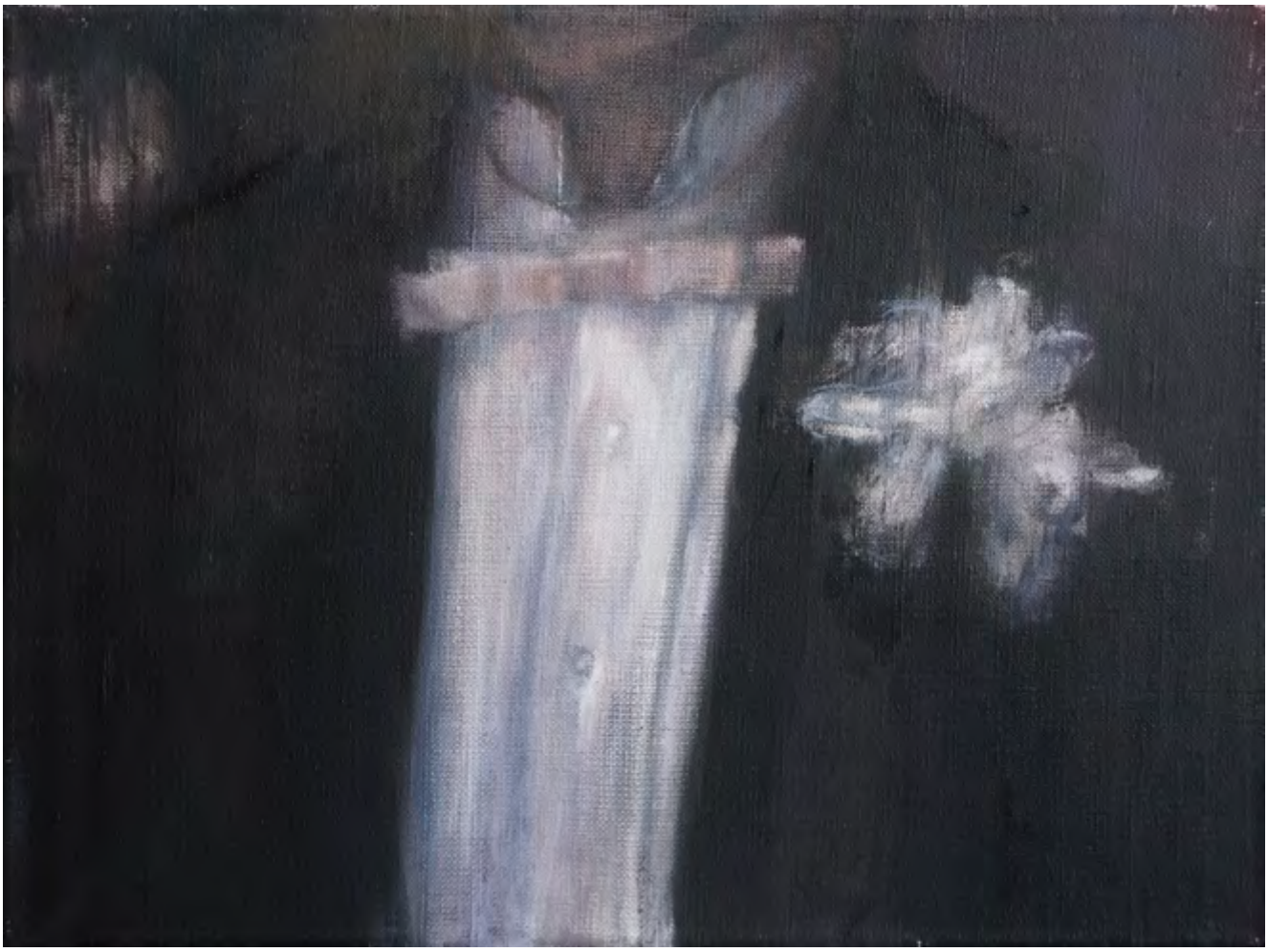

Łukasz Stokłosa, *Wiek niewinności*, olej na płótnie, 30 x 40 cm, 2021

Wirtuoz spacerowników

Tekst: Witold Bereś **Zdjęcie:** archiwum redakcyjne

Krzysztof Jakubowski opisuje Kraków, który jest niezwykły przez to, że nie jest podzielony na sympatie. Tu każde miejsce może być śliczne. Tu każde miejsce jest urocze.

Najpierw ważny fragment:

„Hotel Forum. Podjęta w 1972 roku decyzja o jego budowie, na miejscu stadionu RKS Garbarnia, jeszcze długo wzbudzała spore emocje. Dowcipkowano, że nad trwającą, z przerwami, niemal piętnaście lat budową ciąży klątwa kibiców ludwinowskiego klubu. Pod budowę wyburzono wówczas również dwie ulice: Retmańską i Wilga. Łącznie kilkanaście niewielkich domów. Ukończony w 1988 roku hotel eksploatowany był niespełna piętnaście lat. Tyle, ile trwała jego budowa. To na pewno swoisty rekord świata w tej, nienazwanej jeszcze, dyscyplinie. Kiedy na przełomie 2005 i 2006 roku obecny właściciel postanowił rozebrać hotel, przedstawiając w zamian wizję sztampowego blokowiska, odezwały się zdecydowane głosy sprzeciwu broniące jego architektury i samego, tak niepowtarzalnego krajobrazowo miejsca”.

*

Teksty Krzysztofa Jakubowskiego, który zapewne, w meandrach swoich wielkich historii na drugie nosi imię utajnione – Sarkazm, więc teksty Krzysztofa Sarkazma Jakubowskiego czytam zawsze z zachwytem. Te teksty uczą, te teksty są dowcipne i te teksty są zawsze merytoryczne. Podobnie jest z jego najnowszą książką.

Krzysztof Jakubowski, nasz redakcyjny – powiedzmy szczerze – przyjaciel, nie tylko świetnie pisze, ale ma też ciekawą zajawkę. Otóż pasjami lubi przeprowadzać po Krakowie ludzi chcących poznać ciekawe miejsca w mieście oraz związanych z nimi mieszkańców i ich historie. Na dodatek Jakubowski opowiada o tym w sposób naprawdę niebanalny. Idea tych marszów polega na tym, że prowadzą nie tylko przez punkty znane i niejako obowiązkowe, ale i takie, które MOGŁYBY BYĆ znane, gdyby nie... – i tu biegnie kolejna opowieść.

Osobliwe jest to, że kiedy w miesiącach letnich te wycieczki stają za tymże Jakubowskim, wygląda on wówczas niemalże jak prowadzący świeckie pielgrzymki religijne. Jest tam bowiem i wielki głośnik, wystający zwykle z jakiegoś plecaka. Są też wpatrzone w przewodnika i zasłuchane w niego grupy starych, młodych i średnich nie tylko przybyszów, ale często i krakusów. Znaczenie ma i to, że prowadzi on owe grupy w niejakim natchnieniu, co powoduje, że te wielokilometrowe marsze stają się czymś lekkim, łatwym i przyjemnym.

Spacerownik po Dębnikach jest pisemną wersją jednej z takich pielgrzymek.

*

Mnie urzeka szczególnie stosunek Krzysztofa Jakubowskiego do piłki nożnej. Ja krakusem jestem z nadania, więc popełniam błędów lokalnych co niemiara. A Jakubowski, jako krakus z korzeniami sięgającymi prawdopodobnie epoki jagiellońskiej albo i piastowskiej, wie dobrze, że o wyborach piłkarskich się nie mówi. Dlatego nie wiem, szczerze mówiąc, czy on jest kibicem Białej Gwiazdy, czy też Pasów, czy też może Garbarzy, a może po prostu Tramwajorza?

Garbarze to rzecz istotna, bo tak zwano zespół robotniczego klubu sportowego Garbarnia, którego kibicem był dawno, dawno temu mój dziadek. W latach 30. XX wieku Garbarnia została nawet raz – słuchajcie narody – mistrzem Polski w kopanej. Była zawsze klubem biednym, ale miała, poza talentami piłkarzy rozmaitych, otóż miała właśnie ów wspaniały stadion, o którym mowa w przytoczonym na wstępie fragmencie *Spacerownika*. Stadion był ślicznie położony – by się przekonać jak, wystarczy stanąć na miejscu dzisiejszego „wraku” hotelu Forum, tej zaskakującej, pięknej ruiny PRL-owskiego monumentalizmu, i zobaczyć widok stamtąd się rozpościerający. Dziadek zawsze mówił, że to jest najpiękniejszy stadion, ale jak sam zacząłem się interesować piłką, nie tylko że Garbarnia grała w II lidze, ale przede wszystkim stadion zaczęto rozbierać. Przenoszono Garbarnię w inne miejsce. I dziadek, czy to rozżalony czy też chciał mnie ustrzec przed przykrymi widokami, zabrał mnie na... ulicę Reymonta, czyli na Wisłę.

Ale dość o mnie.

*

Krzysztof Jakubowski opisuje Kraków, który jest niezwykły przez to, że nie jest podzielony na sympatie. Tu każde miejsce może być śliczne. Tu każde miejsce jest urocze. Bo, powiedzmy szczerze, akurat dzielnica Dębniki, dziś kwitnąca, rozrastająca się i wspaniała, jest nie tylko mało znana turystom, ale również i krakusom. Kojarzy tylko z kilkoma punktami. Właśnie ze stadionem Garbarni, czyli dzisiejszym miejscem hotelu Forum, oczywiście z centrum Manggha – to historia zupełnie osobna, i z Rynkiem Dębnickim. A nie łączy się to nam w jakąś specjalną całość.

Symboliczne być może jest to, że Dębniki do potocznej świadomości trafiały zapewne najczęściej za pośrednictwem słynnej frazy pani Anieli Dulskiej z głośnej (nawet ostatnio...) sztuki Gabrieli Zapolskiej. Otóż komentując nadchodzącą katastrofę w swej rodzinie, pani Dulska powiedziała: „Chyba przyjdzie nam się wynieść na Dębniki”. Kiedy zaś w roku 1906 *Moralność pani Dulskiej* wystawiano po raz pierwszy w Teatrze Miejskim, sam Ludwik Solski dopowiedział: no tak, mieszkać na Dębnikach to najgorsze, co może spotkać porządną rodzinę.

Bo i rzeczywiście – podówczas była to dzielnica nieszczególnie ceniona. Ba, miano takie zachowała aż do końca lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia. Dopiero – co wymagało tyleż wizji, co odwagi – Krystyna Zachwatowicz oraz Andrzeja Wajdy postanowili ożywić tę część Krakowa i zbudować po tej stronie Wisły Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej „Manggha”. Jako wzór wielkiej architektury i przykład atrakcyjnego ośrodka kultury zaczęło ono niejako ściągać na Dębniki i inne inicjatywy – choćby Centrum Kongresowe ICE.

Oczywiście byli krakusi, którzy przy początkach obu instytucji sarkali. Manggha była zła, bo zbyt mało polska, zbyt obca, a ICE zły, bo zbyt nowoczesny. Kiedy jednak widać, jak zacnie Wawel odbija się w przeszklonych ścianach ICE, to chyba już każdy przyzna, że to był pomysł wspaniały. Nie mówiąc o Mandze, która jest kulturowym zwornikiem starego i nowego Krakowa – i całego świata.

*

Jakubowski przypomina, że mówiąc o Dębnikach, powinniśmy pamiętać także o sąsiadujących z nimi Zakrzówku i Ludwinowie. Te trzy wioski przyłączono do Krakowa w wyniku żmudnych negocjacji w latach 1909–1911. Wtedy objęcie ich granicami miasta wcale nie zwiastowało zagłady ich sielskiej tożsamości. Zmieniły ją dopiero ostatnie lata. Spacerując dzisiejszymi Dębnikami, Jakubowski z charakterystyczną dla swojego języka zjadliwością zauważa buractwo banalnej architektury nowych apartamentowców. Uderza ono choćby wtedy, gdy powstały one na miejscu ciekawych jako bryły architektoniczne Zakładów Garbarskich. Szczęśliwie są też miejsca, które przetrwały: wspaniały kościół świętego Bartłomieja, dworek Kurkiewiczów przy ulicy Szwedzkiej czy dawny Urząd Akcyzowy przy Twardowskiego. Mnóstwo drobnej architektury, czasami drewnianej, która zachowała się w rozmaitych zakamarkach. Ale tym, co jest w tym spacerze po Dębnikach najważniejsze, są ludzie. Bo co z tego, że mijamy wspaniałe zabytki czy boczymy się na nieudane inwestycje współczesne, skoro zapominany o ludziach.

Jakubowski – to jest jego przewaga nad wieloma czcicielami Krakowa – pisze o ludziach i to o takich, których moglibyśmy nawet nie podejrzewać, że w sercach krakowian tkwią. Ot choćby: to na Ludwinowie urodził się i w klubie Garbarnia zaczął swoją karierę jeden z największych piłkarzy polskich Robert Gadocha, najbardziej znany z występów w Legii Warszawa i wkładu w zdobycie trzeciego miejsca przez polską reprezentację na mistrzostwach świata w 1974 roku.

*

Spacerownik to wzór portretowania miasta. Krzysztofie Sarkazmie Jakubowski: gratuluję ci tej książki. Gratuluje ci cała redakcja. Może wymyślimy kiedyś wspólną trasę – miesięcznika „Kraków”, którą ty poprowadzisz i na której będziemy zarabiać miliony złotych monet dzięki turystom i krakusom chcącym się dowiedzieć, jak to drzewiej w Polsce, a w Krakowie zwłaszcza, bywało. Tymczasem zapraszamy na Dębniki opisane piórem Krzysztofa Jakubowskiego. A inne teksty tegoż autora czytujcie, Szanowni Państwo, co miesiąc na naszych łamach.

Krzysztof Jakubowski, *Spacerownik po dzielnicy VIII Dębniki. Od Ludwinowa po Sidzinę*, Centrum Młodzieży im. dr. Henryka Jordana/Dzielnica VIII Dębniki, Kraków 2021.

Spacerem po Dębnikach

Tekst: Krzysztof Jakubowski

Idea spacerowników zrodziła się w wydawnictwie Agora w 2007 roku. Pomysł był prekursorski. Chodziło o to, aby pokazać nie to, co zwykle napotkamy w przewodnikach, lecz by stworzyć opowieść o miejscach mniej znanych. Przypomnieć przy tej okazji związane z daną okolicą postacie oraz ciekawostki historyczne, opisać architekturę i walory przyrodnicze. Jako pierwszy ukazał się *Spacerownik warszawski*, a już w następnym roku udało się wydać *Spacerownik krakowski*. Byłem jego współautorem i kiedy po latach Rada Dzielnicy VIII Dębniki postanowiła wydać podobną publikację, zwrócono się do mnie.

Dzisiejsza, utworzona w 1991 roku dzielnica samorządowa Dębniki sięga od doliny Wisły poprzez rozrastające się osiedle Ruczaj aż po Skawinę i ma niewiele wspólnego z Dębnikami, które pamiętają jeszcze nasi rodzice i dziadkowie. Niewiele pozostało też z dawnego Zakrzówka i Ludwinowa. Kres panującej tam sielance położyła decyzja o budowie osiedla Podwawelskiego i hotelu Forum. Później starą strukturę urbanistyczną przecięły skutecznie nowoczesne wielopasmowe rozwiązania komunikacyjne.

Przed chaotyczną ofensywą budowlaną przełomu XX/XXI wieku obroniły się przyłączone do miasta w 1941 roku Pychowice, Kostrze i Bodzów. Nie można powiedzieć tego o rozległych Skotnikach, gdzie ruch budowlany trwa w najlepsze. Podobnie jest na niewielkim stosunkowo terenie Kobierzyna, gdzie dominuje budownictwo przeznaczone głównie pod usługi i handel. Położony na krańcu miasta Tyniec jest miejscem atrakcyjnym dla budownictwa willowego, choćby ze względu na malownicze położenie i walory widokowe. Na swoją szansę czeka Sidzina położona na rubieżach dzisiejszej Dzielnicy VIII Dębniki i całej aglomeracji.

Spacerownik po Dzielnicy VIII Dębniki ma ukazać walory przyrodniczo-krajobrazowe oraz to, co ocalało z dawnych lat. Służy temu zaproponowanych w publikacji XI tras spacerowych. Jedną z nich tu prezentujemy.

Trasa IV. Dębniki–Zakrzówek. Łosiówka – Osiedle Robotnicze – Skały Twardowskiego

Jesteśmy nad Wisłą, pod dawną posiadłością hr. Łosiów, stąd utrwalona lokalnie nazwa Łosiówka (ul. Tyniecka 39).

Posiadłość Łosiówka

Niegdyś rozciągał się w tej okolicy folwark królewski, a najstarsze wzmianki dotyczące posiadłości sięgają XIV/XV wieku. W 1538 roku zbudowano tu dla królewicza Zygmunta Augusta dworek wraz z psiarnią, do wypadów na polowania. W 1777 roku powstały zaczątki obecnej budowli, pełniącej rolę pałacyku myśliwskiego. Pierwotne założenie niewielkiej kaplicy wewnątrz budowli zachowało się do dzisiaj.

W latach 40. XIX wieku posiadłość odkupił bankier i społecznik Wincenty Antoni Kirchmayer z przeznaczeniem na wiano dla swej starszej córki. Rzeczywiście, Euzebia Kirchmayerówna wkrótce wyszła za hr. Adama Łosia (1829–1892) i przejęła posiadłość, nazwaną od ich nazwiska Łosiówką.

Hrabia Wincenty Łoś (1857–1918), domena publiczna

Po śmierci Adama Łosia willa pozostawała w ręku jego starszego syna Wincentego (1857–1918), powieściopisarza i kolekcjonera dzieł sztuki. Co ciekawe, jego literackie pasje podzielała młodsza siostra Maria, wydana za barona Stanisława Hagen-Schwerin. Już po śmierci matki (1909 rok) Wincenty Łoś podjął decyzję o przeistoczeniu pałacyku na modłę neogotyckiego zameczku. Autorem projektu przebudowy, ukończonej w 1911 roku, był Karol Szpondrowski. Hrabia nie cieszył się długo odnowioną posiadłością. Przyszła wojna i zadłużony majątek znalazł się w posiadaniu hr. Zdzisława Tarnowskiego, spowinowaconego z rodziną Łosiów.

Wiosną 1918 roku posiadłość przy ul. Tynieckiej 39 zakupili salezjanie i już 1 lipca 1918 roku erygowano placówkę salezjańską pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny Niepokalanie Poczętej. Salezjanie otworzyli w niej najpierw Studentat Filozoficzny, w formule Gimnazjum Męskiego im. św. Franciszka Salezego. Później (1931 r.) w jego miejsce powstał Studentat Teologiczny, który jako Wyższe Seminarium Duchowne Towarzystwa Salezjańskiego funkcjonuje do dzisiaj.

W ramach rozbudowy dawnego zameczku hr. Łosiów salezjanie dobudowali do istniejącego budynku

w latach 1919–1921 skrzydło wschodnie. Znalazła się w nim istniejąca do dziś nowa kaplica seminaryjna, do której przedsionkiem stała się mała kaplica pałacowa – jedyny dziś relikt dawnego pałacyku z XVIII wieku. Kolejna rozbudowa i nadbudowa przeprowadzona w 1936 roku (proj. Stanisław Filipkiewicz) sprawiła, że budowla zatraciła cechy stylowe.

W nieodległym sąsiedztwie Łosiówki, około 150 m w kierunku centrum Dębnik (ul. Tyniecka 32), stoi willa archeologa Tadeusza Matejki – syna Jana (ok. 1900 rok). Po jego przedwczesnej śmierci odkupiona i nadbudowana przez kupca Eugeniusza Smidowicza (proj. Adam Czunko, 1912 rok). U progu XX wieku mieszkał tam między innymi znany malarz-akwarelista Stanisław Fabijański.

Przechodzimy w kierunku mostu Zwierzynieckiego, aby obejrzeć kościół.

Rozpoczęcie budowy osiedla Robotniczego przy sąsiedniej ul. Czarodziejskiej (dziś Praska) i napływający nowi mieszkańcy sprawiły, że seminaryjna kaplica stała się zbyt ciasna. W zaistniałej sytuacji, w 1936 roku, po zachodniej stronie seminarium salezjanie rozpoczęli budowę kościoła pod wezwaniem Matki Bożej Wspomożenia Wiernych według projektu Stanisława Filipkiewicza. Projekt zakładał budowę kościoła na piętrze i sali teatralnej na parterze. Głównie za sprawą darczyńców (między innymi Polonii amerykańskiej), udało się wiosną 1938 roku przykryć kościół dachem, jednak do wykończenia – z braku funduszy – już nie doszło. Wybuch II wojny światowej sprawił, że budynek pozostał w stanie surowym. W czasie okupacji służył jako magazyn żywności dla zbiedniałych, okolicznych mieszkańców (na piętrze) oraz jako stołówka dla nich i sala rekreacyjna dla kleryków (na parterze).

Prace wykończeniowe we wnętrzu kościoła przeprowadzono w latach 1946–1947. Dzięki temu było możliwe jego poświęcenie – 4 maja 1947 roku – przez kard. Adama Sapiehę. W uroczystościach uczestniczył też ówczesny prymas Polski kard. August Hlond.

Kościół początkowo pełnił funkcję tak zwanej kaplicy publicznej (dla kleryków i wiernych) i był zwany „kaplicą zewnętrzną", dla odróżnienia od „kaplicy wewnętrznej", czyli seminaryjnej. Dopiero w lutym 1966 roku zyskał status kościoła rektoralnego. Ciekawa, typowa dla modernizmu lat 30. XX wieku architektura kościoła przetrwała bez większych zmian.

Obok mostu Zwierzynieckiego, oddanego do użytku jesienią 2001 roku, przechodzimy w kierunku ruchliwej ul. gen Bohdana Zielińskiego.

Po lewej mijamy tereny Domu Pomocy Społecznej im. Jana Pawła II, oddanego do użytku w 1966 roku jako Dom Rencisty nr 1 (ul. Praska 25). W dość luksusowych warunkach (pokoje jedno i dwuosobowe) zamieszkało tu niemal 100 seniorów.

Przez przejścia dla pieszych dostajemy się na ul. Praską, zajętą w tej części przez osiedle Robotnicze.

Osiedle Robotnicze

Po kilkuletnim kryzysie rok 1934 przyniósł względną stabilizację. Gospodarcze ożywienie niosły też prekursorskie inicjatywy niesienia pomocy najuboższym. Jednym z takich przedsięwzięć było Towarzystwo Osiedli Robotniczych – instytucja stawiająca sobie szczytny cel budowy tanich mieszkań. Do końca lat 30. Towarzystwo to patronowało budowie około 9 tys. mieszkań na terenie całego kraju. Realizowano przede wszystkim zespoły skromnych bloków z mieszkaniami nieprzekraczającymi 36 m^2 powierzchni, a w wypadku domków jednorodzinnych – 42 m^2. Teren przy ówczesnej ul. Czarodziejskiej (dziś Praska) podarowała gmina.

Do prac przystąpiono 18 kwietnia 1935 roku, a pięć pierwszych domów poświęcono już 23 sierpnia (!). To imponujące tempo zostało utrzymane, bowiem w listopadzie tego roku przekazano przyszłym użytkownikom klucze do pierwszych 26 mieszkań. Mieszkania o powierzchni 30 i 36 m, wyposażone w standardowe meble, składały się z jednego (rzadziej dwóch) pokoi, kuchni z niszą, przedpokoju i łazienki. Część lokali przyznano bezpłatnie robotnikom zasłużonym w walce o odzyskanie niepodległości, którzy przekroczyli 50. rok życia i zarabiali do 80 zł miesięcznie. Ustalony czynsz – 20 zł miesięcznie – stanowił mniej niż połowę średniej stawki pobieranej wówczas w Krakowie.

Autorem projektu osiedla był Stefan Piwowarczyk, a nad realizacją czuwali Fryderyk Tadanier i Michał Zakrzewski. Plany zakładały budowę czternastu jednopiętrowych domów, lecz z braku funduszy prace przerwano w 1938 roku. Pomimo to udało się ukończyć całą pierzeję dziewięciu domów po północnej stronie ul. Praskiej (od nr 51 do 67), natomiast po południowej stronie oddano do użytku tylko dwa większe (nr 54 i 56). Dla każdego z mieszkań wygospodarowano pod oknami miejsce na ogródek.

Osiedle to nie było wcale pierwszym w Krakowie skupiskiem tanich mieszkań. Idee takie realizował już powstały w latach 1900–1908 zespół parterowych domów dla najuboższych na tak zwanej Modrzejówce (dziś okolice ulic Sienkiewicza i Gzymsików). Nie było też – jak się często uważa – pierwszym krakowskim osiedlem złożonym z bloków, bo starsze o kilka lat jest osiedle pracowników ZUS przy ul. Fałata. Osiedle Robotnicze stało się jednak pierwszą zmaterializowaną wizją taniego budownictwa mieszkaniowego opartego na zasadach spółdzielczych. Dawało swym niezamożnym mieszkańcom bezprecedensową i – jak się okazało – niepowtarzalną nadzieję uzyskania lokali na własność już po pięciu latach pod warunkiem regularnego opłacania czynszu.

Pomyślano również o rekreacji – między posiadłością salezjanów a wałem wiślanym zbudowane zostało boisko Klubu Sportowego Tęcza (później PKS Dębnicki, dziś KS Tramwaj) oraz nieistniejące dziś korty tenisowe.

Z marzeniami o własności mieszkańcy osiedla pożegnali się w 1949 roku, kiedy to bloki objęła ustawa o szczególnym trybie najmu – zwanym kwaterunkiem. Osiedle utraciło niepowtarzalny kameralny charakter w latach 1953–1954, kiedy podjęto decyzję o nadbudowie wszystkich bloków o jedno piętro – głównie dla wojska i milicji, zgodnie z wymogami ówczesnej epoki... Równocześnie uzupełniono zabudowę o brakujące bloki po lewej stronie ul. Praskiej (nr 58 i 60), a ostatni (nr 62) wzniesiono już w latach 60. – podobnie jak zamykający urbanistyczną wizję osiedla budynek Szkoły Podstawowej nr 42 (dziś Specjalny Ośrodek Szkolno-Wychowawczy).

Zameczek „Łoś” przy ul. Tynieckiej 39, widok od strony Wisły, na akwareli (ok. 1912), strona internetowa „Salezjanie Kraków”

Obecny widok gmachu seminarium po dwukrotnej przebudowie i rozbudowie dawnego zameczku, fot. 2020, K. Jakubowski

Willa Tadeusza Matejki, później Eugeniusza Smidowicza przy ul. Tynieckiej 32, fot. 2020, K. Jakubowski

Tak prezentuje się dziś malowniczy, słynny w całym kraju, choć bardzo niebezpieczny zalew zwany Zakrzówek, fot. 2018, K. Jakubowski

Dom Społeczny przy ul. Praskiej 52. Dziś m.in. siedziba Rady Dzielnicy VIII Dębniki, fot. 2010, K. Jakubowski

Przystajemy pod efektownym, choć wymagającym remontu, gmachem mieszczącym niegdyś kino Tęcza (ul. Praska 52).

To tak zwany Dom Społeczny – ozdoba architektonicznej wizji osiedla – ukończony według projektu Fryderyka Tadaniera w 1937 roku. Skomponowany na zasadzie kilku przenikających się brył był modelowym przykładem modnego w architekturze tamtych lat funkcjonalizmu. Ponieważ osiedle miało być wzorcowe i samowystarczalne, Dom Społeczny mieścił salę widowiskową, bibliotekę ze świetlicą i przedszkole (później również szkołę podstawową) oraz dwa sklepy Spółdzielni Społem.

Słów kilka poświęcić warto sali widowiskowej (w latach 1957–2005 kino Tęcza), która szybko stała się sceną nietuzinkowych przedsięwzięć teatralnych. Już w 1936 roku dawał tu przedstawienia amatorski zespół aktorski skompletowany z mieszkańców osiedla, a opiekę artystyczną sprawował Władysław Woźnik, późniejszy dyrektor Teatru im. J. Słowackiego. Organizowano również wieczory dla młodzieży, a Maria Billiżanka prowadziła teatr dla dzieci. Kierownikiem i dobrym duchem całego zespołu był Zygmunt Siwiec reżyserujący wraz z Bronisławem Drzewieckim większość, stojących na niezłym poziomie artystycznym, przedstawień.

Za ostatnim blokiem osiedla w pasie drogowym przy ul. Praskiej wmurowana jest w otoczeniu zieleni marmurowa płyta z nazwiskami ofiar egzekucji dokonanej przez hitlerowców w 1944 roku.

Ulicą Pietrusińskiego idziemy w kierunku Skał Twardowskiego.

Po prawej mijamy dwa nowoczesne budynki apartamentowe, wzniesione już w bieżącym stuleciu. Po lewej rozciąga się osiedle domów jednorodzinnych zbudowane na przełomie lat 80. i 90. ubiegłego wieku.

Przedłużeniem ul. Pietrusińskiego jest al. Elvisa Presleya. Jej oryginalnym elementem jest obelisk z wizerunkiem wielkiego prekursora rock and rolla. Obelisk ten, ustawiony na tle malowniczych skałek, to dar kopalni w Czatkowicach. Ostateczny wyraz nadał mu krakowski artysta plastyk Jerzy Brataniec. Odsłonięto go w 2005 roku przy okazji Dni Muzyki w Krakowie. Był to efekt długoletnich starań krakowskiego klubu miłośników Presleya, a miejsce wybrano nieprzypadkowo. Niedaleko Skałek Twardowskiego już w latach 70. zbierali się fani Elvisa. Kraków jest – po Memphis – drugim miastem na świecie, które ma aleję Presleya.

Alejka w prawo, obok ogródków działkowych, dochodzi do dawnego kasyna wojskowego.

Kasyno zbudowane zostało w latach 1953–1954 na architektoniczną modłę klasycystycznego dworku. Niestety, obiekt ten – sąsiadujący z parkiem i stawem – jest dziś niedostępny. Od 2011 roku mieści się tam Klub Wojsk Specjalnych stacjonujących nieopodal, na terenie dawnej jednostki wojskowej w Pychowicach.

Z konieczności wybieramy alejkę biegnącą na wprost, na Skały Twardowskiego.

Skały Twardowskiego

Wkrótce po przyłączeniu Zakrzówka do Krakowa, w 1912 roku, władze miasta postanowiły ograniczyć działalność kamieniołomu na terenie jurajskich skał. Pozyskiwanie wapiennego kamienia, zwykle metodą robót strzałowych, było poważną ingerencją i zarazem zagrożeniem dla struktury malowniczych skał. Ich nazwa pochodzi od legendy, według której szlachcic Jan Twardowski prowadzić miał tam szkołę czarnoksiężników.

Decyzja o założeniu na tym terenie Parku Ludowego zapadła dopiero w 1927 roku. Północno-zachodnią część uroczyska, na obszarze około 15 ha, obsadzono wówczas drzewami przystosowanymi do płytkich wapiennych gleb, między innymi sosną czarną, modrzewiem czy brzozą. W latach 1949–1954 uzupełniono drzewostan o olchę czarną, sosnę wejmutkę i jesion wyniosły oraz krzewy. Urządzono też 750 metrów drogi głównej i liczne chodniki spacerowe.

Na północnym cyplu pozostawiono szaniec polowy FS 29 Zakrzówek, z 1854 roku, a w sąsiedztwie spory, nieistniejący dziś staw. Siedmioboczny szaniec otoczony kutą w skale suchą fosą, ma zachowane schrony, osłonięte blachą falistą. Inną pamiątką po Twierdzy Kraków są wykute w skale (od strony północno-wschodniej) kawerny służące za składy amunicji. Kawerny – uzdatnione i wzmocnione przez austriackie wojsko dzięki użyciu cegły i betonu – służyły jeszcze po ostatniej wojnie. Przechowywano tam materiały wybuchowe na potrzeby kamieniołomu.

W 1989 roku zakłady Solvay (działały od 1906 roku) postawiono w stan likwidacji i zaprzestano prac w kamieniołomie. Kiedy w 1991 roku wyłączono pompy wyrobisko zaczęło wypełniać się wodą. Dziś akwen składa się z dwóch zbiorników połączonych przesmykiem, a jego głębokość sięga 32 m. Po raz kolejny park – tym razem już o powierzchni 34 ha – rekultywowano 1991 roku.

Skały Twardowskiego są dziś popularnym terenem kreacyjnym i unikatową ostoją przyrody w mieście. Ze względu na akcję prowadzoną przez ekologów sławę zyskała zwłaszcza żyjąca tam populacja motyli z rodziny modraszkowatych. Przy stawkach od strony ul. Wyłom spotkać można żabę trawną, ropuchę zieloną i ropuchę szarą, które każdej wiosny składają tam skrzek. Na skałach żyją liczne zaskrońce, swoje siedliska ma tam także rzadko spotykany na terenie Polski gniewosz plamisty. Liczne są tam traszki zwyczajne i grzebieniaste, występujące pospolicie jeszcze w latach 60. XX wieku w licznych stawach na Zakrzówku, po których dziś nie ma już śladu...

Począwszy od 2016 roku, kiedy to miasto wykupiło 26 ha terenu wokół Skał Twardowskiego, trwają (z różnym nasileniem), prace przy urządzaniu parku. Ponieważ miasto dysponuje tam łącznie około 60 ha gruntu, będzie to jeden z największych parków w Polsce.

Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

Mistrz wodewilu, piewca przedmieść

Tekst: Ewa Danowska **Zdjęcie:** Wikimedia Commons

Był autorem popularnych sztuk, w których sentymentalizm splata się z rubasznym humorem, folklorem podmiejskim i nutą obyczajowej satyry. Zasłynął także jako niezwykle płodny dziennikarz, autor publikacji zarówno poważnych, jak i żartobliwych.

Trudno o bardziej krakowskiego krakowianina niż Konstanty Krumłowski. I to pomimo że nie urodził się w tym mieście, ale w Kołomyi. Przyszedł bowiem na świat, kiedy jego rodzice – Jan, nadradca ministerstwa skarbu w Wiedniu, i Kazimiera z Gruszeckich, autorka wielokrotnie wznawianych książek kucharskich oraz tłumaczka baśni Jana Chrystiana Andersena, gościli w majątku ojca seniora rodu Gruszeckich, Benedykta. Był 18 lutego 1872 roku.

Dodać można, że Konstanty miał słynnego pradziadka, Józefa Krumłowskiego, aptekarza z zawodu, który był jednym z twórców polskiej nomenklatury chemicznej, pozostał jednak w cieniu słynnych prac Jędrzeja Śniadeckiego.

Jak długo na Wawelu
Zygmunta bije dzwon;
Tak długo w sercach naszych
Rozbrzmiewa polski ton,
Stać będzie kraj nasz cały,
Stać będzie Piastów gród;
Zwycięży Orzeł Biały,
Zwycięży polski lud!

K. Krumłowski,
Jak długo w sercach naszych

To wnukowi udało się wybić, acz nie w dziedzinie nauki, lecz wodewilu.

Konstanty Krumłowski od najmłodszych lat upodobał sobie Kraków, chociaż wyjeżdżał na krócej lub dłużej do Wiednia choćby czy Warszawy. Kształcił się w Gimnazjum im. Jana Sobieskiego, a następnie, w latach 1890–1892, studiował prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim. Rzucił studia mimo protestów ojca, bo bardziej niż prawo pociągały go młodopolskie hasła, literatura i styl życia. Jego związki z cyganerią były zresztą powodem zgryzot solidnej, urzędniczej rodziny.

Wstąpił na teatralną scenę, występując krótko w 1893 roku w trupie Lucjana Kwiecińskiego w Stanisławowie i innych prowincjonalnych miastach, a potem u Władysława Kicińskiego w Parku Krakowskim. W 1899 roku dał się zauważyć w zespole teatralnym Władysława Powiadowskiego. Występował pod nazwiskiem Manowski. Poznał trudy życia wędrownego aktora i jak syn marnotrawny wrócił po dwóch latach do trybu życia bardziej przez rodzinę akceptowanego.

Opuściwszy scenę, pracował przez trzy lata jako urzędnik ministerstwa sprawiedliwości w Wiedniu. Decyzję ojca o podjęciu posady w tym mieście zaakceptował, wszak Wiedeń był stolicą europejskiej operetki. Konstanty spędzał czas w teatrzykach ogródkowych i w operetkach, a niezadowolony ojciec nakazał mu powrót do Krakowa, gdzie załatwił mu posadę koncypienta w kancelarii adwokackiej.

Jan Krumłowski, już wówczas emeryt, obrał na siedzibę rodziny Półwsie Zwierzynieckie, zamieszkując jeden z licznych tam, zacisznych dworków. Konstanty poznał i polubił życie i mieszkańców tego przedmieścia, obserwował życie podkrakowskiej ludności. To tu narodził się pomysł napisania *Królowej przedmieścia, czyli rzecz o pięknej Mańce z Półwsia Zwierzynieckiego*, zainspirowany nieodwzajemnioną miłością do robotnicy fabryki cygar na Dolnych Młynach.

Na temat pierwowzoru głównej bohaterki tego wodewilu powstało wiele legend i pogłosek. Najbardziej wiarygodne ustalenia można znaleźć w znakomitej książce Katarzyny Siwiec *Idze, idze, bajoku... rzecz o krakowskim Zwierzyńcu.* Otóż piękna Mańka to Maria Aniela Dzierwa, urodzona w Kamieniu niedaleko Czernichowa. Była nieślubnym dzieckiem, sierotą, która trafiła na wychowanie do rodziny strażnika więziennego Zawadzkiego, przyjmując jego nazwisko. Mieszkała przy ul. Krowiej (obecnie Senatorskiej).

Maria Aniela Dzierwa-Zawadzka, obiekt miłości i zalotów Krumłowskiego, nie afiszowała się swą sławą. Przeniosła się do koleżanki na ul. Krupniczą i podobno własnoręcznie zdzierała plakaty anonsujące spektakl. W 1903 roku wyszła za mąż za profesora gimnazjalnego w Podgórzu Jana Gyurcsâka, rodem ze Spiszu. Małżonkowie przeprowadzili się do Jasła, potem Kołomyi, a tuż po I wojnie Maria Aniela owdowiała i wróciła do Krakowa z trojgiem dzieci. Pod koniec życia mieszkała u córki w Wieliczce i tam zmarła w 1940 roku.

Prawo do miana tytułowej Mańki, ukochanej autora wodewilu, rościła sobie niejaka Maria Bajus, także robotnica cygar-fabryki na Dolnych Młynach. To jej nazwisko przetrwało w bardziej powszechnej świadomości, bo udanie celebrowała swą sławę opartą na życiorysie innej dziewczyny.

Wróćmy jednak do *Królowej przedmieścia* autorstwa Krumłowskiego.

Pierwszy raz wystawił tę sztukę w pięciu aktach, z muzyką Władysława Powiadowskiego, kielecki zespół teatralny Adama Mareckiego, w krakowskim teatrze ogródkowym Pod Słońcem w 1898 roku. Sztuka uzyskała niebywały rozgłos – w ciągu dwóch miesięcy wystawiono ją ponad 50 razy. Adolf Nowaczyński w sposób zapewne przejaskrawiony wspominał, że obecny na przed-

stawieniu w Parku Krakowskim Stanisław Przybyszewski (już po kilku wychylonych kieliszkach) ze wzruszenia się popłakał, utrzymując, że jest to dzieło słowiańskie, dziwnie przepaściste, a nawet Strindberg nic lepszego nie napisał...

Legenda głosiła, że Krumłowski rękopis wodewilu sprzedał pewnemu kelnerowi za cenę pięcioguldenowego długu, ten zaś odsprzedał go dyrektorowi bankrutującej trupy teatralnej. Prawda jednak była taka, że autor osobiście sprzedał sztukę Mareckiemu, i istotnie uratował go od bankructwa, a siebie uczynił sławnym.

Krumłowski rzucił natychmiast pracę kancelisty i postanowił zarabiać na życie piórem.

Wodewil zyskał niezwykłe powodzenie i stał się modny w całym kraju, zwłaszcza w teatrach prowincjonalnych i amatorskich, pojawił się też na scenie Teatru im. Słowackiego. Niektóre kwestie i powiedzonka z *Królowej przedmieścia* weszły do potocznej mowy i kawiarnianej konwersacji. Ot choćby: „Kaś ta wlaz", „Rach ciach ciach", „Z kimże w dyrdy".

Sztuka doczekała się również ekranizacji w reżyserii Eugeniusza Bodo w 1938 roku, ale nie okazała się zbyt udana – zamiast umiejscowić akcję w malowniczych plenerach Krakowa, film nakręcono w skąpych dekoracjach filmowego atelier. A dowodem na to, że *Królowa przedmieścia* wcale się nie zestarzała, jest to, że wodewil wystawił w 2001 roku Teatr Ludowy w Nowej Hucie (reżyserem był Mieczysław Grąbka, a tytułową rolę kreowała Marta Bizoń).

Konstanty Krumłowski od 1885 roku parał się też dziennikarstwem. Pisał zarówno poważne artykuły z dziedziny szkolnictwa, polityki, życia społecznego oraz kulturalnego, jak żartobliwe wiersze i powiastki. W jego tekstach widać było werwę i talent, poruszał tematy śmiałe i swobodne. Stanisław Przybyszewski nie bez powodu podkreślał, że „obwołano go najprzedniejszym pornografem polskim". Wydał kilka tomików felietonów, kupletów kabaretowych i żartów, a w ostatnim roku życia kilka opowiadań dla dzieci.

Współpracował z czasopismami w Krakowie, Lwowie i Warszawie – między innymi z satyrycznymi magazynami „Bocian", „Diabeł", „Szczutek", „Wróbel na Dachu", „Trubadur Polski", a także z „Ilustrowanym Kurierem Codziennym" i „Nowościami Ilustrowanymi Krakowskimi". W 1908 roku sam założył „Kuryer Zwierzyniecki" i był jego wieloletnim redaktorem naczelnym. W okresie międzywojennym był równocześnie przez pewien czas kierownikiem literackim krakowskiej operetki.

Napisał wiele jednoaktówek, żartów, kupletów, tekstów kabaretowych i satyrycznych. Głównym jednak jego powodem do chwały były wodewile wykorzystujące miejski folklor. Publikował je pod rozlicznymi pseudonimami: Wujek Kostuś, Aga-Kier, Ali Ben-Bej, Eunuch, Ferdek Elektryk, Kazek, Klapa, Cri-Cri, Krykuś, Remember, To ja czy Kupido.

Znaczniejsze sztuki sceniczne to *Piękny Rigo* (*Piękny Cygan*) z 1899 roku, *Pensjonat kukułek* (1901), *Jaś i Małgosia* oraz *Nocne ptaki* (jednoaktówka) z 1902 roku, *Przewodnik tatrzański* (1911), *Obcym wstęp wzbroniony* (1913), *Śluby Dębnickie, czyli Hanka z Dębnik* (1915), *Białe fartuszki* (1919), *Bosa królewna, czyli dziewczyna w perkaliku* (1930), *Jaskółka z Wieży Mariackiej* (1937), a ponadto wydał antologię *Idź w świat na służbę!* (w 1913) oraz dramat o powstaniu krakowskim *Wolne Miasto* (1907).

Nic jednak nie dorównywało *Królowej przedmieścia.* Podobno sam hrabia Stanisław Tarnowski ocenił, że to nie tylko świetny utwór sceniczny, ale i obraz życia krakowskiego ludu. Z kolei Tadeusz Pawlikowski podkreślał, że wodewil ten przyciągał do teatrów publiczność ze sfer, w których się nie śniło bywać w teatrze.

W latach 1900–1907 zajmował się też polityką: mieszkając wtedy w Warszawie, zaangażował się w działalność ruchu rewolucyjno-niepodległościowego, za co został uwięziony w Cytadeli. Wróciwszy do Krakowa, w latach 1909–1913 zamieszkał przy Rynku Dębnickim 4, w Domu pod Nietoperzem (o czym informuje wmurowana tam granitowa tablica).

Antoni Wasilewski w *Sylwetkach krakowian* opisał Konstantego Krumłowskiego, bywalca drugorzędnych restauracji i kawiarni, przeważnie na przedmieściach, a niechętnie w centrum miasta, jako zasuszonego, starszego pana, o nastroszonych siwych włosach, trochę dziwaka, często rubasznego, a zawsze złośliwego. Był postacią ogólnie znaną w Krakowie, czasem budzącą postrach swym ironicznym dowcipem. Według Wasilewskiego nie było dla niego żadnej świętości ani kompromisów. Na przyjęciach, bankietach czy jubileuszach trudno było przewidzieć, co powie. W aurze sławy autora *Królowej przedmieścia* wszystko mu jednak uchodziło. W latach międzywojennych popularność Krumłowskiego sięgała całego kraju, był znany także wśród Polonii.

W roku 1936 Krumłowski otrzymał Srebrny Wawrzyn Akademicki za twórczość sceniczną, a w 1938 hucznie obchodzono w Krakowie jubileusz czterdziestolecia jego pracy pisarskiej. Zmarł kilka tygodni później, 17 sierpnia 1938 roku został pochowany na cmentarzu Rakowickim, a za trumną szli wielbiciele jego talentu – ludzie sztuki, pracownicy teatru, andrusy, przekupki i sprzątaczki. W „Ilustrowanym Kurierze Codziennym" odnotowano, że ukochał Kraków całą duszą, a w mieście nie było nikogo, kto by go nie znał.

Ewa Danowska – dr hab. historii, PAU. Kraków w przeszłości... jest o czym pisać!

Książeczka ucieszna, a i pożyteczna

Tekst: Witold Bereś **Zdjęcie:** Wikimedia Commons

„Zasadniczo uważa się, że synonimy to wyrazy, które są bliskoznaczne, a antonimy to wyrazy, które mają znaczenie przeciwne do danego słowa. Najlepiej tak uważać i nie ruszać konkretów, bo po co sobie gmatwać życie. (...) Weźmy parę: drogi i bezdroża. Niby wszystko jest w porządku. Ale gdy powiemy cenny i bezcenny, okazuje się, że bezcenny to taki cenny, tylko bardziej. A powinien być mniej. (...) Warto by język polski z paru takich pułapek odchudzić, gdyby nie to, że słowo odchudzić winno oznaczać, że coś przestaje być chude”.

Jacek Wasilewski, sam brutalnie się przedstawiający jako „kurator małoletnich form gramatycznych”, to człowiek renesansu: medioznawca, doktor habilitowany nauk politycznych, dziennikarz, pisarz, scenarzysta i autor książek wszelakich z pogranicza mediów, języka, narracji i scenariopisarstwa. Popełnił właśnie książkę kolejną. To brutalna ingerencja w nasze nawyki językowe, która powinna zostać czym prędzej zakazana przez Ministerstwo Kultury i zwłaszcza Dziedzictwa Narodowego, a przynajmniej w czambuł potępiona przez Radę Mediów Narodowych, Radę Etyki Mediów i wszelakie inne bezradne rady. Powinna, ale nie będzie, bo kto po nią sięga, pęka ze śmiechu. Nie przez przypadek profesor Jerzy Bralczyk przed dziełem Wasilewskiego radzi: „Ostrzegam tedy wszystkich na szczęście niedoszłych czytelników, żeby tej książki przede wszystkim nie kupowali. Jeśli już kupią, żeby broń Boże, nie czytali”.

Bralczyk w swej miłości do świata twierdzi, że zza kart wyściubia miłość autora do Naszej Wspaniałej i Jedynej Mowy Polskiej. No nie wiem... Zresztą Wasilewski owego „No” też się czepia: „W większości europejskich języków *no* oznacza przeczenie, a w polskim potwierdzenie. Nie chcesz zupy? – No! Możesz dać. (...) Jak odpowiedzieć na pytanie: »Czy zupa ci nie smakuje?«. Można powiedzieć: »Nie, smakuje!« – czyli że smakuje. Albo: »Nie, nie smakuje...« – gdy nie smakuje. (...) Albo: „Tak, nie smakuje« – gdy nie smakuje. Dlatego większość użytkowników języka polskiego uważa, że lepiej po prostu zjeść tę zupę i nie dać się wciągnąć w to bagno”.

Słowem: książka prowadzi nas złośliwie przez meandry języka polskiego, jego dziwactwa, nasze śmieszne nawyki i błędy pospolite choć nieoczywiste. Lektura – wbrew ostrzeżeniom prof. Bralczyka – niezbędna. I nie o obcokrajowców tu jeno chodzi. Wszak, jak deklaruje turecka dziennikarka: „Po kilku latach przekonałam się, że nie da się nauczyć tego języka w normalny sposób. Przestałam się więc przejmować, że popełniam błędy. Polacy też robią błędy i mało kto wie, co jest naprawdę poprawne”.

Do dzieła Wasilewskiego, z serca miłującego polski, choć objawiającego to na sposób antypolski, niemałe trzy grosze dorzucili Joanna Czupryniak, ilustrując książkę przezabawnie, oraz wydawca Bogdan Szymanik, biorąc te grzechy na własny rachunek.

Jacek Wasilewski, *Bezecnik gramatyki polskiej. Tajemnice językowego półświatka*, BoSz, Olszanica 2021.

Przedstawiamy kolejne sugestie do trzeciej już edycji konkursu PORTRETY na najlepsze dzieło biograficzne roku.

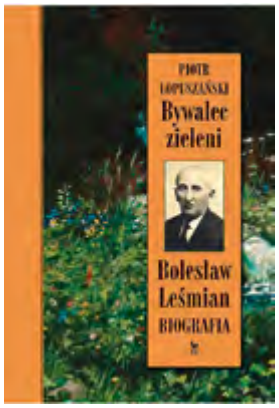

„Duszno było od malin, któreś, szepcząc, rwała / A szept nasz tylko wówczas nacichał w ich woni / Gdym wargami wygarniał z podanej mi dłoni / Owoce przepojone wonią twego ciała / I stały się maliny narzędziem pieszczoty…" Któż nie zna tych fraz! Bolesław Leśmian zasadnie uchodzi za klasyka, więcej – mistrza poezji erotycznej, co jest tym bardziej godne uznania, że ani panujące obyczaje, ani sama polszczyzna nie sprzyjają takiej liryce.

Było zresztą w jego życiu i dziele wiele innych fascynujących (a do tej pory niezbadanych) i wartych uwagi wątków. Ot, choćby związanych z barwnym (często też pełnym konfliktów czy zawiści) światem warszawskich grup (i kawiarni) literackich oraz z licznymi romansami. A także z poważnie traktowanymi zainteresowaniami filozoficznymi, z zainteresowaniem śmiercią, z żydowskim pochodzeniem wreszcie.

Uznany badacz napisał biografię ukochanego poety, wykorzystując nieznane dotąd źródła i nowe ustalenia – a tym samym burząc wiele stereotypów i mitów.

Na koniec dwie frazy: „Sama ścielesz swe łóżko wedle swych zamiarów / By szczęściu i pieszczotom było w nim wygodnie" i „Bądź pochwalony i bądź rozpustny / Uśmiechu wiernej mojej kochanki!". kb

Piotr Łopuszański, *Bolesław Leśmian. Biografia*, Iskry, Warszawa 2021.

Był jednym z najpoczytniejszych polskich pisarzy minionego stulecia. A już na pewno prekursorem tego, co dziś nazwalibyśmy kulturą popularną. Po prostu: wiedział czy też instynktownie czuł, o czym i jak pisać, by było atrakcyjnie i interesująco. Równocześnie jego największe dzieło miało – ba, ma do dziś – cenny wymiar polityczny. Mowa o *Karierze Nikodema Dyzmy*. Ta – jak ją reklamowano – „powieść obyczajowa na tle życia sfer uprzywilejowanych" była historią niebywałej kariery towarzyskiej, ale i politycznej, zwykłego tępaka bez wykształcenia, klasy i manier, lenia i pijaka (oraz miłośnika schabowego z ogórkiem), a także, by tak rzec, silnego samca. I właśnie osobnik takiego pokroju bryluje na salonach władzy i w urzędach Rzeczypospolitej.

Znamienne, że kiedy książkę zaczął pierwszy raz drukować w odcinkach – co niegdyś było częste – popularny dziennik „ABC", ówcześni cenzorzy rychło zaczęli konfiskować kolejne nakłady pisma. Wieść o tym oczywiście szybko się rozniosła, co tylko przysporzyło autorowi czytelników. Nie tylko wśród tych, którzy czytali ją jako satyrę na władzę, ale także tych – i może ich było najwięcej – którzy w Dyzmie widzieli „spełnienie fantazji o drodze awansu: oszukaniu tych wszystkich ważniaków, którzy nie są ani odrobinę lepsi".

Sam Dołęga-Mostowicz wyjaśniał szczerze, że jego powieść jest „próbą literackiej syntezy psychiki społeczeństwa polskiego". Dodawał też bez złudzeń, że akcja mogłaby się toczyć kiedykolwiek, także „za lat dwadzieścia".

Już ten epizod z jego biografii dowodzi, że był pisarzem tyleż sprawnym literacko, ile świadomym obywatelsko i odważnym intelektualnie. A gdy dodać do tego barwność towarzyską, poświadczony relacjami czar osobisty oraz wciąż fascynującą atmosferę międzywojennej Polski – jest idealnym bohaterem dla zdolnego i potrafiącego korzystać ze źródeł biografa. kb

Jarosław Górski, *Parweniusz z rodowodem. Biografia Tadeusza Dołęgi-Mostowicza*, Iskry, Warszawa 2021.

Ledwie kilkanaście miesięcy temu wydane zostały wspomnienia Zofii z Odrowąż-Pieniążków, a już mamy drugą ich część. Tym razem autorka ze znaną już czytelnikom lekkością i swadą narracji przez pryzmat osobistych losów ukazuje fragment dziejów kraju w latach 1920–1945. Opowieść rozpoczyna się już po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, kiedy Zofia i Jan Skąpscy opuścili Sądecczyznę, przenosząc się na Pomorze. Tam – w odmiennych realiach społeczno-gospodarczych – objęli spory majątek ziemski. Z chwilą wybuchu wojny znaleźli schronienie w podkrakowskim majątku Hebdów, administrowanym przez ich najstarszego syna Antoniego.

Wydobyte z niepamięci zapiski wymykają się jednoznacznej klasyfikacji. Pojawia się tam co najmniej kilka gatunków literackich, nie wyłączając reportażu. Znakomicie prezentuje się materiał ilustracyjny, siłą rzeczy bogatszy niż w tomie pierwszym. Uporządkowanie zapisków Zofii Skąpskiej i przygotowanie ich do druku zawdzięczamy jej wnukowi Rafałowi Skąpskiemu. Podziwu godna jest dokonana przezeń w tym celu eksploracja archiwów publicznych, prywatnych i rodzinnych, tym trudniejsza, że przypadła na czas pandemii.

Wspomnienia te mają szczególny walor dokumentu, toteż wypada z nadzieją oczekiwać na ostatnią część tej osobliwej trylogii, obejmującą niełatwe czasy PRL-u. Zofia Skąpska spisywała swe memuary niemal do ostatnich dni, a zmarła w Krakowie w sierpniu 1961 roku. KJ

Zofia z Odrowąż-Pieniążków Skąpska, *Dziwne jest serce kobiece…*, tom 2, *Wspomnienia z Pomorza i Hebdowa*, Czytelnik, Warszawa 2021.

Kraków, październik 1921 roku

Zebrał Krzysztof Jakubowski

Passus z rubryki „Odpowiedzi redakcji" w „IKC": „Erotyki pańskie są w pełnym tego słowa znaczeniu – niezdarne. Ubóstwo myśli idzie o lepsze z wartością rymów, te zaś są takie ubogie, że zadem dziadek kościelny nie spojrzałby na nie".

☞ **1 października.** Z kroniki „Czasu": „Nabożeństwo dziękczynne za ocalenie życia Naczelnika Państwa odbędzie się w sobotę dn. 1 października o godz. 10 w kościele garnizonowym św. Piotra i Pawła. W nabożeństwie weźmie udział generalicja z korpusem oficerskim oraz delegacje wszystkich formacji wojskowych stacjonujących w Krakowie".

☞ **1 października.** „Prezydium krakowskiej gminy żydowskiej wysłało do Naczelnika Państwa z okazji szczęśliwego ocalenia telegram z życzeniami" – odnotowała „Nowa Reforma".

☞ **1 października.** Jak donosił „IKC": „Śledztwo prowadzone w Krakowie w sprawie zamachu na Naczelnika Państwa zostało ukończone. Aresztowana Demydczuk została wczoraj odesłana pod eskortą do Lwowa".

☞ **1–22 października.** Przez Kraków przetoczyła się fala strajków. Pierwsi zastrajkowali pomocnicy aptekarscy, następnie pracownicy orkiestr Teatru Opery i Operetki, robotnicy krawieccy, pracownicy piekarscy i wreszcie aktorzy Teatru im. J. Słowackiego. Protesty się powiodły, bo wszyscy otrzymali znaczne podwyżki.

☞ **2–3 października.** Gazety opisywały wizytę w Krakowie dziennikarzy rumuńskich. Była to kolejna taka wizyta po odwiedzinach dziennikarzy skandynawskich, estońskich i łotewskich. W składzie delegacji znalazła się jedna kobieta. Kilka dni później przybyła 11-osobowa delegacja dziennikarzy angielskich.

☞ **5 października.** „W Pałacu Sztuki na pl. Szczepańskim otwarta zostanie w niedzielę wystawa zbiorowa dzieł Henryka Uziembły. Wystawa obejmuje trzydzieści kilka obrazów z ostatniego okresu twórczości znanego artysty i otwarta będzie do końca października br." – awizował „Czas".

☞ **6 października.** Z kroniki „Czasu": „W kościele św. Floriana odbył się w sobotę 1 bm. ślub znanego kupca krakowskiego, p. dra Leopolda Macharskiego, współwłaściciela firmy Hawełka, z Zofią Pecówną, córką prezydenta Izby Skarbowej. Związek małżeński pobłogosławił ks. kanonik Kulinowski".

☞ *Para ta wydała na świat czwórkę dzieci, wśród nich przyszłego arcybiskupa diecezji krakowskiej, kard. Franciszka Macharskiego.*

☞ **8 października.** Z kroniki „Głosu Narodu": „Mianowanie dra Rafała Taubenschlaga profesorem zwyczajnym prawa rzymskiego na Uniwersytecie Jagiellońskim wywołało wielką radość w »Nowym Dzienniku«, zajmującym zresztą w przypadku państwa polskiego w najlepszym wypadku »neutralne« stanowisko. Organ syonistyczny okadza z tego powodu naszą Wszechnicę, przyznaje jej kulturę, brak szowinizmu etc. Nie kwestionujemy kwalifikacji p. Taubenschlaga, jednak niech profesorowie UJ przeczytają artykuł »Nowego Dziennika« i niech pamiętają na przyszłość, że każdą nominację żyda na Uniwersytecie nasi »neutralni« obywatele uważają za swą żydowską placówkę".

☞ **8 października.** Anons pt. „Ostrzeżenie" z „IKC": „Ostrzegam przed zakupem od Ryfki i Hirscha Sybirskich realności wraz z nowo wybudowanym budynkiem fabrycznym w Podgórzu przy ul. Zamojskiego 41, gdyż realność tę zakupiłem swego czasu na cele fabryczne. Maurycy Fischler, Grodzka 60".

☞ **10 października.** „Świat malarski gotuje się do uczczenia 40-lecia pracy jednego z najstarszych i najwybitniejszych malarzy polskich Józefa Męciny Krzesza, który w najbliższym czasie opuszcza rodzinny Kraków, udając się na stały pobyt do Poznania. Obchód jubileuszowy odbędzie się staraniem Związku Artystów w dniu 15 bm. o 11 w południe w Domu Plastyków, pl. św. Ducha. W uczcie jubileuszowej twórcy tak znakomitych obrazów jak *Bitwa pod Orszą*, *Sen dzieciątka Jezus* i wielu portretów wezmą udział wszyscy artyści malarze Krakowa".

W Krakowie było 57 szkół publicznych i 10 prywatnych. Zapisało się do nich 22 428 dzieci, w tym 9835 chłopców. Wyznania rzymsko-katolickiego było 16 808 dzieci (7655 chłopców), wyznania mojżeszowego 5523 (2177 chłopców). Ponadto wyznania ewangelickiego było 61 dzieci, grecko-katolickiego 35 i jedno wyznania prawosławnego.

Uważany za epigona Matejki (był jego uczniem), Krzesz mieszkał w Dębnikach przy ul. Pułaskiego 5, w willi zdegradowanej niedawno brutalną przebudową.

☞ **12 października.** „Spis Ludności w Krakowie dobiega końca z wyjątkiem VII i VIII dzielnicy, t. j. Stradomia i Kazimierza, gdzie z powodu gęstego zaludnienia i świąt żydowskich przedłużono spis ponownie. W dzielnicach tych zwiększono ilość komisarzy spisowych. W biurach Urzędu Statystycznego zgłaszają się nadto osoby, które z rozmaitych powodów nie uczyniły zadość obowiązkowi spisowemu" – odnotował „Czas". *Według ostatecznych wyników spisu Kraków liczył 183 751 mieszkańców, w tym 83 427 mężczyzn i 100 324 kobiety, z czego 138 231 chrześcijan i 45 520 Żydów. Szacowano, że spis nie uwzględnił 6–7 tysięcy ludności żydowskiej.*

☞ **12 października.** Z kroniki „Nowej Reformy": „Do mieszkania Jana Szweda, aptekarza zamieszkałego

Rafał Taubenschlag (1881–1958), historyk prawa, dziekan wydziału prawa UJ, fot. ok. 1930, NAC

Portret kobiety, Józef Męcina Krzesz, olej na płótnie, 1920, Muzeum Narodowe w Krakowie

przy al. Krasińskiego 14, padł strzał karabinowy. Kula przebiła szybę i ugrzęzła w ścianie, nie raniąc nikogo".

☞ **15 października.** Uniwersytet Jagielloński uczcił 25-lecie pracy prof. Leona Wachholza prekursora medycyny sądowej w Polsce. Uroczystość odbyła się po pierwszym wykładzie profesora w nowym roku szkolnym – relacjonował „IKC".

☞ **15 października.** Komunikat z „IKC": „Zapomogi dla podupadłych rzemieślników krakowskich z zapisu śp. ks. Jana Schindlera zostaną rozdzielone przez prezydenta miasta. Podania wystosowane do magistratu krakowskiego należy złożyć do 15 listopada na ręce starszego stowarzyszenia, którego współubiegający się o zapomogę jest członkiem".

Jan Chrzciciel Schindler, austriacki teolog, ksiądz i polityk, był w latach 1839–1846 prezesem senatu rządzącego Wolnego Miasta Krakowa. Choć uznawany za austrofila miał spore zasługi dla rozwoju i modernizacji miejskiej infrastruktury.

☞ **16 października.** A kroniki „Nowej Reformy": „Otwarcie Starego Teatru, który przed wojną przez szereg lat był środowiskiem ruchu koncertowego, nastąpi w niedzielę 23 bm. W dniu tym odbędzie się koncert słynnego tenora opery paryskiej Jana Majerskiego. Sala i wszystkie ubikacje Starego Teatru zostały odnowione i przedstawiają się dziś wspaniale. Uczyniono wszystko, aby zadowolić wymagania zarówno estetyki, jak i wygody publiczności. Nie ulega wątpliwości, że koncerty w odnowionym gmachu staną się atrakcją Krakowa".

Wyłączony z eksploatacji w 1893 roku gmach, po przebudowie (1906) stał się ośrodkiem życia muzycznego i tak pozostało do 1941 roku, kiedy krakowski kupiec Adam Święchło uzyskał od okupantów koncesję na prowadzenie teatru.

☞ **16 października.** Notatka z tej samej kroniki: „Policja krakowska urządziła wczoraj obławę sanitarną, podczas której przytrzymano 12 kobiet lekkich obyczajów, które poddano kontroli sanitarnej ze względów higienicznych".

☞ **17 października.** Passus z rubryki „Odpowiedzi redakcji" w „IKC": „Erotyki pańskie są w pełnym tego słowa znaczeniu – niezdarne. Ubóstwo myśli idzie o lepsze z wartością rymów, te zaś są takie ubogie, że zadem dziadek kościelny nie spojrzałby na nie. W nagłówku tej »poezji« podkreśla Pan prawa autorskie zastrzeżone. To jedno naprawdę się Panu udało".

☞ **17 października.** Reklama z tego samego numeru „IKC": „Słynny na cały świat amerykański cyrk Buffalo Bill przyjechał i urządza od 15 października w gmachu kina Lubicz szereg przedstawień artystycznych z dziedziny atletyki i senzacyi cyrkowych. Początek o godz. 5".

Chociaż legenda Dzikiego Zachodu i zarazem założyciel cyrku nie żył już od kilku lat, magia nazwiska działała. Kino Lubicz przy ul. Lubicz 1, często zmieniało nazwę. Od 1951 roku do likwidacji w 1990 rok, znane było jako

Jan Chrzciciel Schindler (1802–1890), ksiądz, teolog i polityk, Jan Nepomucen Głowacki, olej na płótnie, 1842, Muzeum UJ

Adam Ernest (1868–1926), prawnik, finansista i polityk, fot. ok. 1920, NAC

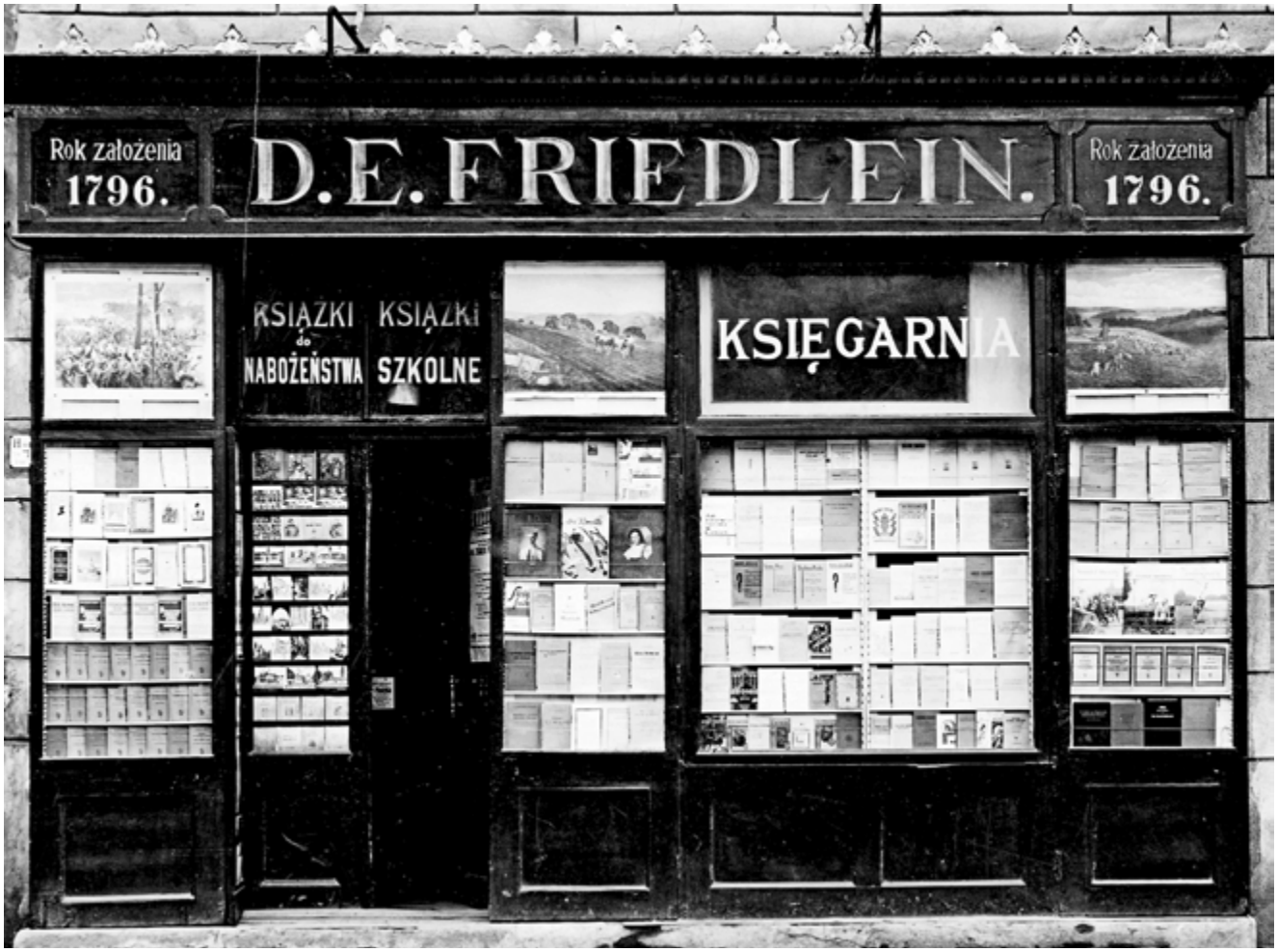

Księgarnia Friedleina zajmowała nieistniejący dziś lokal przy Rynku Głównym 17, na prawo od bramy, fot., 1935, NAC

Leon Wachholz (1867–1942), jeden z prekursorów współczesnej medycyny sądowej, Leon Wyczółkowski, olej na płótnie, ok. 1925, zbiory Instytutu Medycyny Sądowej CMUJ

Młoda Gwardia. Później była tam piwiarnia, a następnie nie najwyższych lotów restauracja z tańcami. Od ponad dwóch lat lokal stoi pusty.

☞ **19 października.** „Kawiarnia Secesja zmniejsza stale liczbę znajdujących się tam polskich czasopism. W ostatnim tygodniu wyrugowano »Kuriera Warszawskiego«, »Tygodnik Ilustrowany« i »Świat«. Natomiast jest do użytku gości »Neue Freie Presse«" – ubolewała „Nowa Reforma".

Kawiarnia Secesja, z pięknym wystrojem adekwatnym do nazwy, zajmowała w latach 1898–1940 pierwsze piętro gmachu u zbiegu ulic Wiślnej i św. Anny. W 1949 roku realność tę przebudowano na Powszechny Dom Towarowy.

☞ **22 października.** „Policja krakowska aresztowała Franciszka Węglarza, lat 24, słuchacza IV roku filozofii, zamieszkałego przy ul. Ariańskiej 15, za systematyczne kradzieże książek i broszur na szkodę księgarni Friedleina w Rynku Głównym. W śledztwie przyznał się on do kradzieży 65 książek, wartości pół miliona marek" – odnotowała „Nowa Reforma".

Księgarnia rodziny Friedleinów założona w 1786 roku mieściła się w kamienicy Hetmańskiej (Rynek Gł. 17), w nieistniejącym dziś lokalu na prawo od bramy. Przetrwała do 1956 roku. Z rodziny tej wywodził się jeden z prezydentów miasta Józef Friedlein.

☞ **23 października.** Z „IKC": „Zebranie w sprawie poparcia usiłowań rządu w kierunku sanacji finansów państwa odbędzie się staraniem Związku Inteligencji Polskiej w sali Sokoła w sobotę 22 bm. o godz. 5 po południu. Referat wygłosi prof. Stanisław Kutrzeba. Po odczycie dyskusja. Wstęp wolny dla członków Związku i wprowadzonych przez nich gości. Wobec ważności tematu obrad oczekiwać należy licznego udziału inteligencji".

„IKC" praktykowanym niekiedy zwyczajem zamieścił tę informację post factum*. Był to typowy dla tego dziennika przejaw niezdecydowania, czy należy popierać politykę ówczesnego rządu – a szczególnie ministra finansów Jerzego Michalskiego – czy też nie. Nazajutrz redakcja wyraziła ubolewanie, że zapełniono ledwie pół sali...*

☞ **23 października.** „Czas" zamieścił notatkę opatrzoną tytułem *Terror strajkujących*: „Policja krakowska zatrzymała Michała Ochwata, który wraz z Norbertem Zającem ciężko pobił Karola Sewiołka za niesolidarność podczas strajku piekarskiego. Sewiołka zabrało Pogotowie do szpitala, Zając zbiegł".

☞ **27 października.** Ciekawe zestawienie zamieścił „Głos Narodu". W Krakowie było 57 szkół publicznych i 10 prywatnych. Zapisało się do nich 22 428 dzieci, w tym 9835 chłopców. Wyznania rzymskokatolickiego było 16 808 dzieci (7655 chłopców), wyznania mojżeszowego 5523 (2177 chłopców). Ponadto wyznania ewangelickiego było 61 dzieci, grecko-katolickiego 35 i jedno wyznania prawosławnego. Każde dziecko obowiązane było ukończyć 7 klas szkoły powszechnej.

☞ **28 października.** Anons z „IKC": „Młody inteligentny mężczyzna, samodzielny, otoczony zewsząd polarnym chłodem życia nawiąże bardzo wytworną korespondencję i znajomość z dystyngowana kobietą z towarzystwa. Możliwie nie anonimowe zgłoszenia pod »Barykady życia«, do adm. Kuriera".

☞ **29 października.** Komunikat z „Czasu": „Sale koncertowe w Starym Teatrze odnowione gruntownie przez gminę m. Krakowa, pozostają wyłącznie w zarządzie miejskim. Z upoważnienia Rady Miasta administracją tych sal zajmuje się Wydział Ekonomiczny magistratu (II p. w oficynie, pok. nr 38 referent komisarz Borkowski) i tamże należy zgłaszać się o informacje w sprawie wynajęcia sal na bale, zabawy taneczne, rauty, koncerty itp.".

Czytelnia kawiarni Secesja, widokówka, ok. 1905, archiwum autora

☞ **29 października.** Jak podały „Nowości Ilustrowane", na październikowym posiedzeniu zarządu głównego Towarzystwa Szkoły Ludowej w miejsce zmarłego Ernesta Bandrowskiego na prezesa wybrano prawnika, finansistę i polityka dra Ernesta Adama, dotychczasowego wiceprezesa.

TSL – działające w latach 1892–1940 na terenie Galicji, a następnie południowej Polski – było organizacją powołaną do szerzenia oświaty na wsi. Szczególnie ważną rolę odgrywało w okresie zaborów, kiedy nośne było hasło „przez oświatę do wolności".

☞ **30 października.** Dzienniki donosiły o utworzeniu Kuratorium Okręgowego w Krakowie, z tymczasową siedzibą w gimnazjum żeńskim przy ul. Franciszkańskiej 1. Naczelnik Państwa mianował kuratorem prof. Jana Owińskiego.

☞ **31 października.** Anons z „IKC": „Lekarz chorób skórnych i wenerycznych dr Mieczysław Kaplicki ordynuje od godz. 3 do 6, ul. Potockiego 2".

Ów lekarz-wenerolog to późniejszy sprawny prezydent miasta w latach 1933–1939. Jego lekarska specjalność i żydowski rodowód bywały niejednokrotnie przedmiotem facecji i powielanych karykatur, ale Kaplicki miał poczucie humoru i nie zwykł się obrażać.

Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

Bohumil Hrabal i Jerzy Zoń

Tekst: Paweł Głowacki **Zdjęcia:** dzięki uprzejmości i za zgodą Teatru KTO

Środa
Jeśliby na ścianie naprzeciwko drzwi gabinetu dyrektora wisiała kalka podobizny najpotężniejszego człowieka w dziejach teatru, od roku 1623 zdobiącej tytułową stronę tomu jego dzieł, zwanego *Pierwszym Folio* – nikogo z gości nie dziwiłby taki widok na dzień dobry. Przeciwnie. Nikt też nie poczułby dysonansu, gdyby po wejściu zobaczył z tyłu nad biurkiem gospodarza reprodukcję *Portretu z Chandos*, przedstawiającego mężczyznę ze złotym kolczykiem w uchu, portretu niewiadomego autorstwa i do dziś diabli wiedzą, czy rzeczywiście ukazującego oblicze twórcy *Hamleta*. On to? Nie on? Różnie mówią. Lecz bez względu na to, kim naprawdę była postać z kolczykiem – w gabinetach dyrektora Teatru KTO Jerzego Zonia, na ścianach za biurkiem nigdy nie widniała nie tylko ta niepewna, ale żadna z podobizn Williama Szekspira. Kto więc patrzył ze ściany na gościa? Sofokles? Goldoni? Molier? Brecht? Czechow? Ibsen? Craig? Artaud? Strehler? Brook? Może któryś z rodzimych kapłanów Melpomeny? Słowacki? Mrożek? Grotowski? Kantor? Może wisiał tam portret samego króla źródeł teatru – podobizna Dionizosa na boskim rauszu, w gromadzie kobiet rozgrzanych do miękkości, wkraczającego chwiejnie na scenę obrzędu, gdyż Dionizje czas zacząć? A może niczyjej twarzy nie było tam widać? Nie. We wszystkich dawnych gabinetach Zonia patrzył znad jego głowy na gościa zawsze tylko – Bohumil Hrabal w szelkach i koszuli całej w poziome esy-floresy, coś pomiędzy zblakłymi arabeskami na szatach fakira a szlaczkiem w zeszycie ślamazarnego pierwszoklasisty. Tak, przez wiele lat – wciąż jedynie on na dzień dobry. A dziś? Teraz, gdy od miesiąca posiada Zoń nowy gabinet w świeżym teatralnym gmachu przy ulicy Jana Zamoyskiego 50 w Krakowie?

> Czy widział ktoś w KTO seans ociekający bojową poezją patriotyczną?

Piątek
Dlaczego Hrabal, nie Szekspir, Czechow lub inny Wielki Bożek Teatralny? I czemu spośród wielu fotografii Hrabala Zoń wybrał akurat tę z pisarzem w szelkach i esach-floresach sztubacko-fakirskich? Oczywiście, od 18 lutego roku 1959 do 31 grudnia roku 1961, Hrabal pracował w Teatrze im. S.K. Neumanna w Libniu w Pradze. Stanowisko – maszynista. A w praktyce – osobnik wszechstronnie poręczny. Tapicer, meblarz oraz – co najistotniejsze – statysta. Z domu przy ulicy Na Grobli, którą zwał Groblą Wieczności, do teatru przy ulicy Zenkla miał 200 metrów. Wnosił, wynosił, montował, demontował, ustawiał, pilnował sznurowni, przejść, wyjść, zejść, zapadni, no i – przebierał się. Na przykład za Pazia w *Otellu*, za okutanego gigantycznym kożuchem mużyka w *Kremlowskich kurantach* albo za latającego Arlekina w *Trzech muszkieterach*. Przebieranki te doprowadzały Pipsi, jego żonę ubóstwianą, do rozpaczy. Nie same z siebie, nie jako takie, skądże. Tragedia w tym tkwiła, że Hrabal nie w teatrze, przed seansem się przeistaczał. On się przeistaczał – od świtu. Od śniadania był mużykiem, latającym Arlekinem lub paziem! Grubo później, w cudnie nostalgicznej opowieści *Vita nuova*, zrobi z Pipsi narratorkę i te pełne bezsilnej skargi słowa, te o sobie bezradne frazy bez przecinków wsunie jej w usta.

Sobota
„Już w domu przebiera się... I chodzi tak po podwórzu... Jak grali Otella całe lato to znów chodził sobie przebrany za pazia również do knajpy okropny widok krzywe nogi ta zniszczona od chlania gęba i jeszcze nasadzona peruka blond peruka jak jaka kurwa taka peruka wielka niczym barania czapa i już się każe również po południu szminkować okropny widok... Robi mi wstyd na Libni...".

Poniedziałek
W szelkach i koszuli w sztubacko-fakirskie esy-floresy – stoi Hrabal przed drzwiami swego domu przy ulicy Na Grobli. Całkiem prawdopodobne, że jest właśnie któryś z poranków pomiędzy zimą roku 1959 a zimą roku 1961. Jak tylko wybrzmi trzask migawki fotograficznego aparatu – Hrabal zniknie za drzwiami i po chwili zjawi się znowu, lecz już w kożuchu mużyka albo w blond peruce wielkości czapy baraniej, albo w uszytych z kolorowych rombów fatałaszkach latającego Arlekina. Lecz czy wszystko to tłumaczy wybór Zonia? Wyjaśnia go bez reszty, do spodu?

Środa
Dużo wcześniej przed Groblą Wieczności było dzieciństwo i wczesna młodość. Była mama. Była, lecz w wielu postaciach. O pięknej pani Marii Kilianovej-Hrabalowej powiedzieć, iż kochała teatr – to skłamać. Biedny jej mózg zupełnie stracił dla teatru równowagę. Opętana aktorstwem – bez wytchnienia grała w amatorskich przedstawieniach, których w Nymburku, gdzie mieszkali, było zaskakująco wiele, gdyż w tym prowincjonalnym miasteczku zdumiewająco wiele było teatrów amatorskich. I wciąż spraszała do prowadzonego przez swego męża browaru artystów praskiego Teatru Narodowego przyjeżdżających do Nymburka na gościnne występy. Ciągle czytała teatralne sztuki i mały Hrabal gubił się, gdyż nie miał pewności, czy przed momentem minął mamę, czy obcą kobietę – bohaterkę sztuki scenicznej, którą pani Maria właśnie czytała, niepokojąco wolnym krokiem przemierzając rozległe podwórze browaru. Lecz czy to naprawdę bez reszty tłumaczy nieustanną obecność twarzy Hrabala na ścianie, wysoko nad twarzą

Spektakl *Sprzedam dom, w którym już nie mogę mieszkać,* fot. Beata Frysztacka

Zonia siedzącego za biurkiem? A może końcem wyjaśnień będzie podróż do mieściny Polna w roku 1918? Hrabal kończy lat ledwie cztery – i wchodzi pewnego wieczoru na scenę tamtejszego teatrzyku. Pierwszy raz w życiu jest częścią fantastycznego kłamstwa – gra tycią rólkę w inscenizacji *Vojnarki* Aloisa Jiraska. Malec gra u boku swej wniebowziętej mamy...

Ale to też nie jest koniec naszych dociekań. I nie będzie nim tragedia rozczarowania, która rozegrała się z początkiem roku 1941. Koledzy Hrabala założyli wraz z nymburskimi gimnazjalistami teatralną grupę. Dla mamy Hrabal nie mógł postąpić inaczej. Dołączył. I dla mamy zagrał potężną rolę Don Juana w sztuce Carla Goldoniego *Nie wystarczy lubić, by pokochać*. Dla pani Marii przygotowano na widowni miejsce honorowe – wyjątkowo miękkie krzesło w pierwszym rzędzie. Kiedy opowieść się skończyła i rozległy się oklaski – wstała. Świat ucichł. Wtedy ona, po westchnieniu długim, patrząc na syna oczami godnymi umierającej, patetyczną intonacją wyznała: „Lepiej mi cię było nie urodzić!”...

Czwartek

Nie, to też nie wyjaśnia fotograficznego wyboru Zonia, ale teraz jednak jesteśmy ciut bliżej jasności. Trzeba tylko wmyśleć się w to teatralne zdarzenie wojenne z roku 1941. Właśnie tak: zarazem teatralne i wojenne. Trzeba je dobrze zobaczyć. Przecież na Ziemi rozwija się tragedia, która zdaje się nie mieć innego finału niż ciemność, przecież świat się oto kończy, przecież

Nowa siedziba teatru KTO, fot. Paweł Mazur

jutro nic już nie będzie... A gdzieś z boku końca świata, gdzieś w najdalszym kącie wielkiego końca wielkiego świata – kończy się inny świat, mały świat, detal na wyciągnięcie ręki, najbliższy okruch. Na dnie gigantycznego bólu – filigranowy ból trwa przez mgnienie, trwa, gdyż młody Don Juan na krzywych nogach nie jest głuchy. Usłyszał oklaski. Lecz usłyszał również sześć słów pani Marii, zawisłych w ciszy dosadnej. Zostawmy jednak koturnowe tematy, odsuńmy na bok ból świata, przywołane zdarzenie ma bowiem też inną stronę. Potęga małości! Nieobliczalna moc zdarzeń, w skali globu – śmiesznie detalicznych! Po wielu latach od chwili sześciu czarnych słów mamy Hrabal stworzy *Pociągi pod specjalnym nadzorem*. Jeszcze później Jerzy Pilch ułoży na kanwie tego arcydzieła zdania znamienne. Uwzniośli niepojętą Hrabala sztukę zmieniania drobiazgu w oś kuli ziemskiej.

Sobota

Wyzna Pilch: „Pomiędzy nieudanym samobójstwem a udaną śmiercią opowiedzianych zostaje kilka scen, które w miarę coraz intensywniejszego życia tej prozy stają się mitem po prostu". Stają się mitem, bo u Hrabala nie chodzi o śmierć w ogóle, śmierć wielką, a o drobną śmierć elewa komunikacji Miłosza Pipki. I oświetli Pilch wyznanie słowami o odwiecznej wyższości narracyjnej Czechów nad Polakami. „Wyższość ta polega na tym, że Czesi siadając przy stoliku

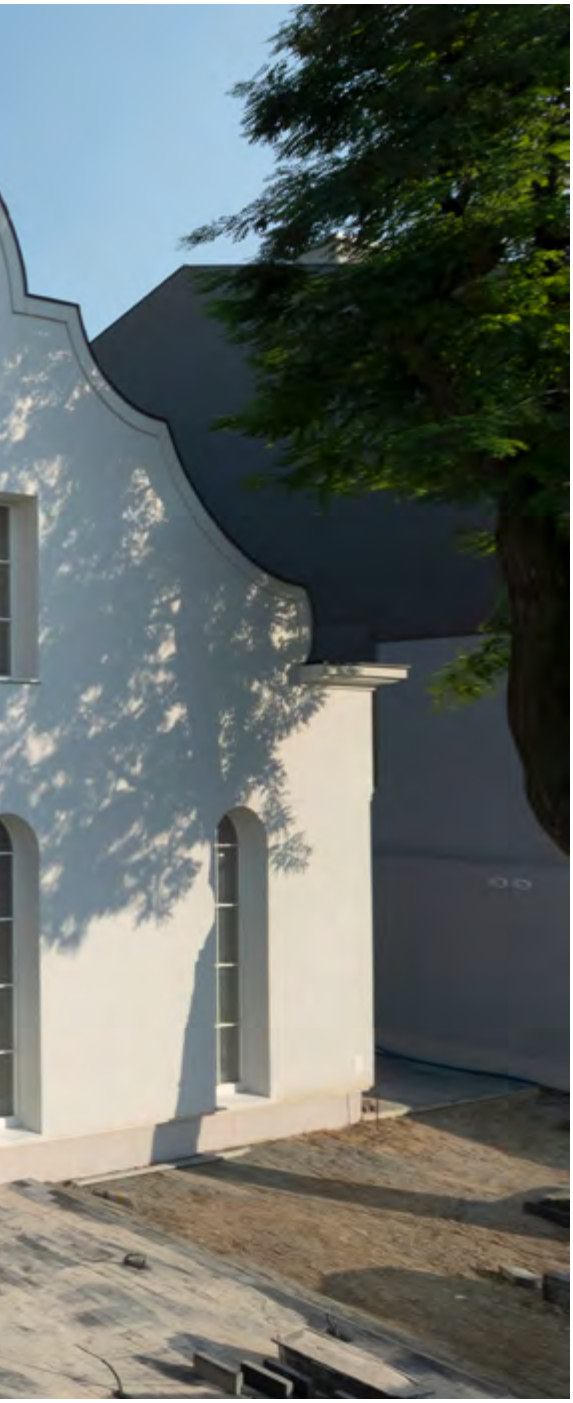

KTO gra w nowym gmachu przeróżne drobiazgi, co są na wyciągnięcie ręki. Pośród nich – *Sprzedam dom, w którym już nie mogę mieszkać*, niemą impresję według prozy Hrabala. Nie, aktorzy nie odgrywają fabuł. Oni, na podróżnych tobołach skuleni, jedynie dowodzą siły rzeczy małych.

z kuflem piwa w garści, zaczynają opowiadać o życiu, Polacy natomiast w analogicznej sytuacji przeklinają władzę. Konsekwencje literackie tych cech narodowych są takie, iż w literaturze czeskiej dominuje wybitna proza wszech-realistyczna, u nas zaś bojowa poezja patriotyczna". W końcu o samym Hrabalu mówi to, czego nie da się obalić. „Nigdy nie biadał nad upadkiem obyczajów. Siadał przy stoliku nie po to, by ferować wyroki i rzucać nieśmiertelne bon moty, ale by się piwa napić. By posłuchać, co ludzie mówią".

Wtorek

Jesteśmy w domu. Zagadka rozwikłana. Zoń wiesza na ścianie fotografię Hrabala, gdyż odpowiada mu cyzelowana przez Hrabala kolejność rzeczy. Wpierw śmierć Miłosza Pipki, potem śmierć świata. Dziś kot na dachu domku w Kersku pod Pragą, słoń w Etiopii – kiedyś. Bez bólu, co jest na wyciągnięcie ręki, lot w kosmos sens posiada marny. Czy widział ktoś w KTO seans ociekający bojową poezją patriotyczną? Przez ponad 40 lat istnienia Teatru KTO zapewne przytrafiło się Zoniowi coś podobnego, bombastycznie koturnowego, lecz ile tego mogło być? Ile razy na swojej scenie biadał Zoń nad upadkiem obyczajów nad Wisłą, ferował wyroki bogoojczyźniane i ciskał w widownię nieśmiertelnymi bon motami reperującymi duszę oraz mózg społeczeństwa naszego? W naparstku toto się pomieści? Jeśli jeden nie starczy, dwa będą w sam raz. Hrabal pił piwo, aby piwa się napić. Zoń robi teatr, aby teatr zrobić. Po prostu tak.

Czwartek

W tym samym miejscu, przy ulicy Zamoyskiego 50, gdzie teraz Teatr KTO ma nową siedzibę, świeży gmach – kiedyś, w innym gmachu, było kino Wrzos. Bodaj właśnie tam pierwszy raz widziałem *Pociągi pod specjalnym nadzorem*, filmowe arcydzieło, co je Jiři Menzel stworzył na kanwie arcydzieła Hrabala. Dzięki troskliwie ukazanej drobnej śmierci Miłosza Pipki, nieudana, Boga chwalić, śmierć świata była niepowtarzalnie dotkliwa. A teraz KTO gra w nowym gmachu przeróżne drobiazgi, co są na wyciągnięcie ręki. Pośród nich – *Sprzedam dom, w którym już nie mogę mieszkać*, niemą impresję według prozy Hrabala. Nie, aktorzy nie odgrywają fabuł. Oni, na podróżnych tobołach skuleni, jedynie dowodzą siły rzeczy małych.

Sobota

Czekając na pociąg, który się zjawi lub nie, podróżni odgrywają przed sobą łupiny pamięci. Narodziny, pierwsza komunia, miłość, wystyganie miłości, rezygnacja, gruda na wieku. Nie więcej. Małe gesty, drobne sceny, trochę szarego światła. I nadzieja, lecz niewiele, niewiele. Wszystko to, co zawsze było na wyciągnięcie ręki. A w nowym gabinecie Zonia – stara fotografia. Hrabal w szelkach i koszuli w sztubacko-fakirskie esy-floresy. Ufam, że tak.

Paweł Głowacki – krytyk teatralny i recenzent kultury, postać barwna.

Portret miasta w czasach marnych

Tekst: Maria Malatyńska

Jak to jest z portretem własnego miasta? Nosi się go w sobie? Można go przekazać? A co dla każdego powinno być najważniejsze? Miejsce, z którego się wyrasta? Jego zastany porządek? Mury? Trwanie? Tradycja? Historia? Czy własne mity rodzinne, które składają się także na całość tego żywego organizmu?

Miałam kiedyś taką przygodę: przeprowadzałam wywiad ze znanym niemieckim reżyserem filmowym Wimem Wendersem, tuż po sukcesach jego fascynującego, filmowego portretu Lizbony. Nazywał się ten obraz *Lisbon Story* i pod takim tytułem ruszył na ekrany świata. I świat się zachwycił, bo trudno było nie dostrzec oryginalnego pomysłu, gdy jedno z najpiękniejszych miast Europy zostało pokazane przez dźwięk. Pomysł fabularny był taki, że oto filmowy dźwiękowiec, mający pomóc reżyserowi w realizacji filmu, przyjeżdża do Lizbony na jego wezwanie, a nie zastając go w miejscu pracy ani zamieszkania – szuka go po mieście. Wyposażony w czułe mikrofony i inne narzędzia zawodowe łapie przy okazji dźwięki miasta. Bo przecież wszystko może się przydać. Obrazy niemal dokumentalne, nawet te znane z innych przekazów, wzbogacone tu wyeksponowanym i niespodziewanym dźwiękiem, na co dzień trudnym do uchwycenia, tworzą tak eksplodujący świeżością i oryginalnością organizm, że jest tak, jakby pierwszy raz przyszło nam zobaczyć olśniewające miasto, do którego chce się wrócić. A jeśli doda się do tego prawdziwe odkrycie dźwiękowca, czyli wokalno-muzyczny zespół Madradeus, który na ekranie podpatrywany jest w czasie prób, trudno się otrząsnąć z oszołomienia i zachwytu.

Film kocha Kraków, a nasze miasto chętnie udostępnia swoje ulice i place jako najpiękniejszy plener. Czy to są portrety Krakowa?

Pamiętam, że była to połowa lat 90. ubiegłego wieku, a Wenders, który realizował filmy różne, miał jedną fascynującą słabość: wielbił miasta. Nieprzypadkowo pisało się o nim wówczas, że był „poetą miast". Miał za sobą portrety Paryża i Tokio, za chwilę miał udać się do Hawany, będzie wędrował po Australii, mając wcześniejsze doświadczenia z miastami Ameryki, na czele z dwukrotną eksploracją Miasta Aniołów. A wszystko z osobnymi dla każdego miasta pomysłami. Jeśli doda się do tego, że przecież zaczynał niegdyś też od miasta własnego, realizując słynne *Niebo nad Berlinem*, to może znał on jakąś szczególną tajemnicę miejskich oryginalności?

Pamiętam, że wtedy, nagle i spontanicznie, w czasie tej rozmowy zaczęłam reklamować Kraków. Ni mniej, ni więcej, zaproponowałam reżyserowi wizytę w naszym, przecież równie olśniewającym jak Lizbona mieście. Oczywiście wierząc, że będzie miało tak samo inspirującą dla niego moc, jak miała stolica Portugalii. A w domyśle było to, że zrealizuje – może? – film o Krakowie?

Ale potem, gdy rzeczywiście przyjechał... nie podjęłam jego ciekawości, bo nagle zawstydziłam się, że chciałam komuś oddać moje miasto.

I naszła mnie wątpliwość: jak to właściwie jest z portretem własnego miasta? Nosi się go w sobie? Można go przekazać? A co dla każdego powinno być najważniejsze? Miejsce, z którego się wyrasta? Jego zastany porządek? Mury? Trwanie? Tradycja ogólna? Historia? Czy raczej własne mity rodzinne, które składają się także na całość tego żywego organizmu?

Czy można to oddać czyjejś, nawet najsprawniejszej, umiejętności warsztatowej i fabularnemu pomysłowi?

*

Minęły lata. Po Europie zaczął jeździć inny mistrz kamery, stary, doświadczony, ale o wciąż przenikliwym oku i żywej umiejętności budowania „bajek". Jeździł i przypatrywał się europejskim miastom. To Amerykanin, dotychczas niechętnie wychodzący poza Manhattan, czyli Woody Allen. I co się stało? Kupił nas! Nagle Europa oszalała z zachwytu, bo powstał cudowny portret miasta, ba, kwintesencji miast, w jego filmie *O północy w Paryżu*. Niby zrobiony z punktu widzenia Amerykanina, wszak to amerykańska rodzina przyjechała do Paryża na wycieczkę, ale tylko jeden członek tej rodziny dostąpił wtajemniczenia i... zatracił się w tym centrum naszego świata całkowicie i w nim pozostał. Ale też Woody Allen w tej rzewnej i czułej bajce oddał Paryżowi to, czego nigdy poza Europą by nie dostrzegł: paryską magię i tajemnicę, całkowicie wypływającą z tradycji, kultury i sztuki. Nocne sekwencje wizyt tajemnych Amerykanina w jakimś miejscu, do którego przenosi się wehikułem czasu i przestrzeni, gdzie skołowany i zdezorientowany spotyka artystów z różnych lat oraz wieków i bierze udział w ich dysputach – to sama oryginalność pomysłu, a równocześnie siła i zachwyt, której nikt poza Europejczykami nie potrafiłby przyjąć naturalnie. Zafascynowany Europą Woody Allen nie ograniczył się do Paryża. Wszak wcześniej stworzył jeszcze *Vicky, Cristinę, Barcelonę*, później pojawił film *Zakochani w Rzymie*, a potem *Magia w blasku księżyca*, czyli opowieść o Lazurowym Wybrzeżu. Co rok Woody Allen tworzył europejskie portrety miast, burząc spokój mieszkańców, a u innych budząc może nawet jakieś niezdrowe nadzieje. Bo przecież taki wielki reżyser, więc może i na nas zechce spojrzeć? Pamiętam, że nawet ważni ludzie z samorządu krakowskiego mówili: myśleliśmy o Woody Allenie, ale nas na niego nie stać.

Żeby nam stworzył wizytówkę miasta? Reklamę, za którą może dostanie Oscara? To działo się naprawdę.

Jak to więc jest z portretem naszego miasta? Kto nam to zrobi? Może kolejny raz spróbujemy sami? Lecz jaki powinien on być? Kto ma być bohaterem, co ma być tłem? Czy portret trzeba ukryć w zajmującej fabule? A może puścić rzecz na żywioł? Mury czy ludzie? Tradycja czy współczesność?

Wbrew pozorom wszystkie te wątpliwości są uzasadnione. Niektórzy twierdzą, że Kraków cierpi na syndrom miasta muzeum, a objawia się to przekonaniem, że „wystarczy być": z tymi murami, z największym w Europie Rynkiem, z dachami budynków i kościołów.

Jak dobrze, że film jest sztuką o tak wielkiej sile sugestii. W filmach dokumentalnych wspaniale grały mury i zabytki, wystarczy przypomnieć niemal cały dorobek niezapomnianego Zbigniewa Bochenka. A w filmach fabularnych zawsze było wiadomo, że „mury" zniosą wszystko. Świetnym przykładem było *Uwikłanie* Jacka Bromskiego, w którym adaptacja kryminalnej powieści wrocławskiego pisarza Zygmunta Miłoszewskiego, przeniesiona do Krakowa i rozegrana z udziałem tutejszych aktorów, napełniona w nadmiarze wspaniale filmowanymi murami śródmieścia, w kamerze Marcina Koszałki nie stała się ani kryminałem, ani portretem miasta. Ładnie sfilmowane mury zachwyciły, co było niewątpliwie zasługą operatora, ale akcja kryminalna pozostawiła widza obojętnym.

> Nowy portret miasta powinien być zbiorem portretów ludzi.

Można wymieniać wiele tytułów, wiele tradycji filmowych. Film kocha Kraków, a nasze miasto też chętnie udostępnia swoje ulice i place jako najpiękniejszy plener. Czy to są portrety Krakowa? Może nie, ale jakaś gotowość do kolejnego szkicu już się z tego wyłania.

Film często sięgał do Krakowa, do miasta, a nawet do jego duszy. Budował jego portrety z dokumentu i ze sztuki, z tradycji zamkniętej w literaturze, w teatrze, w plastyce. Przykładów jest tu mnóstwo! Wspaniałym portrecistą takiego Krakowa był przecież Andrzej Wajda. To on stworzył najdoskonalszy portret duszy naszego miasta w genialnej adaptacji *Wesela*. Już pewnie nic doskonalszego nie może na ten

temat powstać. Ten sam reżyser portret duszy Krakowa wzbogacił „małą historią" naszych temperamentów i ambicji w pamiętnym serialu *Z biegiem lat, z biegiem dni*.

Wszystkie filmowe portrety Krakowa, a jest ich znacznie więcej niż wspomniane w tym tekście, mają swoją urodę i niedatowaną przydatność. W każdej chwili można po nie sięgnąć. Ale czy to na dzisiaj wystarczy?

Bo dzisiaj wracamy do życia. Podnosimy się po pandemii, ale też po niechęciach i nienawiściach, po samotności, i niepewnie spoglądamy w przyszłość. Dzisiaj więc musi być inaczej. Pomyślałam o tym, oglądając niedawno dokument o wędrówce po Krakowie dwóch starszych panów – Romana Polańskiego i Ryszarda Horowitza. Pisaliśmy w „Krakowie" o tym filmie, zresztą wszedł na ekrany, więc już pewnie wszyscy go znają. Uderzający jest kontrast, gdy z jednej strony widać barwny, odpicowany Kraków, gwarny, który panowie nazwą nawet „Disneylandem", bez niechęci i bez złośliwości – ale na jego tle będą dalej toczyć poważne, choć już z dystansem i optymizmem, wojenne wspomnienia. Okazało się, że one są ważniejsze. Nie Disneyland – a śmiech przez łzy. Może więc właśnie to jest potrzebne dzisiaj: człowiek w swoim mieście. Może więc nowy portret miasta wymaga zupełnie innego kształtu, bo musi być żywy i złożony z zupełnie innych elementów, z ludzi, którzy, miejmy nadzieję, odbudują społeczny nastrój optymizmu. Odnoszę wrażenie, że Kraków, zaklęty w takim swoim nowym portrecie, nadawałby się do takiego patrzenia jak mało który organizm. Miasto, które przetrwało tyle wieków, i to w formie niezmiennej, chronione pewnie nie tylko czakramem wawelskim, musi na ekranie pojawić się w innej formie: trzeba dać wytchnąć murom i „pięknu zaklętemu w sztukę", a teraz jego obraz na ekranie muszą tworzyć ludzie. Portret mojego miasta trzeba teraz stworzyć tak, by było jasne, że jego mocą są wizerunki tych wszystkich postaci, które tu żyły i tworzyły. A wybitnych jednostek jest mnóstwo! Nie zawsze zastanawialiśmy się nad ludźmi, którzy z naszego miasta wychodzą. Pewni tego, że to miasto uszlachetnia i oczyszcza, trzymaliśmy ich zamkniętych w skarbcu tak zwanego kulturalnego dorobku. A teraz to wszystko trzeba wydobyć. Nowy portret miasta powinien być zbiorem portretów ludzi, nie ukrywając również tych, którzy stąd wyszli, lecz chluby miastu nie przynoszą. I jasno sobie powiedzieć, że nasze kiepskie klimatycznie powietrze tworzy nie tylko jednostki prawe, pracowite, świadome cnót i odpowiedzialności. Ale tym bardziej ważne są portrety postaci dobrych, szlachetnych. W czasach, gdy oficjalnie niszczy się autorytety, gdy przepadają ludzie myśli, kultury, prawa i społecznej odpowiedzialności, portret miasta winien być galerią tych cech, które przecież będą kiedyś w cenie ponownie. Portret Krakowa powinien być teraz skarbcem edukacyjnym, skarbcem kultury i wolnej myśli, możliwości ludzkich umysłów. W historii naszego miasta jest tak wiele takich postaci, tak wiele cnót społecznych i politycznych, tak wiele siły przetrwania, że materiału wystarczy na wiele lat. Może teraz jest właśnie ten czas.

Portret Krakowa powinien być teraz skarbcem edukacyjnym, skarbcem kultury i wolnej myśli, możliwości ludzkich umysłów. W historii miasta jest tak wiele takich postaci, tak wiele cnót społecznych i politycznych, tak wiele siły przetrwania, że materiału wystarczy na lata.

Maria Malatyńska – miłośniczka kina, pasjonatka filmu, recenzentka kulturalna.

Łukasz Stokłosa, *Museo Napoleonico*, olej na płótnie, 30 x 40 cm, 2019

Las się zgarbił (*Słońce i cień*, reż. Jan Holoubek)

Tekst: Łukasz Maciejewski **Zdjęcie:** dzięki uprzejmości dystrybutora

***Słońce i cień*, skromny dokument Jana Holoubka z 2007 roku. Gustaw Holoubek i Tadeusz Konwicki idą przez las i rozmawiają. Aż dostrzegą cień. Zgarbieni, obaj. Na tym polega starość. Na tym również. Widz, oglądający, też jak gdyby musi się pochylić, trochę zgarbić, żeby usłyszeć to, co trzeba usłyszeć...**

Opowiadałem o Holoubku i Konwickim studentom Szkoły Filmowej. Nie wiem, mam nadzieję, wciąż mam nadzieję, że wiedzą, kim był Gustaw Holoubek, kim Tadeusz Konwicki, ze strachu wolałem nie pytać, opowiadałem o jednym i drugim.

Holoubek: żegnał się z nami na raty. Od miesięcy. Coraz rzadziej pojawiał się w kinie i w teatrze. Ostatnią jego rolą pozostanie Stary Aktor z wybitnej inscenizacji *Wyzwolenia* Wyspiańskiego, którą w Teatrze Telewizji zrealizował Maciej Prus. Patrzy się na tę

pożegnalną kreację wielkiego aktora ze ściśniętym gardłem. To właśnie z ust Holoubka pada kluczowe w dramacie Wyspiańskiego pytanie: „Gdzie żem zaszedł, co chciałem uczynić, czym będę?”.

Należał do tej samej grupy wirtuozów co Zbigniew Zapasiewicz czy Tadeusz Łomnicki, dla których tekst musi być zawsze zrozumiały. Przeczytany i przemyślany. Nie wolno marnotrawić czasu na słowa byle jakie, bezwartościowe, nikomu niepotrzebne. W dekalogu Holoubka w parze z szacunkiem dla litery (literatury) szło zrozumienie dla własnej, niepowtarzalnej fizyczności. Fizyczność Holoubka to było na przykład jego charakterystyczne spojrzenie: czasami ironiczne, niekiedy sentymentalne, ale zawsze inteligentne. Bo też aktorstwo Holoubka oraz jego publiczny status były w całości kwintesencją inteligenckości rozumianej nie jako wyuczone formułki, które dobrze sprawdzają się na politycznych i biznesowych salonach, tylko jako styl życia. Coraz mniej między nami postaci takiego formatu. Coraz mniej autorytetów. Truskawki w Milanówku, z piosenki innego wielkiego nieobecnego Wojciecha Młynarskiego, zostały wyjedzone co do jednej.

Została tylko pusta salaterka: trochę udaje światowość, ale to i tak tylko lichy plastik. Podróba.

A Konwicki? Zamglone, ukryte pod ciemnymi okularami oczy Cybulskiego przed ostatnim *Saltem*, grymas bólu na twarzy Holoubka w *Lawie* według *Dziadów* Mickiewicza w momencie, kiedy Gustaw-Konrad przejrzał na wylot swoje zwycięstwo. Zwycięstwo, którego kresem będzie szlachetna klęska. Porażka ubrana w romantyczny kostium, ale pozbawiona sentymentalnej otoczki – oderwana od prywatnego i zbiorowego szczęścia. Odszedł po cichu jak siedem lat wcześniej jego przyjaciel Gustaw.

W tym filmie obaj jeszcze są. Jeszcze chwilę pobędą. Gigant aktorstwa, ale i gigant określonej postawy ludzkiej, nie tylko artystycznej. Punkt odniesienia. A obok niego Tadeusz Konwicki, jeden z najważniejszych dla mnie pisarzy, jeden z najważniejszych reżyserów, a jedno obok drugiego, jedno współbrzmi z drugim, co jest przecież wielką rzadkością.

W *Słońcu i cieniu* nie ma wspominek z planów filmowych i z literackich biesiad. Idą zgrabieni. Przez las, przez słońce, słońce i cień.

Egzaltowany ów tytuł, dziwnie pasuje. Bo obaj panowie wiedzą już, że cień jest za słońcem. Że nie będzie więcej opalania, wystawiania głowy ku światłu, że pewne rozdziały trzeba zamknąć, i pożegnać się na zawsze. Zobaczyć cień.

Idą zatem, zgarbieni, widz, który jest przede wszystkim słuchaczem, bo dla widza niewiele tutaj miejsca, również się garbi, przechyla. Nie widziałem siebie oglądającego ten film, ale wydaje mi się, że tak właśnie było, że się garbiłem. Wpółzgięty wpółsłuchałem, ale to, co usłyszałem, znowu mnie poruszyło.

Holoubek mówi o aktorstwie. Czym jest? Apologią, obroną inności. Aktor, czyli inny. Powinienem to zapamiętać na zawsze, bo jest piękne.

Inność, czyli pokazywanie siebie inaczej. I Holoubek przywołuje dzieci. Stroją się, przebierają, a to księżniczka, a to Spiderman. Chcą być inne. Chcą być inaczej. To ich zadanie i cel. Być inaczej, funkcjonować inaczej. To już jest aktorstwo. Często mija, większości mija, niektórym jednak nie.

Chwilę później: „Cieszyłem się na emeryturę, że nic nie będę musiał robić. I naraz, na tej emeryturze, przestały dzwonić telefony, coraz mniej i mniej, w końcu ustało. A dzwoniły zawsze. To jest chyba samotność, Tadziu, pomyślałem. I już nie chciałem emerytury”.

„Tadziu, a dlaczego my właściwie ciągle po tym lesie chodzimy?” „Bo był las, a nie było nas. Bo będzie las, gdy nie będzie nas”.

Zgarbieni znikają, wkrótce znikną naprawdę. Las trochę się zgarbił.

Łukasz Maciejewski - wykładowca na Wydziale Aktorskim Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi. Dyrektor artystyczny festiwalu Kino na Granicy w Cieszynie, ambasador projektu „Kultura Dostępna w Kinach”, kurator filmowy Małopolskiego Ogrodu Sztuki w Krakowie, członek kapituły Paszporty Polityki w kategorii „Film”, członek Europejskiej Akademii Filmowej i Międzynarodowej Federacji Krytyków Filmowych FIPRESCI.

Wyprawa na Giewont, rys. Andrzej Zaręba

Cud na Krzemionkach

Tekst: Mieczysław Czuma

Nie może być tak, aby w tym roku pod Wawelem obyło się bez jakiegoś jubileuszu. Takie numery to nie u nas. I dlatego Telewizja Kraków obchodzi właśnie 60-lecie swojego startu.

Jestem z tych dinozaurów, których redakcyjne legowiska znajdowały się przy ulicy Wróblewskiego 6. Studio mieliśmy na Szlaku w budynku rozgłośni radiowej, a z wozem transmisyjnym wędrowało się po muzeach, stadionach, salach koncertowych. Na ekranach telewizorów meldowaliśmy się planszą z fragmentem drzwi katedry wawelskiej i sygnałem w rytmie krakowiaka. I choć każde wejście na antenę objawiane było takim podniosłym akcentem, do widzów często trzeba było wysyłać wstydliwy komunikat: „Przepraszamy za usterki. Za chwilę dalszy ciąg programu".

Siermiężne zmagania miały się jednak zakończyć. Ze wzgórza na Krzemionkach coraz wyżej pięła się ku niebu wieża nowego ośrodka. Budowa była dziełem konspiratorów, prowadzono ją na przekór panującym tak zwanym przejściowym trudnościom. Druga połowa lat 60. minionego wieku to mroczny okres w dziejach gospodarki PRL. Ogólnonarodowy festiwal niemożności i to w najróżniejszych odsłonach. A to brak cementu, a to niedostatek stali, a to pustynia na rynku materiałów budowlanych.

W czasie którejś z gospodarskich wizyt uwagę pierwszego sekretarza rządzącej wtedy partii zwróciła strzelista konstrukcja wyrastająca na terenie Podgórza. Mocno zaintrygowanego gościa pospiesznie poinformowano, że to któryś z tutejszych zakonów buduje klasztor. Towarzysz Gomułka z głębokim przekonaniem stwierdził, że klechy nie mają wyobraźni, bo nigdy tego, co rozpoczęli, nie ukończą. No, chyba że liczą na cud. Jak się okazało cuda zdarzały się nawet i w PRL-u. W roku 1968 ruszył nowoczesny ośrodek telewizyjny na Krzemionkach.

W tamtych pionierskich zmaganiach odpowiadałem za program oznaczony wawelską planszą. Pierwszymi redaktorami byli bogaci stażem i obyci z mikrofonem radiowcy. Niebawem dane mi było wpuścić do tej niewielkiej zagrody stado młodych wilków ze stajni Zrzeszenia Studentów Polskich. Sami swoi. Pierwsi, jeszcze na Wróblewskiego, zameldowali się Maciek Szumowski i Leszek Mazan. No i Wandzia Nagórska, sekretarka z ZSP, która w przyszłości królować miała nad telewizyjną produkcją, koordynacją i nie tylko. Zaraz potem, już na Krzemionkach, pojawili się Zbyszek Święch, Wacek Kaczmarczyk, Leszek Aleksander Moczulski, Janek Pieszczachowicz. A jeszcze potem jeszcze i inni.

Nasycone wypasioną techniką pałacowe wnętrza do najwyższego stopnia rozpalały aspiracje całego środowiska. Aby temu sprostać, trzeba było wydrapać kawałek tortu podzielonego już pomiędzy wcześniej obecne na rynku duże stacje. Zasięg ogólnopolski okupiony był walką o czas antenowy i pieniądze. Jednym i drugim władały redakcje naczelne. Przed każdą pielgrzymką do Warszawy szło się więc do hotelu Cracovia, gdzie dwóch Stefanów (Jaśkiewicz i Przebindowski) wyczarowywało absolutne arcydzieła sztuki cukierniczej, słynne na cały kraj kremówki. Zamawiało się pięć, sześć porcji (po cztery ciastka w każdym opakowaniu) i odbywało z tym skarbem wędrówkę po centralnych gabinetach. Żaden z szefredaktorów nie miał prawa oprzeć się prośbom wspieranym tak smakowitymi argumentami.

Cała Polska z nabożeństwem oczekiwała na *Piórkiem i węglem*, niedzielne gawędy profesora Wiktora Zina o architekturze. A programy Maćka Szumowskiego *Polska zza siódmej miedzy* otwarły nową epokę w dziejach telewizji.

Na Krzemionkach rodziły się spektakle teatralne, powstawały programy muzyczne, oświatowe, rozrywkowe, dziecięce, trwał nieustający festiwal informacji. Cała Polska z nabożeństwem oczekiwała na *Piórkiem i węglem*, niedzielne gawędy Wiktora Zina o architekturze. Absolutny podziw budziły wyczarowywane ręką profesora na oczach widza magiczne detale i urzekające krajobrazy. Nową epokę w dziejach telewizji otwarły programy Maćka Szumowskiego *Polska zza siódmej miedzy*. To był szok, objawienie. Władza po raz pierwszy usłyszała rozchodzące się po eterze głosy ludzi pokrzywdzonych i niezadowolonych ze świata, który ich otacza. Emisja reportaży odbywała się zawsze pod wysokim napięciem. Pierwsze filmowe kadry były już na ekranie, a Maciek wciąż szlifował tekst i dopisywał (czasy pełnej synchronizacji obrazu i dźwięku miały dopiero nastąpić) kolejne zdania do lektorskiego komentarza. Trzeba mu było wyrywać kolejne kartki z maszyny, w biegu odbywać celebrę cenzorską i w drzwiach studia wręczać towar Krysi Szturc, inspicjentce, która przemykała między kamerami i kładła tekst na biurku Andrzeja Wiernika, lektora.

To tylko 60 lat. A wygląda, jakby działo się za Piasta.

Mieczysław Czuma – profesor krakauerologii, redaktor niehabilitowany.

Łukasz Stokłosa, *Olive Chancellor, Vanessa Redgrave*, olej na płótnie, 40 x 30 cm, 2018

Dziennik pandemiczny: Biszkopt w Demonie

Tekst: Iga Dzieciuchowicz

Pewnego dnia, jeszcze zanim świat stanął na głowie, czyli przed pandemią, Nina wróciła z dyskoteki z rozkwaszonym nosem. Demon w Zielonej Górze to mordownia, która ma trzy sale. W jednej grają techno rodem z piekła, w drugiej R'n'B, a trzecia to norka dla dziadersów i lecą tam utwory nieżyjących artystów country. Do tej sali Nina nawet nie zaglądała, bo target ma od dawna sprecyzowany – jej miłość życia albo chodzi dopiero do podstawówki, albo jeszcze się nie urodziła. Ostatnio podrywał ją jeden chłopak, ale po okazaniu dowodu osobistego został skreślony. Był jej rówieśnikiem, a więc był dla niej po prostu za stary. Rówieśnicy wpędzają Ninę w depresję, niedosłyszą, niedowidzą i wciąż łykają psychotropy. A w czasach pandemii potrzebny jest człowiek-respirator, a nie złodziej tlenu. Człowiek, który pachnie biszkoptami, przy którym czuć, że nam serce bije. Taki, który zapyta, czy nie zimno, i przyniesie drinka bez przypominania. Niezepsuty nieudanymi związkami. Taki, z którym można tańczyć do rana i nie będzie się wpraszał na chatę. Dlatego widełki ustawia Nina do lat 27, inaczej prześladuje ją śmierć, którą widzi w twarzy każdego, kto urodził się przed 1993. Takiego właśnie pięknego chłopaka śledziła Nina w Demonie. Widać było, że nie ma się z kim bawić. Nina polazła za nim nawet do sali dla dziadersów, w której leciał jeszcze żywy Simply Red. I to już był pierwszy zły omen.

Gdy akurat przechylała kieliszek z prosecco, ktoś popchnął na nią Biszkopta, za którym dreptała już dobry kwadrans. Kieliszek w zasadzie pękł Ninie na twarzy i natychmiast polała się krew. Biszkopt zareagował jak rycerz. Zdjął koszulkę i podał ją Ninie. Widok ten zadziałał na nią bardziej uśmierzająco niż morfina. Ktoś zaczął krzyczeć: Który ci to zrobił? Nina zastanawiała się, czy nie podać adresu któregoś ze swoich byłych, ale w tym rozdarciu – widoku gołej klaty Biszkopta i jego koszulki przyklejonej do nosa, jakoś nie mogła się zdecydować. A może było ich po prostu zbyt wielu. W każdym razie Biszkopt zaprowadził ją do pomieszczenia ochrony i tam mogła przyjrzeć mu się w naturalnym świetle. No, no! Oko to ona ma! Biszkopt mógłby zostać modelem, aż trudno było uwierzyć, że to rodowity Polak.

– Jedziemy na SOR, bo będzie blizna – zaproponował Biszkopt.

Nina już miała dobrze w czubie.

– Co ty, daj spokój, chodźmy na drinka do baru!

I tak Nina zamiast na SOR-ze, przesiedziała z Biszkoptem do szóstej. Nos rano przypominał dorodnego buraka, ale wspomnienie o Biszkopcie łagodziło wszystko.

Rok później Nina pożałowała swojego pijaństwa, a może to zapach koszulki Biszkopta po prostu odebrał jej rozum.

– Mamo, a co ty masz tutaj taki pagórek na nosie? – zapytał syn.

Nina rzuciła się do lustra. Nosz motyla noga, ***** ***! Faktycznie, na bliźnie po uderzeniu pojawiła się dziwna narośl. Laryngolog powiedział Ninie, że uratuje ją tylko operacja plastyczna i to za miliony monet.

Gdy było już po wszystkim, na sali pooperacyjnej leżały dwa inne nosy, uszy i biust. Nina zagadnęła panią w łóżku obok.

– I co, bolą cycki?

– Skąd, ból 3/10.

– Ile pani dała? – nachyliła się Nina do jej łóżka.

Iga Dzieciuchowicz – teatrolożka i feministka. Publikuje w „Dużym Formacie", „Tygodniku Powszechnym", portalu Onet.pl. i „Codzienniku Feministycznym". Współautorka książki *Bartoszewski. Droga*.

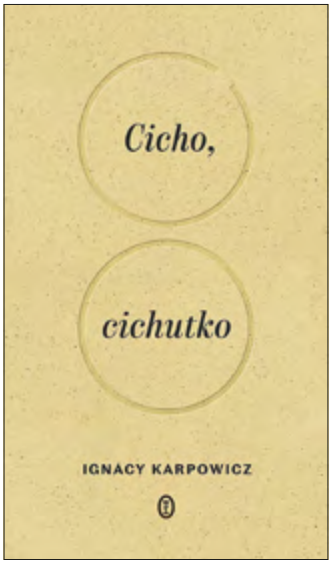

„Obiwoj Milinković miał szansę / zostać bohaterem tłumów (...)

Biegł z piłką prosto na bramkę / w decydującym meczu serbskiej trzeciej ligi (...) Gdy niespodziewanie / leciuteńkie ukłucie jednak wprost w mięsień serca /

Obiwoj Milinković upada / wraz z nim szanse na awans (...) Trzy i pół roku później / czas płonących wiosek / Obiwoj Milinković jeździ czołgiem / Jako mechanik, nie działonowy / Strzelać nikt mu / już nigdy nie pozwoli".

Recenzja ma być bezstronna, ale nie powinna ukrywać emocji. A Andrzej Duda (zbieg imienia i nazwiska kłopotliwy) jest nie tylko obiecującym pisarzem (powieść *Człowiek, a nie człowiek*), ale i moim serdecznym druhem.

Czy przez to jego debiutanckie wiersze czytam niewprawnie? Nie, tym bardziej że autor ma oko reportera i, tak!, scenarzysty (w tej formule ma duże osiągnięcia), co jest nie tylko rzeczą mi bliską, ale i sprawdza się w strofach wyrastających z doświadczenia codzienności. A więc cytowany *Bałkański kocioł* czy moje ulubione *Sierpniowe niedzielne popołudnie w samym środku świata*, gdzie „Media społecznościowe spokojnie donoszą, że Piotr Uss Wąsowicz napiłby się ze mną whisky". (Ten komunikat jest i dla mnie radosny!).

A że tomik wydany jest przestarannie – ilustracje Roberta Heczki warte są osobnych zachwytów – więc jest co wziąć w dłoń, a i rzucić okiem można bez bólu. Ale czasami „bez bólu" może oznaczać za mało. Dlatego, z wielką sympatią do druha mego Dudy, rzeknę: Wolę twoją prozę. (wb)

Andrzej Duda, *POPezje*, Wydawnictwo Media Zet, Piła 2021.

Jerzy Illg jest szczęściarzem. Dzięki swojej pracy wydawcy (a wykonuje ją w oficynie Znak przez już niemal cztery dekady), ale też – co pewnie ważniejsze – pasji do poezji miał w życiu szczęście poznać największych poetów naszych czasów. Miłosz, Szymborska, Lipska, Brodski, Heaney, Venclowa – to ledwie początek długiej ich listy. Już więc tylko dlatego jego – jak to nazywa – „opowieść o wierszach, poetach i poetkach" nie sprowadza się do zwykłej antologii i analiz utworów najważniejszych, ulubionych czy najpiękniejszych. Prezentowane wiersze opatrzone są bowiem w każdym przypadku osobną historią. A to znajomości czy przyjaźni z autorem, a to – w przypadkach, gdy do spotkania dojść nie mogło – opisem fascynacji dziełem, osobą czy losowymi perypetiami twórcy (Osip Mandelsztam, Bob Dylan, Leonard Cohen, Thomas Merton, Józef Czechowicz).

Przednim wierszom towarzyszą zatem przednie anegdoty. Efektem jest ze swadą napisana historia poezji minionego stulecia, a poniekąd także obecnych w nim nurtów obyczajowych, kulturowych, mentalnych i politycznych. Subiektywna oczywiście, lecz przez to dodatkowo zajmująca.

(kb)

Jerzy Illg, *Mój przyjaciel wiersz*, Znak, Kraków 2021.

Dziwnie się czyta, choć z zainteresowaniem, książkę, której tematem przewodnim jest ten sam co w mojej, wcześniej wydanej powieści *Diabły* (o Karpowiczu wspominam tam na str. 110). Mianowicie odebranie narzeczonego własnej siostrze. Problem wybaczenia lub nie, próba znalezieniu sensu w tym, co się wydarzyło. Rozrachunek z życiem. U Karpowicza cała pierwsza część to studium umierania, wręcz celebracja śmierci. U mnie postawione zostają pytania o to, co potem, po śmierci, u Karpowicza – co przedtem. Te obie książki są wbrew pozorom różne i jednocześnie podobne. Są jak awers i rewers tej samej monety. Bo są tematy ponadczasowe. Miłość, śmierć, zdrada. Istnieją od zawsze. Tak samo bolą. Tak samo unoszą – w to samo cierpienie, niespełnienie, odkupienie. Poza czas. Zmieniają się tylko dekoracje. Pytania o sens życia, winy i kary pozostają niezmienne. I tak samo trudne jest uporanie się z nimi. Każdy musi to zrobić we własnym sumieniu, zmierzyć się z nimi o własnych siłach. To właśnie konkluzja płynąca nie tylko z powieści Karpowicza, ale każdej, która podejmuje podobny temat. Cóż, literatura i sztuka wciąż karmią się tym, co głęboko ludzkie. Uczuciami, emocjami, tym co najbardziej nas obchodzi, doskwiera, przeraża, czasem łamie i niszczy. W sztuce odnajdujemy nie tylko naszą pojedynczość, ale przede wszystkim wspólnotę.

Elżbieta Wojnarowska

Ignacy Karpowicz, *Cicho, cichutko*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2021.

Niepozorna rozmiarem książeczka Jagi Słowińskiej tylko z pozoru zawiera treści niepozorne i skromne. Autorka zabiera nas bowiem w podróż, i to daleką. Poza granice życia i poza powszechnie rozumianą śmierć. Życie i śmierć splatają się tu bowiem w nieoczywisty kolaż. A splatają je pamięć, pragnienie, tęsknota, nieutulona potrzeba powrotu i niepogodzenia. Mozaika tych stanów jest przejmująca, tym bardziej że doświadcza ich mały chłopiec. Nikt z nas nie potrafi pogodzić się z utratą. To najbardziej boli, nie pozwala przejść do bezbólu. Trudno więc dziwić się dziecku. Cierpienie niestety nie uszlachetnia. Ale może stać się próbą zmierzenia z losem, odwrócenia nieuchronnego. Czy nikt z nas nigdy rozpaczliwie tego nie próbował? Takiej walki? A przynajmniej o tym nie myślał? Dorośli wiedzą, że sprawa jest beznadziejna. Mały chłopiec się nie zastanawia. On działa. Instynktownie, jak małe zwierzątko. Dokąd zaprowadzi go ta droga, w którą się udał? Z pewnością daleko. Droga to żmudna i nieprzewidywalna. Tylko dziecko może się na nią poważyć. Bo nie zdaje sobie sprawy z konsekwencji. To powinno dać dorosłym do myślenia. I daje. Bo o tym właśnie jest ta książka. Pisana z marzeń o spełnieniu, które tak naprawdę nigdy się nie spełni, bo spełnić nie może. Ale marzyć można. A nawet powinno.

Elżbieta Wojnarowska

Jaga Słowińska, *Czarnolas*, Korporacja Ha!art, Kraków 2021.

„Niemieccy chłopcy na etapie Pimpfów wydają się ukształtowani z żelaza i nabożnej nadziei na śmierć za Führera. Odwiedziłem obóz Pimpfów w Saksonii, niedaleko Drezna, gdzie maluchów trzymano przez kilka tygodni, by ich zahartować. (...) Teraz sadowili się wokół ogniska na wspólny śpiew. W ciągu poświęconej na to godziny nie słyszałem żadnej piosenki wyrażającej delikatniejsze uczucia: przyjaźni, miłości do rodziców, miłości bliźniego...".

W 1939 roku George Ziemer, dyrektor Szkoły Amerykańskiej w Berlinie, odwiedził instytucje edukacyjne III Rzeszy. Poznaje prawdę o systemie budowania nowego człowieka – wiernego tylko ideologii nazistowskiej. Profesor de Barbaro zauważa we wstępie, że było to możliwe dzięki kłamstwu, które wskazywało wrogów jako przyczyny wszelkiego zła dziejącego się ludziom. „W hitlerowskich Niemczech wrogami byli Żydzi, osoby homoseksualne, osoby odmiennych narodowości".

Jeśli zaś ktoś uważa, że III Rzesza i IV RP to coś zupełnie innego, niech przypomni sobie doświadczenie z żabą: wrzucona nagle do gorącej wody, wyskakuje z niej natychmiast, ale gdy zostanie umieszczona w chłodnej wodzie, stopniowo doprowadzanej do wrzenia, da się ugotować.

Oto, co się dzieje, gdy edukację oddajemy w ręce fanatyków, a państwo (i szkolnictwo) podporządkowane jest jednej ideologii, jednemu „izmowi".

Nieważne, czy nazywa się faszyzm, komunizm czy narodowy katolicyzm

(wb)

Gregor Ziemer, *Jak wychować nazistę. Reportaż o fanatycznej edukacji*, Znak Literanowa, Kraków 2021

Kojarzymy go oczywiście z wielkimi filmami. Dość wspomnieć *Lekcję martwego języka*, *Zazdrość i medycynę* czy *Zaklęte rewiry*. Ale przecież dobry reżyser wśród swoich talentów musi mieć także umiejętność budowania narracji i – po prostu – opowiadania historii. Nie powinno więc dziwić, kiedy ogłasza też dzieła prozą.

W opowiadaniach Janusza Majewskiego czuć ucho (w dialogach) i oko (w opisach) filmowca. Widać też życiowe doświadczenie – bo to jego efektem jest dystans do rzeczywistości i zrozumienie niuansów ludzkich wyborów. Prócz nut ironicznych są jednak także nuty liryczne – co też jest dowodem znajomości losu.

Nie ma sensu zdradzać tu tematów kolejnych opowiadań. Dość wspomnieć, że trzy z nich związane są – co znamienne – z Brunonem Schultzem, w innych można doszukać się wątków wspomnieniowych. Także związanych z Krakowem. Perełką jest choćby zamieszczony w odautorskim posłowiu opis napotkanego na Tandecie „ciekawego faceta": „Pod oczami miał wory, nos prawie fioletowy od spożywanego zapewne denaturatu i nucił jedną frazę, fragment melodii i cztery słowa: »Maleńka, maleńka, maleńka i zdolna...«. Tylko tyle, ale wciąż to powtarzał i znowu się zamyślał, jakby wspominał jakieś wydarzenie, jakąś osobę. Było w tej krótkiej frazie tyle tęsknoty, tyle żalu i rozpaczy, że mną wstrząsnęło – zapamiętałem to na całe życie. Stało się dla mnie najczystszym przykładem nostalgii i tęsknoty za czymś, co już uleciało i nigdy nie wróci". (kb)

Janusz Majewski, *Maleńka. Opowiadania*, Marginesy, Warszawa 2021.

Nawet myśliwy nie może zabić ptaka, który leci w jego stronę w poszukiwaniu schronienia

stare samurajskie przysłowie

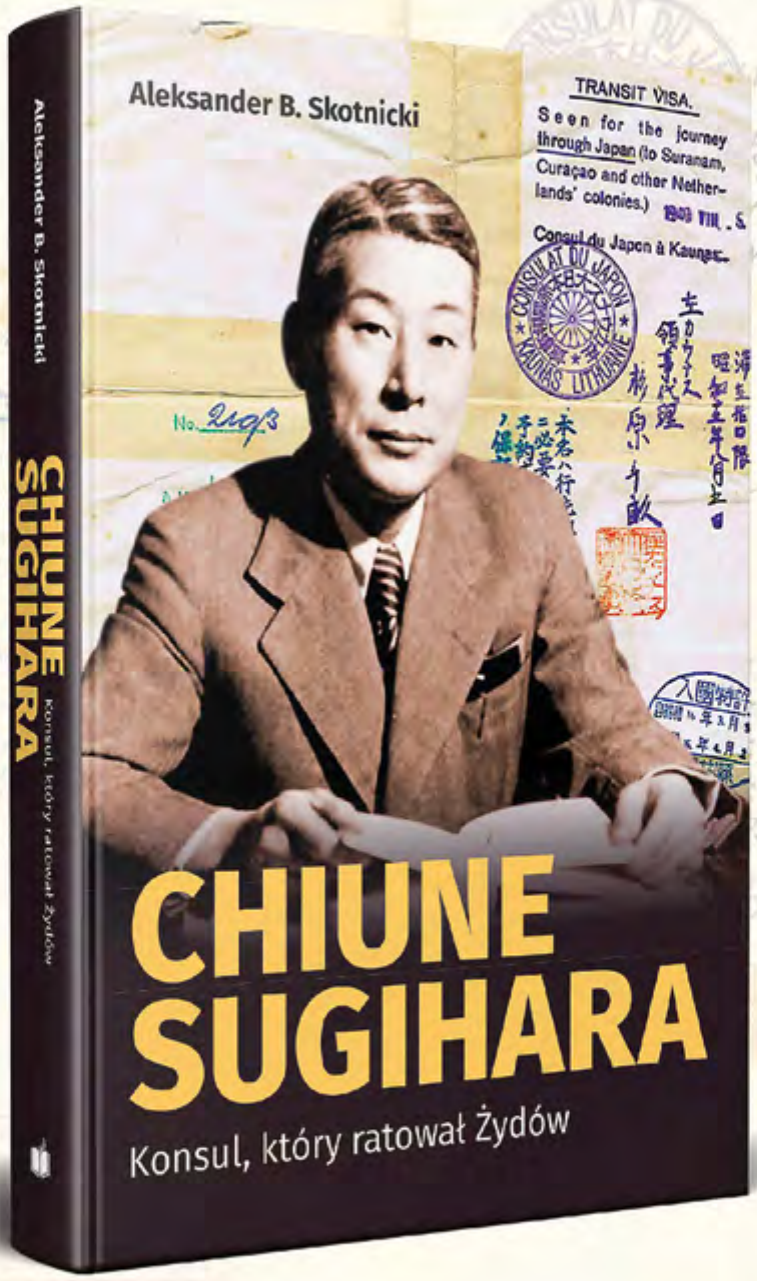

Aromat Słowa

Oni nie dają władzy zamknąć sobie ust

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec **Zdjęcie:** z archiwum i dzięki uprzejmości Fundacji Grand Press

Adam Bodnar, Agnieszka Jankowiak-Maik, Andrzej Poczobut oraz Marian Turski otrzymali Medale Wolności Słowa.

W czasach, kiedy władza robi wszystko, by zamknąć usta ludziom, którzy nie boją się mówić prawdy, przyznane po raz pierwszy przez Fundację Grand Press Medale Wolności Słowa mają szczególne znaczenie. Czuli to wszyscy, którzy wzięli udział w wydarzeniu odbywającym się w Europejskim Centrum Solidarności w Gdańsku.

– Zniszczenie polskich mediów publicznych, przejęcie przez państwo prasy regionalnej oraz lex TVN – próba przejęcia kontroli nad największym prywatnym nadawcą telewizyjnym – to już nie są sygnały ostrzegawcze. To powody do alarmu. Alarm ten głośno i odważnie wszczynają kandydaci do Medalu Wolności Słowa – powiedziała Weronika Mirowska, prezeska Fundacji Grand Press, która wraz z Věrą Jourovą, wiceprzewodniczącą Komisji Europejskiej, wręczyły medal w kategorii „Instytucja" Adamowi Bodnarowi. Ten fakt szczególnie nas cieszy, gdyż także miesięcznik „Kraków" razem z prezydentem Jackiem Majchrowskim przyznał byłemu rzecznikowi praw obywatelskich wyjątkowe wyróżnienie w postaci Medalu „Za mądrość obywatelską".

W Gdańsku Adam Bodnar podkreślił, że Medal Wolności Słowa odbiera w miejscu, gdzie warto przypomnieć trzy liczby 14, 54, 213. To właśnie w tych artykułach konstytucji mowa jest o wolności słowa. – Nie bez przyczyny preambuła mówi, że powinniśmy być pomni gorzkich doświadczeń, kiedy podstawowe prawa wolności były w naszej ojczyźnie łamane. Nie pozwólmy, żeby były one łamane ponownie – apelował podczas uroczystości Adam Bodnar.

Jeszcze bardziej emocjonalny charakter miało wystąpienie Bartosza Wielińskiego z „Gazety Wyborczej", który odbierał nagrodę w imieniu siedzącego w białoruskim więzieniu Andrzeja Poczobuta: – Andrzej jest osobą, która jest niepokorna i walczy o wolność słowa jak żaden z nas. Jestem z tego dumny, ale jest mi też cholernie wstyd, bo moje państwo zawodzi w sprawie Andrzeja, bo was nie ma, panowie ministrowie. (...) Gdzie jesteście dzisiaj, gdy polski dziennikarz, działacz polskiej mniejszości, siedzi za kratami, chory, samotny i nie ma żadnej pomocy? Tego już się nie da przekuć na głosy i lepsze sondaże. Was nie ma. Jest mi wstyd. Tej hańby nic nie zmyje – powiedział łamiącym się głosem dziennikarz.

Andrzej Poczobut otrzymał medal w kategorii „Media". Natomiast w kategorii „Obywatel" nagrodzona została nauczycielka historii Agnieszka Jankowiak-Maik, nazywana Babką od Histy, aktywistka, która nie milczała, gdy politycy atakowali mniejszości seksualne, i zawsze śmiało reagowała na próby propagandowego wykorzystywania w szkole historii i całego systemu edukacji. Jak podkreślono, dzięki takim nauczycielom jak ona wolność słowa nie będzie tylko pustym hasłem.

Pustym hasłem nigdy nie była i na pewno nie będzie również dla Mariana Turskiego, który otrzymał Medal Specjalny Wolności Słowa za bycie „Świadkiem". Jak stwierdzili organizatorzy wydarzenia, dziennikarz i działacz społeczny, były więzień Auschwitz-Birkenau, jest autorem jednego z najważniejszych polskich przemówień. Marian Turski wygłosił je podczas obchodów 75. rocznicy wyzwolenia obozu, apelując byśmy nie byli obojętni, bo inaczej jakieś Auschwitz spadnie nam znowu z nieba. – Musimy być też uważni. Słowo może zabijać – ostrzegał zaś w swoim przesłaniu do uczestników gali w Europejskim Centrum Solidarności.

Zadbaj o siebie i świat

Tekst: Janusz M. Paluch

Mer de Glace to nazwa lodowca we francuskich Alpach, który w ostatnim czasie dotyka przyśpieszona erozja. Rocznie ubywa go 40 metrów! To również tytuł najnowszej książki Małgorzaty Lebdy. Choć można *Mer de Glace* uznać za nowe otwarcie w twórczości poetki, to książka jest świadomą kontynuacją wartości, jakie niosły poprzednie jej tomy.

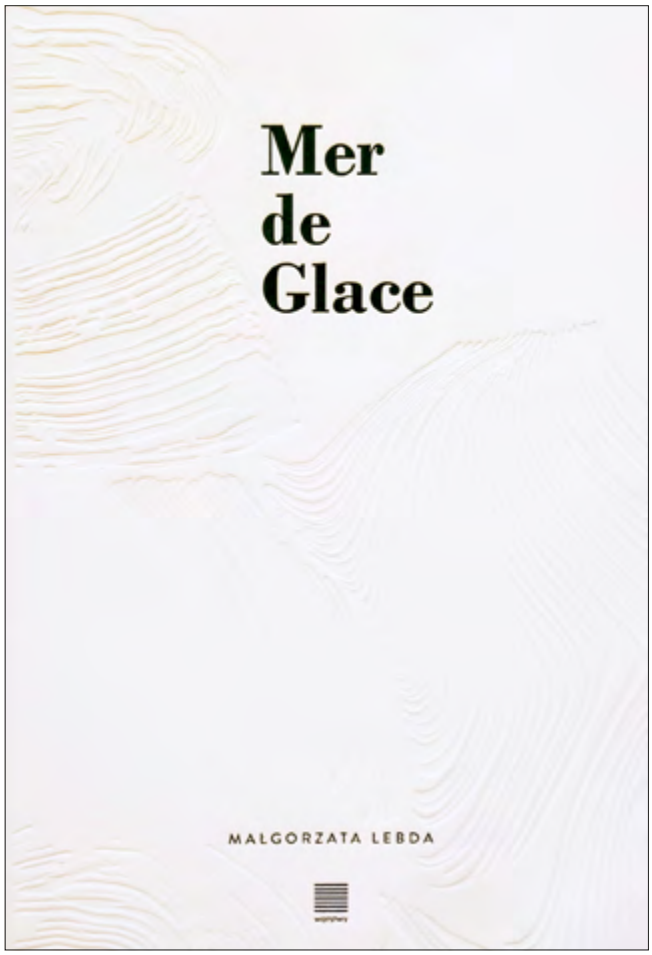

Poetyckie życie *Mer de Glace* toczy się „w wilgotnej dolinie", którą oczyszcza zimna woda, a światło wpływa uspokajająco nie tylko na człowieka, bo kiedy – pisze autorka – „zapalam światło, zwierzęta zamykają pyski. Gaszę. Otwierają" (*Próba jasnego*). Poetka z jednej strony nie chce spoglądać w przeszłość. Z drugiej – przyszłość, czyli „trwający koniec świata", umyka w bezwolnym biegu codzienności, „są bowiem sprawy ważniejsze: zażyć rano tabletkę euthyroxu, umieścić ćwiartkę / doxybactinu w pyszczku kota. I jeszcze nakarmić psy (...) ". Dominuje teraźniejszość dyktująca rytm życia.

W tomie zwraca uwagę cykl kilkunastu numerowanych utworów *Z ciała*. Rozrzucone są po całej książce. Trzeba je poskładać, by zabrzmiały pełnym głosem. To rozważania nad ciałem: jak je zadowolić, o czym mu nie mówić, czego nie przypominać, by było posłuszne i dało się w pełni wykorzystać, bo „Jeśli ciało jest wdzięczne, praca mięśni / przypomina dobry wiersz" (*Z ciała: trzy*). Pamiętajmy, że poetka jest także ultramaratonistką.

Wyraźnie wyodrębniony jest, i także rozmieszczony wśród innych wierszy, cykl sześciu utworów pisanych prozą poetycką – *Pory miejsc*. Połączone sekwencje myślowych skrótów, jakby notatek z kalendarza, by nie uronić chwili. Te utwory to jak przyspieszony, przewijany w poszukiwaniu czegoś ważnego film, swoiste stop klatki pochodzące z różnych miejsc, zapisane o różnych porach roku, które mogą zmienić się w wiersz. Czas wtedy się zatrzymuje i pozwala poetce skoncentrować naszą uwagę na istotnych problemach naszych czasów.

To bowiem książka pisana „w czasie trwania końca świata". Już samym tytułem wpisuje się w ekopoezję. Moda? Nie w przypadku Lebdy! To świadome ostrzeżenie przed katastrofą, ku której zmierza świat. A przecież były czasy, kiedy „wody Sawy i Dunaju leniwie łączyły się, / niepopędzane żadną z burz" (*Sawa, Dunaj*). Były...

Czy dlatego najnowszym projektem Małgorzaty Lebdy jest samotny bieg wzdłuż nurtu Wisły, od źródeł aż po ujście? Wyzwanie nieliche! Ponad 1100 km!

Małgorzata Lebda, *Mer de Glace*, Wrocławskie Wydawnictwo Warstwy, Wrocław 2021.

Tu pada tylko brudny śnieg

Śnieg, który pada w Teatrze Łaźnia Nowa, nie jest białym, delikatnym puchem. Czarne, gęste płatki pojawiają się wraz z dymem wydobywającym się z pistoletu, którym przed chwilą fundamentalistyczny fanatyk zastrzelił profesora. I do końca spektaklu opartego na genialnej powieści Orhana Pamuka *Śnieg* nie odzyskają niewinnej czystości. Przedstawienie Bartosza Szydłowskiego nie przynosi optymistycznej diagnozy, a historia, która wydarzyła się w małym, tureckim miasteczku, niebezpiecznie przystaje do tego, co dzieje się tu i teraz w Polsce. Ale nie tylko.

Kiedy Szydłowski rozpoczynał pracę nad *Śniegiem*, nie miał pojęcia, co stanie się w Afganistanie. Wybierając z książki noblisty interesujące go wątki, myślał pewnie, że sprawa chust na głowach muzułmanek świetnie konweniuje z protestami walczących o swoje prawa kobiet w Polsce. Nagle okazało się, że poruszany na scenie problem staje się jeszcze bardziej aktualny w kontekście tego, co właśnie robią talibowie. Opowieść o tym, jak niebezpieczne bywają ideologie i religijne fanatyzmy, wybrzmiewa w dwójnasób.

Przekonuje się o tym nie tylko światły profesor, który chciał, by w jego szkole obowiązywały zasady państwa świeckiego, za co zostaje zabity przez niebezpiecznego radykała (znakomity Daniel Dobosz), ale też główny bohater przedstawienia – poeta Ka (świetny Szymon Czacki). Wraca on do Turcji z Frankfurtu, by pochować matkę i odnaleźć swoją dawną miłość. Podejmuje się też przeprowadzenia dziennikarskiego śledztwa, by dowiedzieć się, dlaczego w jego rodzinnym miasteczku młode kobiety popełniają samobójstwo. Przyjazd do odciętej od świata prowincjonalnej dziury, która na scenie zyskuje klaustrofobiczny wymiar za sprawą szarej jak zasunięte sklepowe rolety scenografii Małgorzaty Szydłowskiej, staje się dla niego powrotem do świata trudnego do przyjęcia przez człowieka Zachodu. Nie może on zaakceptować sytuacji, w której media zostają zawłaszczone przez rządzących, a gazety przynoszą jedynie fake newsy, uzurpując sobie prawo do pisania z wyprzedzeniem o tym, co się stanie.

Ka przyjechał tu ze świata demokracji, gdzie słowo „wolność" nie jest tylko abstrakcyjnym pojęciem. Jednym z piękniejszych fragmentów przedstawienia jest opowieść Ka o rodzinie niemieckiego dziennikarza, do której przyciągała go normalna, pogodna miłość, jaką obdarzali się jej członkowie. W tureckim miasteczku to się nie zdarza, tam fundamentaliści ingerują w intymność obywateli, a polityka naznacza ich życie. Tak dzieje się w przypadku terrorysty Granatowego i młodziutkiej Kadify (Aleksandra Przybył), która dla ukochanego nosi chustę. W ostatniej scenie przedstawienia, zdominowanej przez ekspresyjną choreografię Dominiki Knapik, dziewczyna ściąga z głowy symbol zniewolenia kobiet, by za chwilę popełnić samobójstwo. Szydłowski nie pozostawia nas z optymistyczną wizją przyszłości. Happy endu nie będzie, a śnieg pozostanie wciąż czarny, jeżeli nie znikną wszystkie fanatyzmy, niezależnie od tego, z jaką religią związane.

Wędrówka przez kamienny las

„Na czele kroczy zgrzybiały, a cudownie młody, pełen ognia i zapału Hoksaj, pracownik niestrudzony, twórca stu tysięcy dzieł, podpisujący się: starzec dotknięty obłędną manią rysowania" – pisał Feliks „Manggha" Jasieński, dodając, że twórca najpiękniejszych japońskich drzeworytów, kiedy szedł przez wieś, podpierając się kosturem, szeptał buddyjskie modlitwy, by nikt nie ośmielił się przeszkodzić mu w rozmyślaniach o sztuce. Teraz my możemy w skupieniu podążać za nim, wybierając się na wystawę *Hokusai. Wędrując…*, prezentowaną do 5 grudnia w Muzeum Narodowym w Krakowie. To podróż przez kamienny las, bo tak skojarzyła mi się aranżacja wystawy z przystankami przy zachwycających swoją urodą, kolorystyką i niebywałą precyzją drzeworytach mistrza. Obejrzymy tu najsłynniejszą serię jego prac zatytułowaną *Trzydzieści sześć widoków góry Fuji* – z *Wielką falą w Kanagawa Kanagawa-oki nami-ura* na czele. Ale wrażenie robią też inne krajobrazy, szczególnie przedstawiające wodospady, a także sceny rodzajowe, ukazujące najważniejszy trakt handlowy Tōkaidō i ludzi nim podróżujących. Zachwyciła mnie sala wypełniona lodowymi bryłami, na ich tle świat duchów z *Opowieści przy stu knotkach* stał się jeszcze groźniejszy. Patrząc na te prace, można zrozumieć, do czego nawiązują współczesne komiksy manga. Zresztą Feliks „Manggha" Jasieński, z kolekcji którego pochodzi najwięcej prezentowanych tu drzeworytów, właśnie od Hokusai wziął swój pseudonim.

Wandę przykryła niebieska wstążka

Lepszego miejsca na prapremierę skomponowanej przez Joannę Wnuk-Nazarową opery *Wanda*, dzieła opartego na misterium scenicznym Cypriana Kamila Norwida, nie można sobie było wyobrazić. W końcu gdzie jak nie na Wawelu może wybrzmieć najlepiej historia władczyni, która musiała złożyć w ofierze swoje życie. Przygotowany przez Operę Krakowską spektakl w reżyserii Waldemara Zawodzińskiego można określić jako zachowawczy, co najlepiej obrazuje finał. Śmierć Wandy w nurtach Wisły została tu przedstawiona nader symbolicznie za pomocą niebieskiej wstążki, położonej na ciało władczyni. Za to w pamięci pozostaną mi na pewno przejmujące partie chóru, którego robiący wrażenie śpiew niósł się w nocy po zamkowym dziedzińcu. Oraz wygłoszona z kartki długa mowa ministra kultury Piotra Glińskiego, który na swój sposób zinterpretował dzieło Norwida, doszukując się w nim wątków ewangelicznych i porównując Wandę do Jezusa Chrystusa.

Opracowała Magda Huzarska-Szumiec

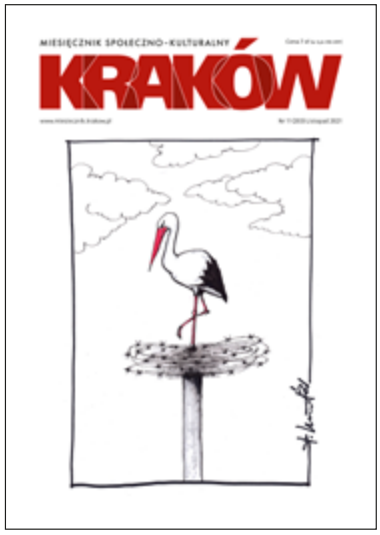

W najbliższym numerze między innymi:

O narodowcach, którzy zabrali niepodległość

Bój o otwartą Rzeczpospolitą

Jarosław Mikołajewski
Wrażliwość poety

Paweł Smoleński
Wrażliwość reportera

Marcin Wicha o Malewiczu

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
KRAKÓW
ISSN 1733-0459 Indeks 388726

Miesięcznik społeczno-kulturalny „Kraków”
Wybierz Kraków!
Nic, co krakowskie, nie jest nam obce

Wydawca: Biblioteka Kraków
Adres Redakcji i Wydawcy:
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków.
Kontakt: tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82,
e-mail: redakcja@biblioteka.krakow.pl
www.miesiecznik.krakow.pl

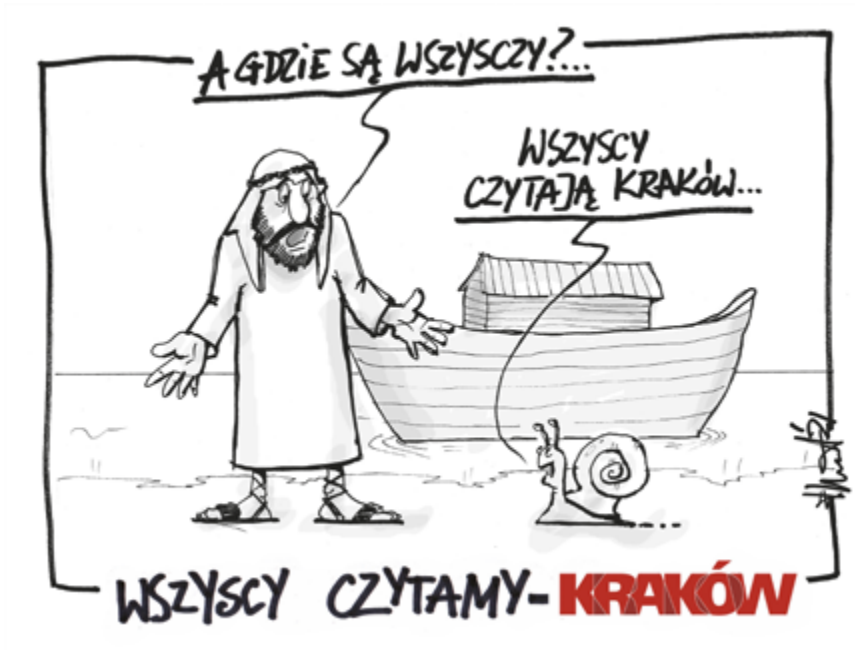

Pismo tworzą: Jacek Balcewicz, Witold Bereś (redaktor naczelny – witold.beres@biblioteka.krakow.pl), Krzysztof Burnetko (sekretarz redakcji – krzysztof.burnetko@biblioteka.krakow.pl), Piotr Błachut, Mieczysław Czuma, Ewa Danowska, Iga Dzieciuchowicz, Zofia Gołubiew, Paweł Głowacki, Krzysztof Jakubowski, Paweł Kopeć, Ewa Kozakiewiczowa, Ewa Lipska, Majka Lisińska-Kozioł, Wojciech Machnicki, Maria Malatyńska, Magdalena Miśka-Jackowska, Magdalena Oberc, Janusz M. Paluch, Jan Pieszczachowicz (redaktor senior), Sylwia Pyzik, Andrzej Romanowski, Anna Stafiej, Katarzyna Siwiec, Magda Huzarska-Szumiec, Elżbieta Wojnarowska, Anna Woźniakowska, Jakub Wydrzyński
Fotografowie: Grzegorz Kozakiewicz, Alicja Rzepa, Piotr Uss Wąsowicz, Danuta Węgiel, Jan Zych.
Layout: Igor Banaszewski
Strona internetowa: Piotr Rachwaniec
Adiustacja i korekta: Anna Szczepańska-Krasoń, Janusz Krasoń
Druk: Drukarnia KOLUMB

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzega sobie prawo skracania, adiustacji i opracowania redakcyjnego tekstów oraz zmiany ich tytułów. Przedruki tylko po uzyskaniu zgody wydawcy i z zamieszczeniem adresu źródłowego.
Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

Polecamy prenumeratę bezpośrednio u wydawcy!

Prenumerata redakcyjna gwarantuje stały i bezpośredni kontakt z naszym czasopismem, które nie jest dostępne w każdym kiosku.
Kontakt: Aneta Mastela-Książek
aneta.mastela@biblioteka.krakow.pl,
tel.12/61 89 120
Numer konta na wpłaty na rzecz miesięcznika, w tym na prenumeratę: Biblioteka Kraków,
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków
Numer konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528

Opis: prenumerata miesięcznika Kraków (tu adres wysyłki)
Prenumerata roczna – taniej, pewniej, do domu!
(11 numerów, w tym wakacyjny)
– dla odbiorców mieszkających w kraju: **70 zł**
– dla mieszkających za granicą: **190 zł** (poczta priorytetowa, USA, Kanada, Australia) i **150 zł** (poczta zwykła, Europa).
W prenumeracie zamawianej na krótszy okres (np. do końca br.) koszt jednego numeru wraz z wysyłką wynosi **7 zł** w kraju i **12 zł** za granicą.
Prosimy o podanie adresu, pod jaki pismo ma być dostarczane! Wysyłka rozpoczyna się od pierwszego numeru wydanego po dniu wpłaty.
Numery archiwalne: cena wraz z wysyłką – **7 zł** za egz. **Więcej informacji:** www.miesięcznikkrakow.pl, Facebook: https://www.facebook.com/miesiecznikkrakow/?ti=as. Ponadto prenumeratę realizują: **RUCH**, **KOLPORTER**, **GARMOND** – szczegóły na witrynach internetowych kolporterów.

W sieci kultury

Opracował Piotr Rachwaniec

Culture.pl
9 września zmarł Wiesław Gołas – jeden z najbardziej wszechstronnych polskich aktorów, a i człowiek wielkiego formatu. Obszerny tekst o aktorze można znaleźć na portalu Culture.pl

https://culture.pl/pl/tworca/wieslaw-golas

„Gołas był aktorem wszechstronnym – grał role komediowe i dramatyczne, występował na scenie, w filmie i w kabaretach. Debiutował w 1954 roku w Teatrze Dolnośląskim w Jeleniej Górze rolą Papkina w *Zemście*. W połowie 1955 roku wrócił do Warszawy i zaczął występować w Teatrze Domu Wojska Polskiego. W 1958 roku zagrał u Ewy Bonackiej Gila w *Paradach* Jana Potockiego. Po wystawieniu tej sztuki przez Teatr Dramatyczny w kwietniu 1959, w paryskim Teatrze Narodów prasa francuska pisała (cytat za Elżbietą Smoleń-Wasilewską, „Film"): »Jeden z aktorów jest po prostu sensacyjny (nazywa się Wiesław Gołas) i umie wszystko: grać komedię – oczywiście, ale także śpiewać, tańczyć, grać pantomimę i pojedynkować się tak, jak nikt się na naszych scenach nie pojedynkuje«.

(...) Maciej Maniewski tak określił charakter jego aktorstwa: »Najczęściej grywa ludzi prostych, zwyczajnych. Umie jednak z tych pozornie nieefektownych postaci wydobyć zaskakujące rysy, uderzyć w niespodziewane tony, szarość przełamać dodatkiem bardziej intensywnych barw. I nawet jeśli to figury na pierwszy rzut oka spod ciemnej gwiazdy, w ostatecznym rozrachunku wywołują uczucie zdecydowanie pozytywne«.

(...) Aktor był znany ze wspaniałych zdolności imitatorskich i improwizacyjnych. Doskonale czuł się w świecie slapsticku i surrealizmu, gdzie każdy okazywał się kimś innym, niż się początkowo wydawało. Elżbieta Smoleń-Wasilewska pisała w »Filmie«: »O możliwościach aktora świadczą wycyzelowane mikroformy kabaretowe. (...) Gołas tworzy postacie jakby od niechcenia, ale wiadomo, ile trudu kosztuje podobna lekkość«".

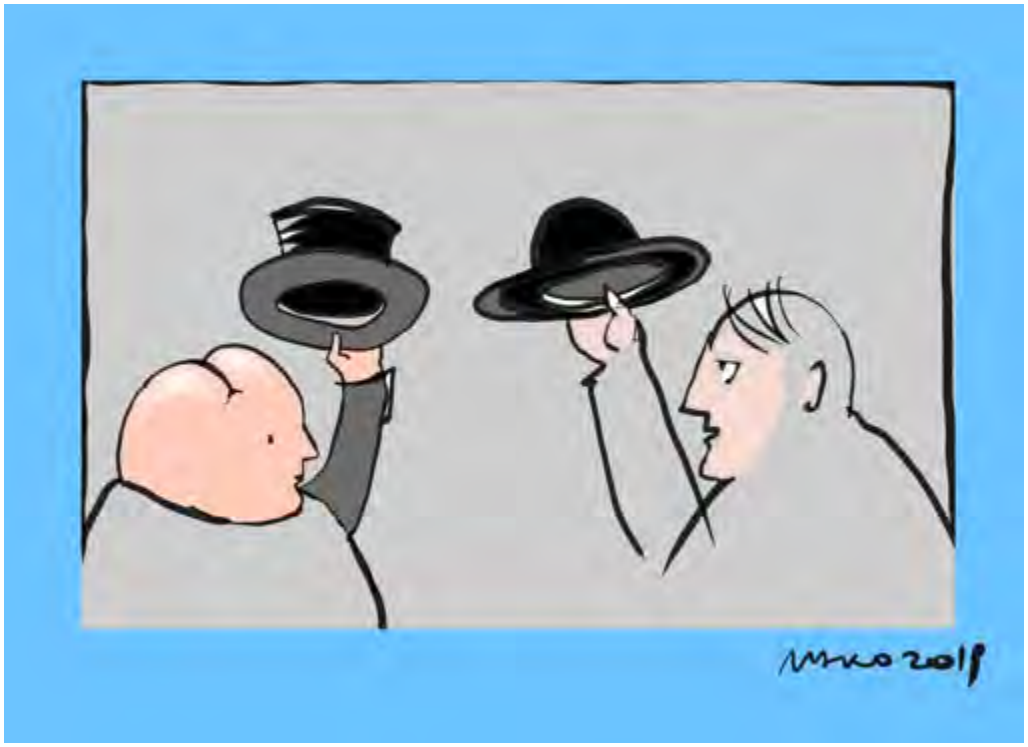

Rys. Marek Braun

Opisała Magda Huzarska-Szumiec

Cicho sza w Muzeum Narodowym!

To dobra wiadomość dla tych, którzy lubią kontemplować sztukę w ciszy i spokoju. Ale także dla tych, którzy z przyczyn rozmaitych dolegliwości, takich jak spektrum autyzmu, źle reagują na bodźce zewnętrzne. Otóż w Muzeum Narodowym w Krakowie wprowadzono od pierwszego września ciche godziny. Będą one obowiązywać w każdą pierwszą środę miesiąca przez dwie ostatnie godziny przed zamknięciem muzeum. Na te sto dwadzieścia minut zamilknie muzyka i multimedia, przygasną światła i nie pojawią się zorganizowane grupy zwiedzających. Ciszą można się rozkoszować w każdą środę. Chętni do posmakowania sztuki proszeni są o rozmowy szeptem i wyłączenie dzwonków w swoich telefonach. A nam marzy się rozszerzenie tej znakomitej idei także na inne sfery życia. Ot, chociażby na środki komunikacji miejskiej, gdyż do dziś brzęczy nam w uszach piskliwy głos pewnej damulki, która na pół tramwaju przekazywała komuś po drugiej stronie słuchawki przepis na zupę pomidorową.

Wyskokowa betoniarka

Od czasu do czasu i przede wszystkim z należytym umiarem trącamy tu delikatnie jakiś wątek alkoholowy. Okazji do wpłynięcia ponownie na wody spirytualiów dostarczyła nam jedna z firm destylujących whisky. Przybyła do Krakowa, zajeżdżając pod Tauron Arenę… betoniarką. Jednak w brzuchu pojazdu nie było żadnego budulca, gdyż „gruszkę” wypełniał złocisty, wysokoprocentowy płyn. I jak to zwykle bywa, cała ta degustacyjna akcja podzieliła niemałe rzesze krakowian na jej zwolenników i przeciwników. Ci drudzy argumentowali swoją dezaprobatę między innymi kreowaniem wizerunku miasta jako miejsca niewybrednych rozrywek. Z kolei ci pierwsi opowiadali o poczuciu humoru i zachowaniu, *nomen omen*, zdrowego rozsądku. Sam pomysł pożenienia whisky z betoniarką wydaje się rzeczywiście zabawnym, a na dodatek skutecznym chwytem reklamowym. A sama betoniarka namieszała, zamieszała i po czterech dniach najzwyczajniej odjechała.

Tajemniczy darczyńca

To jedna z najpilniej strzeżonych tajemnic naszego magistratu. Można ją bez przesady opatrzyć sygnaturą tajne/poufne. Sprawa nie dotyczy jednak afery szpiegowskiej, ale Krakowskiego Centrum Muzyki. Otóż w lutym tego roku urzędnicy miejscy zaksięgowali przelew 10 milionów złotych na budowę Centrum Muzyki w Cichym Kąciku. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że ową kwotę przelał tajemniczy darczyńca, który postanowił pozostać… anonimowy. Sprawa budzi pewne kontrowersje, także prawne, gdyż kwota jest niebagatelna. O dobrodzieju wiemy tylko tyle, że nie jest Polakiem, pochodzi z Londynu i jest związany z branżą IT. Przypomina nam się pewien inny darczyńca – bezdomny pan, który, również anonimowo, podarował pewnemu redemptoryście luksusowe limuzyny. Żarty, żartami, ale gest londyńczyka należy nie tylko docenić, ale również z podziwem podawać za przykład bezinteresownego mecenatu. Ów pan zadeklarował jedynie, że kiedy w wybudowanym już centrum pojawią się tabliczki z nazwiskami darczyńców, ujawni także swoje. I coś nam mówi, że motywacja do popełnienia tego szlachetnego czynu będzie zasługiwać na osobną historię.

Kapeluszomat

– A pamiętacie kochani tego romskiego skrzypka, który tak pięknie grał na Rynku? – zapytała nas pani Danusia, którą spotkaliśmy na Plantach podczas jej, a także naszego, codziennego spaceru. – Tak dziwnie trzymał skrzypce, ale grał, że aż człowieka coś w sercu ściskało. Zawsze mu wrzuciłam parę groszy – dodała. Pana Stefana i jego genialną muzykę oczywiście pamiętamy, choć nie wiemy, jakby dziś zareagował na fakt, że ulicznym grajkom można już płacić… elektronicznie. Bo właśnie pojawił się na Rynku służący do tego celu datkomat, zwany dowcipniej kapeluszomatem. Ma on zastąpić tradycyjną i jakże romantyczną metodę płacenia grajkom przez wrzucenie stosownej kwoty do leżącego na ziemi kapelusza. Kapeluszomat ma kształt kolumny doryckiej zwieńczonej betonowym kapeluszem i, rzecz jasna, posiada terminal płatniczy. Nie będzie jednak stałym elementem pejzażu Rynku. Zjawi się od czasu do czasu, służąc za każdym razem innemu twórcy, skupionemu wokół projektu Artyści Uliczni Krakowa. W kościołach tackomaty, na ulicy kapeluszomaty – oto kolejne znaki naszych czasów. Choć trochę żal tych lat, kiedy panu Stefanowi można było odpłacić za chwile wzruszeń paroma brzęczącymi monetami, a czasem też czymś chlupoczącym w buteleczce.

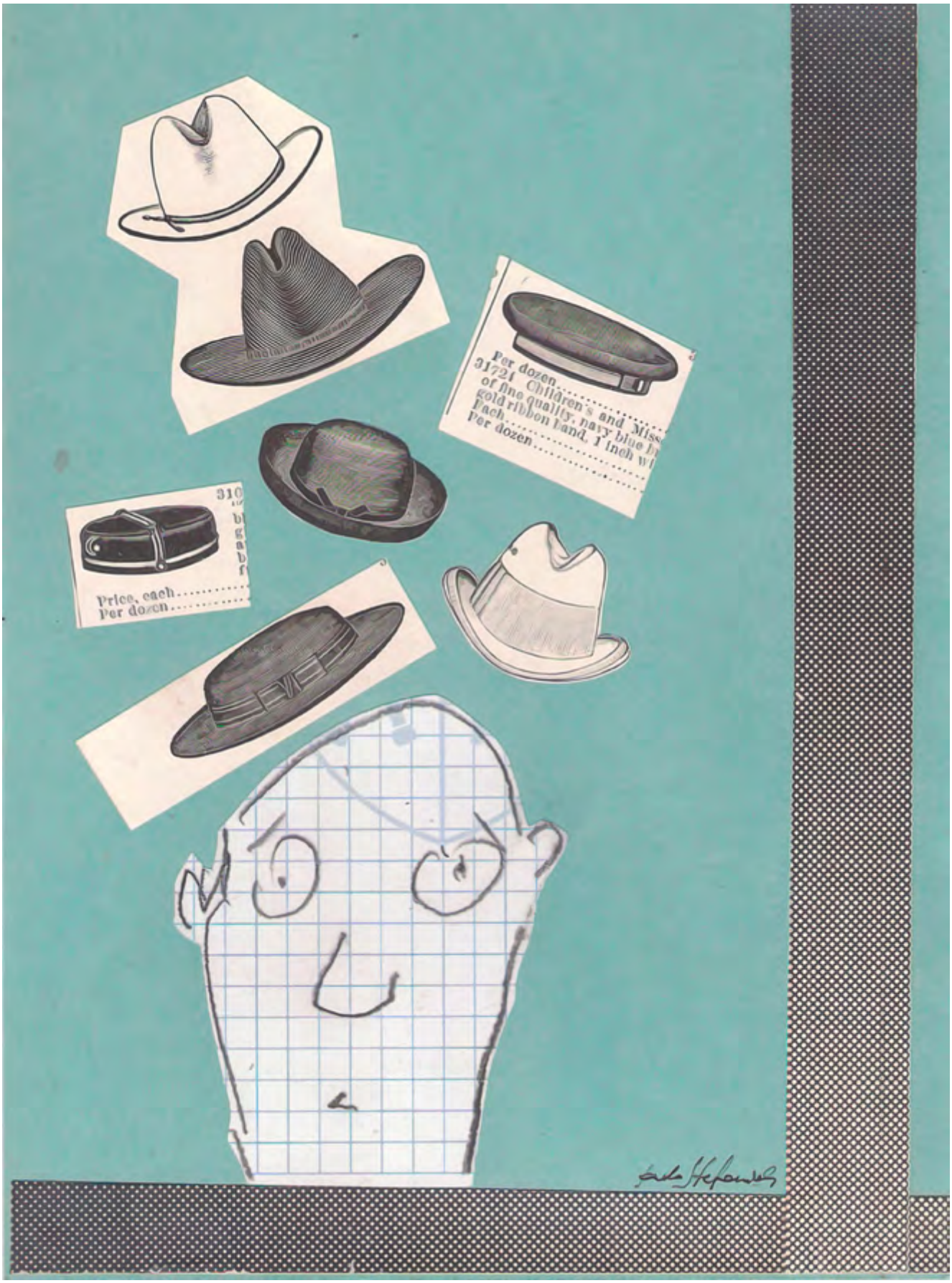

Janusz Stefaniak, *Kapelusznik* (collage)

Klub Przyjaciół miesięcznika „KRAKÓW”

Klub Przyjaciół miesięcznika „KRAKÓW”

Magdalena i Piotr Maciukiewicz, Kraków
Anna Kozłowska i Damian Kalbarczyk, Kraków
Grzegorz Szymański, Warszawa
Aleksander Skotnicki, Kraków
Alicja i Krzysztof Goerlichowie, Kraków
Beata i Wojciech Starowieyscy, Kraków
Adam Michnik, Warszawa
Janusz Szerla, Kraków
Grzegorz Kogut, Kraków
Józef Palinka, Warszawa
Marek Braun, Kraków
Krystyna Zachwatowicz, Kraków
Aleksander Herzog, Warszawa
Jacek Purchla, Kraków
Kazimierz Sumera, Zawoja
Andrzej Gaworski, Warszawa
Józef Opalski, Kraków
Halina i Leszek Domańscy, Kraków
Katarzyna Janowska, Warszawa
Anna i Tadeusz Buczek, Katowice
Stanisław Bisztyga, Kraków
Ewa Przyboś-Razowska, Kraków
Krzysztof Bień, Kraków
Teresa Bergier, Kraków
Antoni Legeżyński, Kraków
Krystyna Sacha, Porąbka Uszewska
Elżbieta Motas, Warszawa
Jolanta i Jarosław Brudniccy, Kraków
Iwona Ben, Kraków
Barbara i Andrzej Jajszczyk, Kraków
Józef Grudnik, Kraków
Teresa Pracz, Warszawa
Alicja Jarkowska-Natkaniec, Kraków
Ewa Rusek, Kraków
Andrzej Wyrobiec, Kraków
Jarosław Poczykowski, Białystok
Jadwiga Falkowska, Białystok
Marcin Barcz, Piaseczno
Tomasz Langie, Kraków
Tomasz Majka, Zawada
Jerzy Zoń, Kraków
Amelia i Rafał Skąpscy, Jazowsko
Anna Kosiorkiewicz, Kraków
Jerzy Hausner, Kraków
Katarzyna Bilan-Zając, Kraków
Monika Gierko-Libicka, Warszawa
Rafał Bubnicki, Wrocław
Dominika Dudek, Kraków
Wanda Chmielowska, Kraków
Hanna Gajewska-Kraczkowska, Pruszków
Gerhard Gnauck, Sulejówek
Wacław Marszałek, Warszawa
Piotr Krzywiec, Warszawa
Gwidon Dziwoki, Kraków
Waldemar Zakrzewski, Szczecin
Renata i Wojciech Michna, Kraków
Andrzej Kuźma, Kraków
Jarosław Grzesiak, Kontancin-Jeziorna
Konstanty Gebert, Warszawa
Agnieszka Odorowicz, Warszawa
Janusz Fogler, Legionowo
Anna Tyniec, Kraków
Czesław Misiołek, Duchnice
Małgorzata Maruszkin, Warszawa
Anna Anderson, Dobczyce
Marcin Barcz, Piaseczno
Wojciech Bergier, Kraków
Ewa Bielecka, Kraków
Jacek Górski, Kraków
Dorota Hajdarowicz, Bolechowice
Grzegorz Hajdarowicz, Bolechowice
Wanda Fryz, Wodzisław Śląski
Maria i Paweł Niklińscy, Kraków
Andrzej Łojewski, Kraków
Andrzej Pach, Kraków
Małgorzata Pach, Kraków
Jerzy Loręcki, Kraków
Jan Sady, Kraków
Róża Thun, Kraków
Stanisław Dudzik, Kraków
Beata i Artur Romanowscy, Kraków
Małgorzata Barońska-Jaguś i Paweł Jaguś, Kraków
Małgorzata i Jerzy Dobrowolscy, Skarżysko-Kamienna
Ewa i Krzysztof Jurkiewicz, Krępa
Ewa i Grzegorz Reszka, Warszawa
Dariusz Borucki, Łomianki
Alina Kruk, Zielona Góra
Krzysztof Ryszard Wilk, Kraków
Mariusz Landowski, Tczew
Jadwiga Drąg, Paszczyna
Halina Majdak-Maj, Bielsko-Biała
Marta Anna Ronne, Uppsala
Waldemar Smolski, Kraków
Andrzej Gawłowicz, Kraków
Anna Świętoń-Piędzioch, Kobyla Góra
Grażyna Przybylska-Okoń, Kraków
Teresa Stowska, Kraków
Malwina Kopańska, Olsztyn
Kazimierz Trybalski, Przybysławice
Anna Kulak, Krzeszowice
Jerzy Kicki, Kraków
Andrzej Pienias, Bełchatów
Alicja Byszkiewicz, Toronto
Andrzej Mącznik, Kielce
Anna i Adam Opatowiczowie, Kołbaskowo
Katarina Hard, Staffanstorp
Alicja Danecka-Chwals, Boston
Zofia Maciąga, Lędziny
Tomasz Wojtas, Kraków
Hanna Dunin-Łabędzka,
Jarosław Minałto, Wrocław
Józef Iskra, Dankowice
Irena Krzywiec, Kraków
Stanisław Dziurzyński, Sędziszów
Elżbieta Grzeluszka-Grudnik, Opatówek
Halina Biernacka, Bolechowice
Jędrzej Krakowski, Katowice
Ewa Mańkowska-Grin, Kraków
Elżbieta Wełna, Kraków
Elżbieta Binswanger-Stefański, Kraków
Wojciech Wróblewski, Warszawa

Dołącz do Klubu Przyjaciół „Krakowa”!

Klub Przyjaciół Miesięcznika „Kraków” to ludzie i firmy, którym bliski jest duch Krakowa i polska kultura. Wystarczy wpłacić raz na dwanaście miesięcy 140 złotych (osoby), 500 zł (firmy), a nawet 1000 zł (PRZYJACIELE KULTURY), aby przez rok być wymienionym na liście Przyjaciół Pisma wraz z ewentualnym logo, dostawać zaproszenia na wszystkie imprezy organizowane przez redakcję, w grudniu otrzymać w prezencie książkę pióra któregoś z Autorów pisma wraz z osobistą dedykacją i oczywiście co miesiąc dostawać kolejny numer „Krakowa”! A dla PRZYJACIÓŁ KULTURY czeka unikatowa reprodukcja grafiki Daniela Mroza!

Wpłaty:
Biblioteka Kraków
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3
31-154 Kraków
24 1020 2892 0000 5102 0677 8528
tytułem: Klub Miesięcznika „Kraków” – nie zapomnij podać adresu, na jaki mamy wysyłać nasz magazyn!
Istnieje też możliwość uzyskania tytułu Złotego Mecenasa Promocji „Krakowa” – zapraszamy do rozmów.

I Have a Dream

Tekst: Agnieszka Kosińska

„Czy wasz komputer kiedykolwiek przypomniał wam, żebyście umyli ręce i wyczyścili telefon?"

Rzadko zdarza mi się przeczytać mądrą książkę, choć czytam same mądre. Timothy Snyder, znany historyk, wybitny znawca naszej części Europy, który, żeby lepiej poznać Polskę i Polaków, nauczył się języka polskiego, autor wielu ważnych książek, znalazł się na granicy życia i śmierci. Dokładnie rzecz ujmując: wielokrotnie znajdował się na tej granicy. A wszystko z powodu zaniedbań i błędów w leczeniu najprostszych w świecie chorób, jak zapalenie wyrostka robaczkowego, następnie ciężkiego schorzenia wątroby, a na końcu sepsy. Zapytacie, jak to możliwe? Czy taki człowiek nie ma jakichś znajomości? Nie poszedł do swojego lekarza? Nie szukał sposobu, by leczyli go najlepsi w najlepszych szpitalach? Otóż nie. Postanowił leczyć się jak wszyscy. Dlaczego? Bo wierzył w Amerykę. Każdy z nas ma kogoś w USA, wiemy z pierwszej ręki, a także dzięki wybitnym serialom i filmom, jak wygląda tam codzienne życie, ale kiedy te wszystkie fakty i akty zbierze wnikliwy historyk tyranii i szaleństw XX wieku, człowiek, który nie ma nic do stracenia, bo... umiera, a do tego jest wściekły, że tak głupio dał się podejść losowi, że zaraz osieroci dzieci, żonę... Widzi przeraźliwie jasno to, czego do tej pory nie chciał widzieć i wiedzieć. Jego mózg linkuje bezwstydnie i powstaje wizja, którą mogę porównać tylko do wielkiego filmu Todda Phillipsa *Joker* z Joaquinem Phoenixem w roli głównej.

Amerykańska komercyjna służba zdrowia opracowała system, którego celem jest wyciśnięcie z chorującego ciała i umysłu maksimum zysku. Leczą cię (oczywiście, jeśli jesteś ubezpieczony, jeśli w porę dojedziesz do szpitala i jeśli nie umrzesz na izbie przyjęć, czekając, aż ktoś się tobą zajmie), jeśli masz chorobę, którą opłaca się leczyć. Lekarze i pielęgniarki działają według protokołu i algorytmu, a ten konkuruje z algorytmem firm ubezpieczeniowych. Nakłucie lędźwiowe lekarz i pielęgniarka wykonywali Snyderowi przy włączonych komórkach (system nakazuje, żeby mieli cały czas włączone komórki). Kiedy nie masz z kim porozmawiać o bólu, bierzesz tabletkę (najszybsze zyski generują farmaceutyki). Ameryka milczy o masowym uzależnieniu od opioidów. Kiedy ciągle słyszysz, że cierpienie jest twoją osobistą sprawą, nie znajdujesz wyjścia, bierzesz coraz większe dawki, możesz nie zauważyć przyczyn cierpienia, a to prowadzi do „zaniku empatii, dojmującej samotności oraz nieodczuwania solidarności z kimkolwiek". „Duża część naszej polityki polega na wywoływaniu bólu i manipulowaniu nim". Jak głosuje uzależniony naród? Politycy, którzy handlują bólem, czy będą chcieli zreformować system podstawowej opieki zdrowotnej, która się zresztą prawnie należy obywatelowi? Na medycynę, jako na najbardziej dochodowy segment rynku, pracują pozostałe. „Mówi się, że dostęp do dużych zbiorów danych zracjonalizuje decyzje polityczne. Dolina Krzemowa nie zrobiła jednak niczego, aby pomóc Amerykanom w styczniu i lutym 2020 roku". (...) Żadna platforma społecznościowa nie może działać na rzecz wolności, gdyż celem takich platform jest uzależnienie użytkowników".

Amerykańska choroba jest wstrząsająca, bo opowiada o tym, jak Snyder, rocznik 1969, dzielny syn dzielnych rolników z Ohio, leczył się z Ameryki. A jednak, choć zmieniony przez chorobę, bez powrotu do dawnego zdrowia, nie emigruje z Ameryki w poszukiwaniu lepszego kraju do życia. Jak myślicie, dlaczego?

Cytaty z: Timothy Snyder, *Amerykańska choroba. Szpitalne zapiski o wolności*, tłum. Bartłomiej Pietrzyk, Znak, 2021.

Agnieszka Kosińska: lubi lubić. Jej strona autorska: https://kosinska-miloszwkrakowie.com

Wstąp do Klubu **nie wychodząc z domu.**

ZAPRASZAMY!

Wpłać 140 zł (osoby) lub 500 zł (firmy), a otrzymasz upominki związane z pismem i przez cały rok będziemy w piśmie zamieszczać logotyp **Twojej firmy lub Twój podpis**. Oczywiście członkowie Klubu **otrzymują** miesięcznik w wersji papierowej oraz elektronicznej!

Wpłat prosimy dokonywać na konto (z dopiskiem KLUB PRZYJACIÓŁ „KRAKOWA"):

BIBLIOTEKA KRAKÓW
pl. J. Nowaka-Jeziorańskiego 3
31-154 Kraków
nr konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528

więcej informacji:
www.Miesiecznik.Krakow.pl/zakładka:
Klub Przyjaciół „Krakowa"
email: **redakcja@Biblioteka.Krakow.pl**

„Kraków"
– otwarty dla każdego. Zawsze

Zaczytaj się w Krakowie
KRAKÓW MIESIĘCZNIK

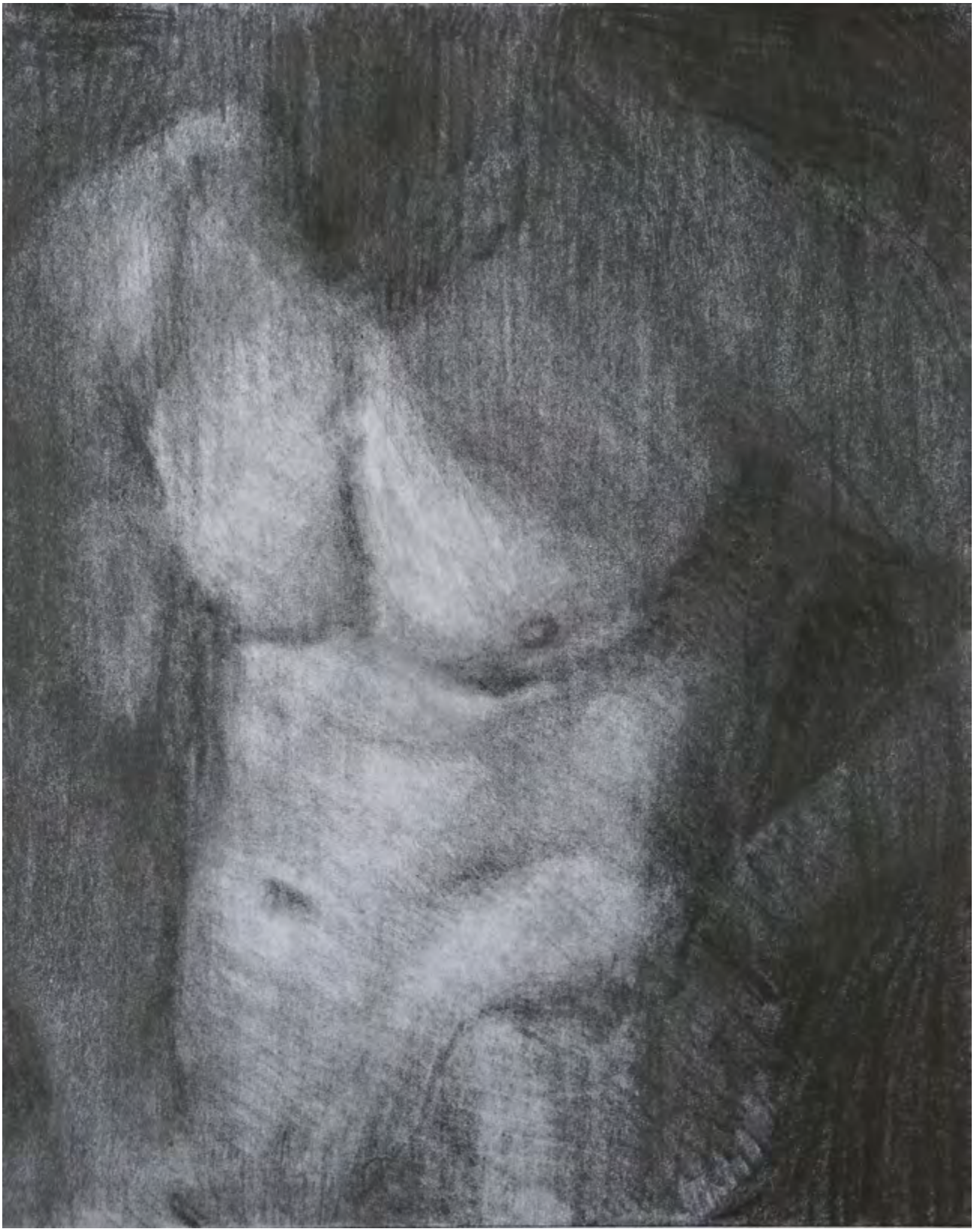

Łukasz Stokłosa, bez tytułu, grafit na papierze, 25 x 20 cm, 2021